

BYŁEM KSIĘDZEM – PRAWDZIWE OBLICZE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE – Roman Jonasz (e-book)

Wszystkim skrzywdzonym i zgorszonym przez Kościół i ludzi Kościoła

Roman Jonasz — pseudonim literacki — absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Łodzi, magister prawa kanonicznego. Opuścił stan duchowny w 1996 roku. Członek nieformalnego Ruchu Odnowy Kościoła Katolickiego w Polsce.

Wszystkie wydarzenia opisane w tej książce są prawdziwe, choć niektórym mogą wydawać się szokujące i niewiarygodne. Moje własne przeżycia i opinie uzupełniam relacjami naocznych świadków oraz ich komentarzami. Wiem jednak, jak długie ręce mają hierarchowie Kościoła. Stąd też niektóre z ich nazwisk (w tym moje własne) zostały zmienione.

SPIS TREŚCI

Od Autora	9
I. Moja droga do kapłaństwa	11
II. Wyższe Seminarium Duchowne we Włocławku	17
III. Wyższe Seminarium Duchowne w Łodzi	56
IV. Święcenia i pierwsze kroki w kapłaństwie	73
V. Pierwsza parafia — zderzenie z rzeczywistością	78
VI. Kapłański business w Aleksandrowie	100
VII. Ozorków: trudna decyzja-dlaczego odszedłem?	119
VIII. Konieczność zmian w Owczarni Chrystusa	127

„Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

J.8, 31-32 Jezus Chrystus

Od Autora

W Polsce żyje i pracuje ponad 30 tysięcy księży. Ta armia dorosłych, wykształconych mężczyzn, ćwiczona przez sześć lat w seminariach duchownych, tworzy hierarchiczną-organizacyjną strukturę Kościoła Katolickiego w Polsce. Od kapłanów będących w służbie Kościoła wymaga się bezwzględnego i ślepego posłuszeństwa wobec przełożonych — proboszczów, biskupów, kardynałów, a przede wszystkim wobec papieża, który posiada władzę absolutną. Władzy tej nie można porównać z żadnym innym ludzkim panowaniem — wykracza ona bowiem poza świat stworzony(1). Papież w doktrynie Kościoła Katolickiego jest nieomylny, gdy wypowiada się w sprawach dotyczących wiary i moralności.

Przez niego i biskupów działa ponadto Duch Święty, a każdy z biskupów jest „alter Christus”, tzn. zastępuje wiernym samego Chrystusa. Powyższe tezy określane przez Kościół jako dogmaty wiary (pewne, nie podlegające dyskusji), nawet wśród ludzi niewierzących rodzą postawy zażenowania, a nawet strachu przed czymś tajemniczym, niewidzialnym. Któż oprze się władzy danej z Wysoka! Nawet wysocy rangą mężowie stanu chylą głowy przed piuską i pastorałem. Nasuwa się tu porównanie do szczepu Indian, którym przewodzi wódz, ale faktyczną władzę dzierży czarownik.

Biskupi, którzy mówią o sobie, iż są „sługami” na czele z papieżem, będącym „sługą sług” — w rzeczywistości podzielili pomiędzy siebie cały świat i ciągle naginają go do wizji Kościoła, powołując się przy tym na autorytet samego Boga. Czy jednak nie nadużywają tego autorytetu zbyt często? Na ile ich rząd dusz jest błogosławiony, a na ile potępiany przez Tego, na którego się powołują? Jak daleko dzisiejsi hierarchowie Kościoła odeszli od ideałów kapłaństwa służebnego? Czy mają prawo nakładać na ludzi „ciężary nie do uniesienia”, sami nie ruszywszy ich palcem?(2)

(1) Patrz Mt 16, 17-19.

(2) Patrz Mt 23, 3-5.

Podobnie jak generałowie posługują się żołnierzami, tak biskupi kierują księżmi — proboszczami i wikariuszami tworząc — przez sieć parafii — własne państwo w państwie. Jeden z wiejskich proboszczów powiedział kiedyś do mnie — „Jak myślisz: kto rządzi w tej dziurze? Ten, kto ma największą chatę” — tu wskazał na Kościół parafialny i przylegającą doń plebanię.

Książka, którą wzięłeś do rąk, to historia młodego człowieka, który był jednym z tysięcy polskich kapłanów. Wszedł do innego świata i po trzech latach postanowił go opuścić. Co go do tego skłoniło? Dlaczego zdecydował się głośno o tym mówić?

JA JESTEM TYM CZŁOWIEKIEM!

Obecnie mężem i ojcem, głową rodziny. Minął już rok od opuszczenia przeze mnie kapłańskich szeregów, a ja coraz bardziej utwierdzam się w swojej decyzji. Co więcej, zdecydowałem się dać świadectwo prawdzie, bo tylko ona może wyzwolić człowieka tak, jak wyzwoliła mnie. Niewielu z kapłanów, którzy rezygnują, decyduje się publicznie mówić o motywach swojej decyzji. Obawiają się potępienia ze strony hierarchii i większości wiernych. Ta książka, to pierwsze tego typu świadectwo w skali naszego kraju. Jako autor tak nowatorskiej pozycji, nie jestem wolny od obaw co do jej przyjęcia. Uważam jednak, że prawda, choćby najgorsza, lepsza jest od najbardziej zakamuflowanego kłamstwa. Miliony katolików w Polsce są nieświadome tego, co dzieje się — za ich pieniądze — za murami plebanii, seminariów i pałaców biskupich. Ci ludzie mają prawo wiedzieć, ponieważ to oni są prawdziwym Kościołem — „ludem wybranym, narodem świętym”, a nie ciemną masą u progu trzeciego tysiąclecia.

Moim celem nie jest wkładanie kija w mrowisko. Jestem daleki od jakiegokolwiek formy odwetu czy nienawiści. Nie pragnę jątrzyć, wzywać do rewolucji, potępiać. Słabości ludzi Kościoła, które opisuję, są udziałem każdego człowieka. Nikt też nie jest wolny od błędów, pomyłek i upadków. Ale jeśli choroba zaatakuje cały, zdrowy organizm, który został powołany do czynienia dobra i służenia wszystkim ludziom, to trzeba z nią walczyć, a żeby walczyć trzeba w pierw ją poznać. Misja Kościoła jest zbyt ważna, aby jego dzieci były obojętne na to, co się w nim dzieje i jak spełnia on swoją posługę.

Moja książka spełni swoje zadanie jeśli skłoni do refleksji ludzi dobrej woli, którym na sercu leży dobro Kościoła Katolickiego w Polsce i na świecie. Wokół mnie skupiło się wielu takich ludzi. Są wśród nich byli i aktualnie pracujący księża oraz świątli katolicy świeccy. Chcemy mówić głośno — nie o wadach ludzkich — ale o wadach systemu; po to, aby Owczarnia Jezusa Chrystusa mogła wejść oczyszczona w trzecie tysiąclecie Chrześcijaństwa. Trzeba nam wszystkim — całemu Kościołowi — powrócić do źródeł, korzeni naszej wiary. Chcemy, aby ona naprawdę przemieniała nasze życie; nadawała mu sens i czyniła je piękniejszym. Chcemy trwać w nauce Jezusa, być Jego wiernymi uczniami i poznać prawdę, a prawda nas wyzwoli(3).

(3) Por. J.8, 31-32.

ROZDZIAŁ I

Moja droga do kapłaństwa

Urodziłem się w rodzinie na wskroś katolickiej, wręcz purytańskiej. Od kiedy sięgnę pamięcią, życie mojej rodziny było przeniknięte wiarą i przeplatane praktykami religijnymi. Wyczuwając panującą w domu atmosferę, już jako dziecko starałem się zaskarbić sobie uczucia i łaski rodziców — czynnie uczestnicząc w życiu naszej parafii. Zaczęło się od czytania z lekcjonarza na Mszy Pierwszo-komunijnej. Po tygodniu od tego debiutu, byłem już ministrantem i stałym lektorem. Służenie do Mszy Świętej stało się pasją mojego młodego życia. Pamiętam, jak w wieku 8 — 9 lat biegałem przez śnieżne zasy czy kałuże błota do Kościoła na poranną Mszę, często gdy było jeszcze ciemno. Gdybym tego samego dnia opuścił nabożeństwo wieczorne, na pewno nie zmrużyłbym oka do rana. Konkursy biblijne, wycieczki ministranckie z księdzem opiekunem były wtedy moją największą radością.

W czasie jednej z takich wycieczek do katedry i Seminarium Duchownego we Włocławku, doznałem przedziwnego uczucia. Kiedy wraz z grupą naszych chłopców wszedłem do seminarium, a chwilę później do zatłoczonej klerykami jadłodajni — stanąłem jak wryty. Opanowało mnie przeświadczenie, że kiedyś będę siedział przy którymś z tych stołów: jadł, rozmawiał, śmiał się, a za chwilę wstanę i pójdę na modlitwy i do swojego pokoju. To przeświadczenie, iż będę kiedyś jednym z tych, na których wtedy patrzyłem, zawładnęło moją młodzieńczą wyobraźnią. Teraz, po latach, odczytuję to zdarzenie jako moment mojego powołania.

Ja i cała moja rodzina otaczaliśmy nabożnym szacunkiem wszystkich księży. Dla mnie osobiście byli to nadludzie — nieomylni i wspaniali pod każdym względem. To byli ludzie nie z tego świata. Coroczna kolęda w naszym domu była długo oczekiwanym świętem. Jestem pewien, że gdybym wtedy znał ich ludzkie wady i słabości, tak jak znam je dziś — na pewno nie zmąciłoby to mojego obrazu księdza pół-Boga. Bycie księdzem było dla mnie czymś nieosiągalnym wręcz

nierealnym, a jednocześnie był to szczyt moich dziecięcych i młodzieńczych marzeń. Pozbawieni ziemskich trosk i przywiązań, żyjący w bliskości Boga, przeznaczeni do wyższych celów kapłani — byli dla mnie aniołami, którzy zstąpili na ziemię, aby uczynić ją piękną. Tylko oni mogli sprawować tajemnicze obrzędy, rozgrzeszać, karmić Ciałem Chrystusa. Do nich należało ganić lub chwalić; rozstrzygać o tym co jest dobre, a co złe. Dla młodego chłopca, który wyrósł w atmosferze uwielbienia dla księży, perspektywa zostania jednym z nich mogła być albo utopijną mrzonką, albo życiowym celem.

Kiedy sam zostałem kapłanem i opiekunem ministrantów, u wielu z nich widziałem te same spojrzenia pełne szacunku i ufności. Właśnie tak w ich wieku patrzyłem na księży. Niestety bardzo często księża nie uświadamiają sobie, jak wielki wpływ mają na dzieci i młodzież zwłaszcza tę, która sama poszukuje oparcia w Kościele. Młody człowiek potrzebuje autorytetu, wzorca osobowego. Zwłaszcza chłopcy poszukują takiego wzorca w najróżniejszych środowiskach — począwszy od ulicznego gangu, a skończywszy na grupie ministranckiej. Odpowiedzialność księży za powierzone im młode pokolenie jest ogromna, tak przed Bogiem, jak i ludźmi. Bóg raczy wiedzieć, za ile dziecięcych frustracji, a nawet przestępstw nieletnich, odpowiedzialni są ci księża, którzy świadomie czy nieświadomie stali się powodem do zgorznienia.

Oczywiście jako dziecko nie byłem aniołkiem, ale też nie wychowywała mnie ulica. Poza rodzicami najwięcej w tym względzie zawdzięczam księżom, co do których miałem wtedy sporo szczęścia. Moje związki z parafią i serdeczne kontakty z księżmi trwały przez cały okres szkoły podstawowej i liceum. Na pewno, zwłaszcza w tym ostatnim czasie, coraz bardziej krytycznie zaczynałem patrzeć na świat, w tym również na moich idoli w sutannach. Jednak w wieku, w którym młody chłopak ma tysiące pomysłów na to, co będzie robił w przyszłości — ja ciągle nosiłem w sobie pragnienie bycia jednym z nich. Ciągle żywe było we mnie uczucie sprzed lat, że będę klerykiem, a później księdzem. Kilka dziewczyn, z którymi chodziłem w liceum, chyba wyczuwało to moje ukryte powołanie, bo wszystkie uważały mnie za dziwaka i nawiedzonego. Tymczasem w mojej świadomości dojrzywała ostateczna decyzja.

W 1986 r. obnoszenie się z pragnieniem pójścia do seminarium było jeszcze bardzo niebezpieczne. Można było po prostu nie zdać matury. Uświadomiła mi to moja polonistka, której potajemnie

zwierzyłem się z mojego postanowienia. Rodzice, jak nie trudno się domyśleć, byli wniebowzięci; tak samo jak miejscowi księża, na czele z proboszczem. Czułem wyraźnie, że wprawiłem całe swoje otoczenie w stan radosnego uniesienia. Członkowie najbliższej rodziny wyrażali swoje uznanie dla mojej decyzji i odwagi. Nie kryli poglądu, że ksiądz w rodzinie to — ni mniej, ni więcej — tylko swój człowiek w Sądzie Najwyższym. Oni już czuli się zbawieni, nie mówiąc o innych korzyściach, które miałyby ich spotkać. Jedna z ciotek wyraziła to aż nazbyt dosadnie — „kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie”. Byłem bohaterem, rodzinnym mesjaszem. To całe miłe zamieszanie wokół mojej osoby utwierdzało mnie w podjętej decyzji. Jak by jej jednak nie oceniać i na nią nie patrzeć — była to decyzja wynikająca ze szczerzej intencji zostania świętym kapłanem — uczniem Chrystusa. Było we mnie wielkie, szczere pragnienie służenia innym ludziom, pomagania im. Obok tego pragnienia chwilami do głosu dochodziły też i inne, bardziej prozaiczne i materialne. Wiedziałem, że księża nie cierpią biedy. Jeżdżą zachodnimi samochodami. Mają komfortowo urządzone mieszkania. Sprzęt grający wysokiej klasy. Dla dziesięcioletnia takie sprawy nie są bez znaczenia. Nie zamierzałem wszak zostać pustelnikiem czy żebrakiem. Rodzina i całe otoczenie utwierdzało mnie w przeświadczeniu, że jestem kimś ważnym, wyjątkowym; że wiele rzeczy po prostu mi się należy skoro tak się poświęcam dla Boga. Także wielu parafian osobiście wyrażało swoje uznanie dla mojego postanowienia — wszak byłem pierwszym „odważnym” po czterestu latach. Postawy adorowania księży i ciągłego przekonywania ich, iż są panami świata — są powszechnie.

Wielokrotnie, każdego dnia doświadczałem tego sam ze strony wiernych i moje otoczenie wcale w tym względzie się nie wyróżniało. Ksiądz, będąc sam (lub kilku) w wielotysięcznej parafii jest hołubiony i adorowany, zwłaszcza przez starsze kobiety. To przede wszystkim one, nieświadome tego co robią — rozpieszczają i psują swoich „księżyków”, a gdy ci obrastają w piórka i zaczynają wykręcać „numery”, ich dotychczasowe adoratorki przemieniają się w „świętą inkwizycję”.

Mój proboszcz zaofiarował się zawieść mnie do Włocławskiego Seminarium, abym złożył wszystkie potrzebne papiery: świadectwo maturalne, opinię proboszcza i wikariuszy. Kiedy przekroczyliśmy próg i weszliśmy do obszernych pomieszczeń — korytarzy, na których wisiały ogromne portrety biskupów, rektorów, profesorów — odruchowo wstrzymałem oddech i poddałem się atmosferze dostojeństwa i surowej wręcz powagi jaka tu panowała. Wysokie okna, potężne drzwi, łukowate sklepienia sufitów — to wszystko sprawiało wrażenie bardziej naw kościelnych niż uczelni, czy też domu dla męskiej młodzieży. Mały, szpakowaty człowieczek, który zaczął wyłaniać się z drugiego końca korytarza, nie pasował do całości. Okazało się, że był to sam prefekt studiów (2-gi wicerektor). Przywitał się z nami wesoło, po czym mój proboszcz oddalił się, a ja podążyłem za moim nowym przełożonym. Chociaż byłem tam na własne życzenie, poczułem się przez chwilę jak rzecz przekazana nowemu właścicielowi.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie obco. Poczułem dziwny strach przed czymś nieznanym, a może tylko przeniknął mnie chłód tych dwumetrowych murów i duch dawnych czasów, zamknięty w potężnych ramach obrazów. Ksiądz prefekt Konecki zaprowadził mnie do swojego mieszkania. Usiadł naprzeciwko mnie i przez dłuższą chwilę, która wydawała mi się godziną, patrzył prosto w moje oczy, jakby chciał poznać moje myśli i intencje. „Po co tu przyszedłeś” — zdawał się pytać przenikliwym wzrokiem — „czy dla kariery, czy na wierną służbę Kościołowi”? Zrobiło mi się nieswojo. Zaczął w końcu pytać o rodzinę i moich znajomych księży. Teraz wiem, że chodziło mu o to, który z nich mógłby mieć na mnie zły wpływ. Na koniec musiałem napisać na kartce — dlaczego chcę zostać księdzem. Poza obrzydliwym błędem ortograficznym, moja argumentacja najwidoczniej mu się spodobała. Z szerokim uśmiechem podał mi rękę na pożegnanie — „do zobaczenia we wrześniu” — powiedział. Kiedy wyszedłem z zimnych, surowych murów na czerwcowe słońce poczułem ulgę i radość — zostałem przyjęty!

Warto tu wspomnieć, że w seminariach duchownych nie ma praktyki zdawania egzaminów wstępnych. Warunkiem dopuszczenia do studiów, oprócz wspomnianych już dokumentów, jest tzw. rozmowa kwalifikacyjna. Już w trakcie semestru ks. rektor opowiadał nam, jak to pewnego razu przyjechała do uczelni mama ze swoim synem. Kiedy upewniła się, że rozmawia z rektorem oświadczyła z całą powagą: „Jeśli już mój syn ma być księdzem to chcę żebyście wykształcili go na biskupa. On się zresztą i tak do niczego innego nie nadaje. Uczy się słabo, jest chorowity i nic go nie interesuje”. O tym, jaką w seminarium trzeba mieć głowę do nauki, zdrowie i siłę woli, aby się nie załamać już po pierwszych miesiącach — każdy kto spróbował tego chleba wie najlepiej.

A tymczasem przede mną były długie wakacje. Postanowiłem, że będą zupełnie zwariowane. Wybraliśmy się z kolegą „na stopa”, po północnej Polsce. Kiedy skończyła się gotówka, zamiast wracać do domu, wyruszyliśmy nad Mazury.

Żywiąc się złapanymi rybami i resztką konserw, przez cztery dni płynęliśmy dmuchanym kajakiem po najpiękniejszych zakątkach. Sielanka skończyła się wraz z potężną burzą, która zastała nas daleko od brzegu jeziora. Wypełniony bagażami kajak zaczął nabierać wody. Wzburzone bałwany przelewały się ponad naszymi głowami. Jakimś cudem, trzymając się kurczowo kajaka, dobrnęliśmy do brzegu, a raczej zostaliśmy wyrzuceni przez ogromne fale. Jak przystało na rozbitków, zbudowaliśmy prowizoryczny szałas i trzęsąc się z zimna siedzieliśmy w nim skuleni i głodni przez trzy dni i noc. Przez cały ten czas padał deszcz, wiał porywisty wiatr, a temperatura spadła chyba do zera. Kiedy tylko wyrzało słońce zebraliśmy to, co z nas zostało i wsiedliśmy do kajaka, aby dotrzeć jakoś w cywilizowane strony. Pierwszym autobusem, bez biletu (nie mieliśmy już żadnych pieniędzy), pojechaliśmy do Giżycka, a stamtąd — nie bez przygód, pierwszym pociągiem do domu. Było co wspominać za seminaryjnymi murami!

Przyszedł wreszcie dzień poprzedzający mój wyjazd do seminarium. Od rana napięta atmosfera, pakowanie, a później wspólna modlitwa z rodzicami. Tego dnia byłem u spowiedzi i Komunii Świętej. Po Mszy Świętej wieczornej długo modliłem się przed Najświętszym Sakramentem. Postanowiłem w głębi serca skończyć seminarium i być świętym kapłanem. Dzień odjazdu powitał mnie załzawionymi oczami mamy. Płakała tak do ostatniej chwili, kiedy zniknęła mi z oczu machając na pożegnanie ręką za odjeżdżającym samochodem. Oddając syna Kościołowi myślała zapewne, że go straci. Tego też dnia, chyba po raz pierwszy w życiu, widziałem jak płacze mój ojciec. Tak bardzo mnie wzruszył ten widok, że i mnie poleciały łzy. Zarówno jednak dla mnie, jak i dla moich rodziców były to łzy szczęścia, że oto spełnia się moje i ich pragnienie. Smutkiem napawało nas jedynie samo rozstanie i niepewność. Nigdy was nie opuszczę kochani rodzice! Zawsze możecie na mnie liczyć!

Obierając dla siebie nową drogę życia wiedziałem, że jeśli na niej nie wytrwam, sprawię rodzicom wielki zawód. Przez kilka wcześniejszych lat ciężko borykali się z moim, o jedenaście lat starszym bratem, który — choć bardzo zdolny i pilny— nie potrafił znaleźć sobie miejsca — najpierw w szkole, a później w życiu. Dobrze rozumiałem ich obawy. Kiedy głośno je wyrażali powiedziałem rezolutnie, ale i z głębokim przekonaniem, że mogą mi napluć w twarz, gdyby się okazało, iż nie wytrwam i zrezygnuję. Głupio wtedy powiedziałem. Tłumacząc to sobie tym, że chciałem ich wtedy uspokoić, pocieszyć. Nigdy nie skorzystali z danego im prawa.

ROZDZIAŁ II

Wyższe Seminarium Duchowne we Włocławku

Włocławek to miasto, w którym jeszcze przed wojną krzyżowały się wpływy komunistów z wpływami władz kościelnych. Po wojnie naturalnie proces ten się zaostrzył. Widocznym tego symbolem było usytuowanie wojewódzkiej komendy milicji (w dawnym budynku należącym do Kościoła) — na przeciwko seminarium duchownego i katedry. Parę kilometrów od tego miejsca, rok wcześniej, został zamordowany ksiądz Jerzy Popiełuszko. Miasto to należało do pierwszych ości chrześcijaństwa. XV-to wieczna katedra, kościółek w seminarium z XIII-go wieku, a sam gmach — niewiele młodszy. To dziedzictwo przeszłości zobowiązywało młodych kandydatów do kapłaństwa, ale też mobilizowało.

Było ciepło, wrześniowe popołudnie 1986 r. kiedy, obładowany walizkami, przekroczyłem seminaryjną furkę. Po raz drugi w życiu (pierwszy raz podczas wycieczki ministranckiej) zobaczyłem seminarium tętniące życiem. Młodzi chłopcy nadawali tym wiekowym murom zupełnie innego wyrazu. Wszędzie panowała atmosfera radosnego podniecenia. Uściskom, przywitaniom, spontanicznym wybuchom radości nie było końca. To byli normalni, weseli młodzi ludzie, tak inni od utartego wizerunku kleryka — mruka z nosem w Biblii. Biegali po schodach unosząc do góry sutanny, ślizgali się po korytarzach zjeżdżali na poręczach. Opaleni, pełni życia i radości opowiadali o wakacyjnych przeżyciach. Wszędzie było ich pełno, bo i liczba pokaźna — bez mała dwustu. Tylko czasami, pomiędzy nimi przeszedł kontemplacyjnie schylony tzw. „duchacz” lub „nawiedzony”. Fajne chłopaki — pomyślałem, nabrałem otuchy i poszedłem z tobołami do wyznaczonego pokoju. Mieliliśmy tam mieszkać we czterech: starszy (superior)(4) z III — roku i trzech „pierwszoklasiści”.

(4) Superior — najstarszy kleryk w pokoju, odpowiedzialny za pozostałych współmieszkańców.

Moi współmieszkańcy od początku wydawali się być „w dechę”. Każdy z nas miał swoje łóżko i biurko, aż dziwne, że pomieściliśmy się w pokoju nie większym niż 25 m. Wkrótce poznałem wszystkich kolegów z mojego rocznika. Było nas trzydziestu sześciu. Później dowiedziałem się, że do święceń dotrwało trzynastu. We Włocławku nigdy nie było to więcej niż połowa pierwotnego składu.

Stopniowo wciągałem się w wir seminaryjnego życia: pobudka o 5.30, pół godziny tzw. rozmyślania w ciszy, Msza Święta, śniadanie, pięć godzin wykładów, obiad. Po obiedzie, w zależności od dnia tygodnia, w różny sposób spędzaliśmy czas wolny tzw. rekreację. W czwartki było święto — długi, 4-godzinny spacer po mieście. Zawsze, nawet w nagłych przypadkach innego dnia tygodnia, można było wychodzić tylko po dwóch. Przełożeni tłumaczyli to względami bezpieczeństwa, ale wszyscy wiedzieliśmy, że chodzi o wzajemną opiekę lub jeśli kto woli szpiegowanie. Najczęściej w czwartki wychodziłem na basen, a później na duże lody w kawiarni obok. Krótki — godzinny spacer mieliśmy również w soboty. W inne dni pozostawały przechadzki po małym seminaryjnym parku, otoczonym wysokimi murami z drutem kolczastym; gra w bilard albo czytelnia. Seminarium posiadało także dwa ceglaste korty tenisowe — niestety na zapisy i dla nielicznych. Po rekreacji była nauka modo privato w pokojach, z półgodzinną przerwą na wspólne nieszpory. Kolacja o 18-tej, prywatne czytanie Pisma Świętego, modlitwy wieczorne, mycie i cisza nocna o 21.30.

Praktycznie wszędzie na terenie seminarium, oprócz łazienek i jadłodajni, towarzyszyli nam przełożeni. Mielili swoje dyżury na korytarzach i w kaplicy. O każdej porze dnia i nocy każdy z nich mógł wejść do dowolnego pokoju, aby sprawdzić co się dzieje. Jeśli ktoś, np. w czasie nauki prywatnej, spał lub robił cokolwiek innego — zawsze „zaliczał dywanik” i ostrą reprimendę. Regulamin był w seminarium najważniejszy. Zgodnie z nim toczyło się całe nasze życie. Na poszczególne zajęcia wzywał nas przenikliwy dźwięk dzwonka. Regulamin był uciążliwy, ale konieczny. Trudno byłoby inaczej wyobrazić sobie wspólne życie dwustu mężczyzn pod jednym dachem, zwłaszcza jeśli to życie tutaj miało czemuś służyć. Szybko przyzwyczałem się robić wszystko „na dzwonek”. Najbardziej o_ie szło mi tylko ranne wstawanie, zwłaszcza zimą.

Naszymi przełożonymi byli: profesorowie, z którymi praktycznie spotykaliśmy się tylko na wykładach oraz tzw. moderatorzy, od których zależało nasze być albo nie być w seminarium. Do nich należały ewentualne zmiany uświęconego porządku określonego regulaminem. Moderatorami byli: rektor Marian Gołębiowski, prorektor Stanisław Gębicki i wspomniany wcześniej prefekt Krzysztof Konecki. Zwłaszcza ci dwaj ostatni niestrudzenie przemierzali seminaryjne korytarze i pokoje, a przede wszystkim wyznaczali kary dla tych, którzy zaliczyli wpadkę. Do najcięższych przewinień należało: posiadanie w pokoju radia lub magnetofonu, nieobecność na modlitwach i wykładach, wandalizm, spożywanie posiłków w pokoju.

Karalne było również spóźnienie ze spaceru, zakłócenie ciszy nocnej, wyjście do miasta bez koloratki itd. Gdy byłem na pierwszym roku, w seminarium obowiązywał bezwzględny zakaz palenia papierosów. Nieliczni nałogowcy odpalali się w najbardziej niedostępnych zakamarkach. Po roku zakaz ten formalnie zniesiono. Przeznaczono jedno pomieszczenie piwniczne na palarnię. Palacze musieli jednak zapisywać się na listę „słabych ludzi” w gabinecie rektora. Ja osobiście wtedy jeszcze nie paliłem. Osobną kategorią przewinień były te, które popełniało się poza uczelnią, podczas spacerów lub też nielicznych przepustek do rodzinnych parafii. O nadużyciach sygnalizowali księża albo usłudźni parafianie. Dotyczyły one najczęściej kontaktów z płcią odmienną.

Seminarium było przepelnione. Diecezja Włocławska pozbawiona dużych aglomeracji (poza samym Włocławkiem, Koninem i Kaliszem), nie potrzebowała aż tylu księży. W związku z tym cała machina ciała profesorskiego i moderatorów pod patronatem biskupa ordynariusza była nastawiona na duży przesiew i odstrzał mniej wartościowej „zwierzyny”. Niemal każde zebranie profesorów po sesji egzaminacyjnej albo spotkanie moderatorów — kończyło się wieścią o kolejnych ofiarach. Wylecieć z seminarium można było najczęściej za „całokształt”, gdy delikwentowi zebrało się więcej grzechów lekkich. Nieraz w takich wypadkach odsyłano studenta do domu na urlop roczny lub nieograniczony — bez gwarancji powrotu. Starsi — sutannowi byli często w czasie urlopu zatrudniani jako katecheci, wtedy jeszcze przy parafiach. Kiedy jednak w grę wchodziła sprawa gardłowa typu: udowodniona znajomość z dziewczyną, kradzież, picie alkoholu czy też współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa — decyzja była zawsze taka sama — dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie seminarium.

Przełożeni wychodzili z założenia, że wina jest udowodniona jeśli potwierdził ją osobiście naoczny świadek. Podobnie traktowano podpisane donosy. Niestety dość często dochodziło przy tym do nadużyć, pomówień i oszczerstw. Osobiście znam kilka przypadków zwykłej ludzkiej zawiści, której konsekwencją była wizyta w seminarium np. sąsiada, który złożył fałszywy donos na syna znienawidzonych ziomków.

Kiedy byłem na drugim roku studiów wstrząsnęła mną sprawa mojego bliskiego kolegi Tomka. Uczestniczył on czynnie w spotkaniach z niepełnosprawnymi dziećmi, które odbywały się w diecezjalnym caritas. Oprócz kleryków, dziećmi opiekowało się także kilka dziewcząt ze szkoły średniej — sprawdzonych, udzielających się oazowiczek. Jedna z nich na zabój zakochała się w Tomku. Ten jednak, jak sam mi opowiadał, nie dawał jej żadnych nadziei. Dziewczyna mimo to nie rezygnowała. Pisała do niego namiętne listy, śledziła go w czasie spacerów, wystawała wieczorami pod seminarium.

Kiedy spotkała się z ostrą odprawą i reprimendą z jego strony, jej miłość przerodziła się w nienawiść. Któregoś dnia poszła wprost do rektora i oświadczyła, że Tomek z nią spał. Decyzja — dwadzieścia cztery godziny na odebranie papierów i opuszczenie gmachu! Chłopak był kompletnie załamany, ale jego wyjaśnień nikt nawet nie chciał słuchać. Gdy pojechał do domu — rodziców, jak w większości takich przypadków, ogarnęła rozpacz. Tomek kończył niedługo czwarty rok. Nie wyobrażał sobie innego życia poza kapłaństwem. Z pomocą rodziców odnalazł dom dziewczyny. Jej rodzina była wstrząśnięta. Pod ogólnym naciskiem córka zdecydowała się natychmiast odwołać kłamstwa. Ksiądz rektor cierpliwie i ze zrozumieniem ją wysłuchał. Kiedy jednak Tomek przyjechał po rehabilitację do przełożonego okazało się, że nie może być z powrotem przyjęty.

W tym miejscu należy wspomnieć o teorii nieomylności przełożonych, która w seminariach funkcjonuje w praktyce. Każdy hierarcha w Kościele, na czele z papieżem, jest *ex officio* nieomylny w swoich decyzjach. Wychodzi się tu z założenia, że Duch Święty działając w Kościele udziela jego dostojnikom daru rozumu. Dar ten posiadany jest wprost proporcjonalnie do rangi zajmowanego urzędu. Innymi słowy — im wyższy stopień, tym więcej rozumu, a co za tym idzie — mniejsze prawdopodobieństwo popełnienia błędu. Można sobie wyobrazić, jak bardzo by ucierpiał autorytet księdza rektora, gdyby ten przyznał się do oczywistej przecież pomyłki. Dobrze imię Kościoła jeszcze raz zostało „uratowane”, a chłopak poszedł na bruk.

Przełożeni nie kryli wobec nas doktryny, która im przyświecała, a którą można by zdefiniować następująco: lepiej wyrzucić kilkunastu podejrzanych jeśli wśród nich jest choć jeden winny, aniżeli wszystkich dopuścić do święceń. Jeden Pan Bóg wie ile ludzkich nieszczęść i dramatów, zmarnowanych młodych lat spowodowało powyższe założenie. Zrozumiała jest troska przełożonych o dobro Kościoła. Jest ono wartością nadrzędną nie tylko dla nich. Jedna czarna owca w stadzie może zwieźć inne na manowce. Ale czy na tej drodze do nieskazitelnego wizerunku Kościoła warto deptać ludzkie losy? Czy dążenie do doskonałości, która i tak jest nieosiągalnym celem, ma uświęcać środki? Gdybyż to rzeczywiście pozostała mała trzódka wiernych uczniów Pana! Niestety — rzeczywistość wyglądała inaczej.

Podczas gdy bezpardonowo dokonywano przesiewów, niszcząc przy tym autentyczne powołania, promowano jednocześnie tych, którzy nigdy się nie narażali i nie wychylali — posłusznych i bezwolnych. Nade wszystko jednak doceniano, a nawet po cichu hołubiono takich, którzy dobrowolnie szli na współpracę. Oprócz nich byli i tacy, których do tego nakłaniano różnymi formami nacisku. Przeważnie oni sami mieli wcześniej nóż na gardle i wybrali podwójne życie agentów. Kilku, choćby najbardziej aktywnych przełożonych, nie mogło upilnować dwustu chłopca. Stąd też wypracowano system siatki szpiegowskiej, który funkcjonował bez zarzutu, poza tym, że wszyscy o nim wiedzieli. Jakże podła była to deprawacja sumień młodych ludzi — przyszłych kapłanów. Kim byli ci, którzy w tak ohydny sposób manipulowali innymi ludźmi — często pełnymi ideałów i szczerych intencji. Wypracowany przez pokolenia system w przewrotny, faryzejski sposób zaprzęgał prawa Boskie do ludzkich intryg i machinacji. Napuszczano jednych na drugich, tolerowano nawet dewiacje seksualne w zamian za zasługi na polu wywiadowczym, a wszystko to w imię dobra Kościoła. Z pewnością ogromna większość wszystkich usunięć z seminarium była wynikiem działalności donosicieli.

Miało to może jedną dobrą stronę. Psychoza strachu przed ewentualnym donosicielem, którym mógł okazać się najbliższy przyjaciel, czyniła życie wielu prawdziwych wywijasów istnym koszmarem. Ci, którzy mieli cokolwiek na sumieniu, mogli się liczyć z wyrzuceniem nawet po 4 — 5 latach, chociażby przed samymi święczeniami, kiedy podsumowanie

wypadło dla nich niekorzystnie. Z reguły nie informowano nikogo na bieżąco o stanie jego konta. Zresztą, obciążone konto nie zawsze było powodem usunięcia, czasami wystarczyło mrukiwe usposobienie, które (zdaniem przełożonych) jednoznacznie świadczyło o braku powołania — gość nie był po prostu na swoim miejscu. Perspektywa spędzenia kilku lat pod kluczem i wylądowania na przysłowiowym lodzie nie była pociągająca. W efekcie wielu rezygnowało dobrowolnie. Byli i tacy, którzy sami zabierali papiery, gdy tylko zorientowali się na czym opiera się „formacja seminaryjna” przyszłych duszpasterzy. Tak więc przesiew był solidny, ściśle według założeń władzy duchownej.

Warto w tym miejscu wspomnieć o tym, czego doświadczał kleryk — niedoszły ksiądz — po powrocie do domu. Zwłaszcza w środowisku wiejskim taki delikwent jest naznaczony do końca życia. Niezależnie z jakiego powodu nie ukończył studiów — zawsze będzie tym, który był w seminarium, księżykiem. W małej, wiejskiej parafii, gdzie wszyscy doskonale się znają i są ze sobą zżyci, a życie toczy się wokół sklepu z piwem i proboszcza — decyzja któregoś z chłopców o pójściu do seminarium jest wydarzeniem numer jeden przez wiele lat.

Może sposób w jaki opisuję usunięcia z seminarium wydaje się dla kogoś zbyt drastyczny. Ostatecznie każdy wiedział już po krótkim czasie co tam jest grane i w każdej chwili mógł się spakować i wyjechać. Problem tkwił jednak w tym, że ogromna większość z nas, w chwili rozpoczęcia studiów, miała autentyczne, żywe powołania. Ci młodzi ludzie zmagali się ciągle z wieloma dylematami. Dwudziestoletniemu człowiekowi, pełnemu ideałów, trudno jest pogodzić się z jawną niesprawiedliwością. Większość z nas pochodziła z tzw. porządných domów, gdzie oprócz wiary w Boga wpajano nam szacunek dla autorytetów, zaufanie do przełożonych, umiłowanie prawdy. Tak jak inni, tak i ja próbowałem tłumaczyć sobie na różne sposoby niektóre posunięcia władz seminaryjnych, szczególnie te związane z przymusowym wydalaniem z uczelni. Jeśli już jestem przy tym bolesnym temacie pragnę przytoczyć jeszcze jedną autentyczną historię. Ocenę pozostawiam Tobie czytelniku!

W następnym roczniku, który przyszedł po mnie, jednym z nowych nabytków wrocławskiej alma mater był niejaki Arek. Arek był chłopcem zdolnym o dość pogodnym usposobieniu. Wyróżniał się niezwykłą życzliwością i taktem. Z tymi pozytywnymi cechami charakteru nie szła jednak w parze jego uroda. Miał twarz całą w bruzdach po

przebytej ospie, a do tego trądzik różowaty z ropnymi wykwitami. Nie było chyba kleryka w seminarium, który na widok Arka nie obruszyłby się. Prawo kanoniczne, wg. którego funkcjonuje Kościół, zabrania wyświęcania na kapłanów „mężczyzn o odstręczającym wyglądzie”. Jeśli tak, to na zdrowy rozum, nie powinni oni w ogóle być przyjmowani do seminarium. Tymczasem Arek został przyjęty. Przy bliższym poznaniu okazał się wspaniałym człowiekiem. Powołanie wprost z niego emanowało. Był pilny w nauce, rozmodlony, a mimo to zawsze znajdował czas dla innych. Spędził w seminarium dwa długie lata — najcięższy okres przed otrzymaniem sutanny, co miało miejsce na początku trzeciego roku. Jak wszyscy jego kursowi koledzy, tak i Arek przed wakacjami miał już uszytą szatę duchowną.

Fakt ten nie jest bez znaczenia, ponieważ uszycie sutanny wraz z materiałem to wydatek nie mały (ponad tysiąc złotych), a Arek pochodził z biednej rodziny. Właśnie zaliczył ostatni egzamin w sesji letniej i szykował się, jak wszyscy, na wakacje — gdy otrzymał wezwanie do księdza rektora. Ten ni mniej, ni więcej tylko oświadczył mu, że władze seminaryjne są z niego bardzo zadowolone. Pod względem nauki i moralności wyróżnia się spośród swoich kolegów. Jednak odstręczający wygląd twarzy wyklucza jego dalsze dążenie do kapłaństwa. Arek został usunięty.

Seminarium utrzymywało się z chesnego, które płacił każdy z nas oraz z ofiar zebranych przez nas w parafiach. Sam budynek uczelni był ogromny a przy tym wiekowy. Kilka lat przed moim przybyciem ukończono budowę nowoczesnego skrzydła obiektu, który, jak mówiono, pochłonął dziesiątki miliardów starych złotych . Nigdy nie widziałem tak bogatego wystroju wnętrza. W nowym budynku znajdowała się aula ze sceną, a powyżej wielki hol i apartamenty profesorów. W starym gmachu oprócz kleryków mieszkali również moderatorzy i siostry zakonne, które wykonywały różne posługi, m.in. gotowały nam posiłki, prowadziły bibliotekę, pielęgnowały ogród itp.

Tygodnik „Ład Boży” rozprowadzany we wszystkich parafiach diecezji włocławskiej, również miał swoją siedzibę w seminarium. Był tam również: szpitalik dla chorych, świetlice, sale wykładowe, rozmównice dla przyjezdnych gości (nikogo z zewnątrz nie wolno było przyjmować w pokoju). Uczelnia kształcąca przyszłych duchownych, z zewnątrz cicha i majestatyczna, w środku zawsze tętniła życiem i kryła w sobie wysiłek wielu ludzi. Najważniejszym miejscem w całym kompleksie seminaryjnym był mały, starodawny kościółek świętego Witalisa, w którym odbywały się modlitwy starszych — sutannowych roczników. „Portugalczyki” (od noszonych portek) modlili się osobno w kaplicy na piętrze. Obowiązkowe modlitwy zajmowały nam ponad dwie godziny dziennie. Dla jednych było to mało, dla innych — zbyt wiele. Czynnikiem decydującym zdawał się być tu temperament. Cholerycy w czasie dłuższych modlitw wiercili się, rozmawiali, bawili zegarkami itp. Co bardziej praktyczni, zwłaszcza w czasie sesji, czytali skrypty. Flegmatycy w tym czasie często „zaliczali” drzemki. Podczas porannych rozmyślań spali prawie wszyscy. Dochodziło przy tej okazji do śmiesznych sytuacji. Niektórzy głośno pochrapywali, mówili przez sen, a nawet spadali z krzeseł. Przypomnę, że pobudka była o 5.30 (jak mawialiśmy „w nocy”).

Jednakże przyczyna ciągłego niedospania a raczej „przymulenia” była zupełnie inna. Popęd seksualny nie zanikał wraz z powołaniem czy też z chwilą przestąpienia progu seminarium. Wiedzieli o tym dobrze nasi przełożeni, chyba dlatego, że sami mieli kiedyś po dwadzieścia kilka lat. Aby więc uśmierzyć grzeszny popęd młodzieńczych ciał — siostry dodawały nam do posiłków solidne dawki bromu. Kilka razy siostrzyczki nie dysponujące odpowiednimi miarkami, przechrzcili zdrowo jedzenie. Skutek był taki, że klerycy „chodzili po ścianach”, a wychowawcy wyteżali nozdrza — czy to aby nie zbiorowe pijaństwo! Reakcje na brom były różne — w zależności od organizmu. Niektórzy ratowali się nielegalną drzemką w ciągu dnia. Inni zaliczali po kilkanaście kaw tzw. siekier. Ja osobiście znalazłem inny sposób, w wolnych chwilach chwytalem za hantelki i sprężyny. Przewycięzałem senność i miałem świetne samopoczucie, a przy tym zagłuszałem naturalny popęd. Jeśli już jesteśmy przy doprawianiu posiłków, to warto wspomnieć o tym jak one wyglądały.

Lata 1986 — 88 były przednówkiem wielkiego boomu w zaopatrzeniu, ale wtedy nic tego jeszcze nie zapowiadało. My klerycy odczuwaliśmy dotkliwie ten kryzys. W dodatku siostry, które przyrządzały nam posiłki zdawały się nie mieć o tym zielonego pojęcia (w tym temacie wszyscy byliśmy zgodni). Dość powiedzieć, że na śniadanie był prawie zawsze chleb ze smalcem tzw. tawotem — bez smaku i zapachu oraz herbata z bromem. Na obiad — bliżej niezidentyfikowana zupa bez zapachu (czasami niestety z zapachem), a także kilka stałych potraw typu: smażone kluski z tłuszczem, ryż, placki

ziemniaczane itp. Najbardziej niebezpieczne były jednak tzw. dania mięsne, które przypadały dwa razy w tygodniu. W czwartki jedliśmy kotlety mielone — „granaty”, a w niedziele schabowe (czyt. cienkie, spieczone skorupy nasiąknięte tłuszczem). Kolacja była zazwyczaj odwzorowaniem śniadania. Czasami tylko dochodziła marmolada, żółty lub biały ser. Tłusta kiełbasa w wydzielonych — reglamentowanych plasterkach bywała w niedziele i święta. Niedoświadczeni „pierwszoklasiści” rzucali się nieświadomi podstępnie na wszystkie te specjały po prostu z głodu, ponieważ ilość była ograniczona, a chłopaki zjeść potrafią. Kiedy do późnego wieczora okupowali potem ubikacje, nauczyli się w końcu odżywiania selektywnego.

Jak wspomniałem, przełożeni towarzyszyli nam ciągle przy najróżniejszych zajęciach, ale uznali widocznie, że wspólne spożywanie posiłków to już drobna przesada. Mieli zatem własną kuchnię, kucharki; własne lodówki i zaopatrzenie; stoły przykryte obrusami, herbatę w szklankach, a o tym co jedli dowiadywaliśmy się dzięki unoszącym się ponętnym zapachom. Ratowały nas dary z żywnością, które przychodziły wtedy masowo z zachodu. Zapelniały one wszelkie piwnice i magazyny. Duża część z nich psuła się tam a te, które trafiały na nasze stoły były przeważnie przeterminowane, ponieważ siostry brały zawsze te, które wcześniej przyszły. Mimo tak katastrofalnego wyżywienia nikt nigdy nie ośmielił się protestować. Kilku śmiałków, którzy w przeszłości zdobyli się na krytykę tej lub innych bolesnych spraw, uznano za „wichrzycieli bez powołania” i z czasem usunięto. Skutek tego wszystkiego jest taki, że obecnie większość księży w diecezji ma wrzody lub inne kłopoty żołądkowo — wątrobowe. Moderatorzy i profesorowie wielokrotnie i bez ogródek mówili nam, że — „ten kto ma prawdziwe powołanie przetrwa wszelkie kłopoty i przeciwności”.

Niewątpliwie było w tym wiele prawdy. Często, kiedy wieczorem kładłem się z pustym żołądkiem do łóżka — różaniec czy odmawiane z pamięci litanie — pozwalały zapomnieć o uczuciu głodu. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy czwartkowych i sobotnich spacerów, podczas których można było najeść się do syta w restauracji lub barze. Gorzej było z paczkami przywożonymi przez rodzinę. Oficjalnie było to zakazane, ale kulinarne podziemie kwitło. Latem, z trudem przemycane wałówki, jeszcze trudniej było przechowywać, aby się nie popsęły. Królowały więc konserwy, podsuszana kiełbasa i ciasto. Zimą, torby z żywnością wkładaliśmy pomiędzy okna albo wiązaliśmy za sznurki, po czym cały pakunek umieszczaliśmy na zewnętrznym parapecie.

Kiedy byłem na drugim roku, mieszkałem z chłopakiem ze wsi (taki współmieszkaniec był na wagę złota), do którego wyjątkowo często przychodziły „zrzuty”. Kiedyś po większym świniobiciu „zrzut” był rekordowo duży. Przyszedł w piątek, więc na sobotę rano zaplanowaliśmy solidną ucztę. Zapach świeżych, wiejskich wyrobów nie pozwalał zasnąć w nocy, mimo, że dwie wypchane torby umieściliśmy za oknem.

Rano po Mszy, jako pierwszy wpadłem do pokoju, żeby wszystko poszykować na przyjęcie kolegów, którzy mieli przynieść świeży chleb ze stołówki. Jakież było moje przerażenie, gdy za oknem zobaczyłem rozerwane reklamówki i stado gołębi wydziobujących resztki jedzenia!

Może zbyt szeroko rozpisuję się na tematy kulinarne, ale zrozumcie młodych facetów, którzy autentycznie przez 6 lat nie mieli innych ziemskich przyjemności poza dobrą wyżerką. Dziwić się księżom? — ich apetytom i brzuchom, które niemal stały się ich atrybutem? Niektórzy wytrawniejsi kuchmistrze posiadali skrzętnie poukrywane całe komplety: garnek, patelnię, kuchnię elektryczną, zdarzały się nawet prodiże i piekarniki.

Przyrządzaniu posiłków, zwłaszcza tych „na gorąco” towarzyszył cały ceremoniał i podział obowiązków. Zazwyczaj jeden organizował pieczywo, inny rozgrzewał sprzęt, a najbardziej wprawny przyrządzał jadło. Ze względów bezpieczeństwa konieczna była również funkcja stojącego na czatach. Do tego ostatniego należało wykonanie czynności myśląco — maskujących, które zazwyczaj sprowadzały się do rozpylania na korytarzu dezodorantu „Derby”. Przełożeni w takich wypadkach byli zdezorientowani. Biegali od pokoju do pokoju. Był zatem czas na zwinięcie sprzętu, a często na dokończenie uczty. O dziwo nawet konfidenci nie wykazywali się na tym polu. W końcu sami z tego korzystali.

Seminarium duchowne to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Honorowane przez państwo — ma status wyższej uczelni. Jednakże formacja seminaryjna idzie w dwóch kierunkach: intelektualnym i moralnym z akcentem na ten drugi. Nie znaczy to wcale, że zaniedbuje się wykształcenie — wręcz przeciwnie. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie przedmioty wykładowe, z których przez 6 lat zdawaliśmy egzaminy, zaliczenia i kolokwia. W każdej sesji letniej lub zimowej zdawaliśmy po kilkanaście egzaminów i tyleż zaliczeń. W czasie 6-cio letnich studiów poruszana jest praktycznie każda dziedzina wiedzy ogólnej (poza filozofią, teologią i przedmiotami stricte kościelnymi). Studiowaliśmy więc: astrologię, psychologię, literaturę, elementy medycyny i wiele innych. Wśród języków królowała oczywiście łacina, ale też greka i język hebrajski. Spośród nowożytnych, do wyboru: angielski, niemiecki lub francuski.

Wszystkie te przedmioty poza nielicznymi wyjątkami, stały na wysokim poziomie. Profesorowie, zazwyczaj księża, byli absolwentami najlepszych uczelni europejskich: Sorbony, Oxfordu, rzymskiego „Gregorianum”, a także KUL-u i warszawskiego ATK. Kluczowe stanowiska moderatorów oraz wśród kadry profesorskiej zajmowali zawsze absolwenci Akademii Papieskiej. Większość polskich biskupów rekrutuje się właśnie z tzw. „Gregorianum”. Każdy profesor wykładający w seminarium musiał mieć co najmniej tytuł doktora. Wykłady były oczywiście obowiązkowe. Obowiązkowy był także kilkugodzinny czas przeznaczony na naukę prywatną w pokojach. Śmiem twierdzić, że nie ma w naszym kraju bardziej ciężkich i wszechstronnych studiów. Prawdą jest, że w seminariach nie obowiązują egzaminy wstępne, ale analogiczną funkcję spełniają pierwsze dwa lata studiów, po których odpada około połowa adeptów. Prawdziwą zmorą dla kleryków, zwłaszcza na pierwszym i drugim roku, jest łacina. Z książką do łaciny chodzi się wtedy wszędzie, nawet do ubikacji. Niektórzy zdesperowani, nie mogąc sprostać wymaganiom, uczyli się nocami zaciemniając szyby w drzwiach i oknach lub też pod kołdrą przy latarce.

Maksymalne wypełnienie każdego dnia nauką (łącznie z niedzielą), przeplataną modlitwami, miało swój sens. Dni mijały szybko, nie było czasu na sprośne myśli, a na tych, którym się taki styl życia nie podobał, zawsze czekała otwarta furta. Każdy z nas miał być małym trybikiem w wielkiej, seminaryjnej maszynie — zawsze gotowy, dyspozycyjny, pokorny, pracowity, rozmodlony, a przy tym radosny i zadowolony z życia. Jeśli choćby jeden z tych atrybutów zawodził, mogło dojść do przykrej niespodzianki podczas rozmowy z przełożonym, która miała miejsce po zakończeniu każdego semestru. Dla przykładu — jednemu z diakonów (po pierwszych święceniach) wstrzymano na cały rok świecenia kapłańskie, gdyż prefektowi studiów nie podobało się, że chłopak chodzi zbyt dumnie po korytarzach, trzymając przy tym za wysoko głowę. Inny o mały włos nie wyleciał z piątego roku za „mrukowate usposobienie”. Stary, wypracowany przez wieki system wychowania w seminarium duchownym był prawie niezawodny.

Łatwiej było kierować dużą grupą mężczyzn urabiając wszystkich na jedno kopyto a tych, którzy nie pasowali do ustalonych ramek — po prostu eliminować. Nie było praktycznie miejsca na żadne indywidualności, a na tym mogły cierpieć tylko parafie — pozbawione na zawsze niekonwencjonalnych, charyzmatycznych głosicieli Królestwa Bożego. Czyż to nie sam Chrystus łamał utarte ludzkie reguły i schematy? To na Jego widok pukano się w głowę. To właśnie On został wyrzucony z pewnego miasta, aby nie burzył tam ustalonych od wieków tradycji. Tymczasem seminaria duchowne nastawione były i są na kształcenie posłusznych urzędników Kościoła, bezpłciowych i bezwolnych robotów, ślepo wykonujących rozkazy biskupów w zamian za godziwy szmal. Na szczęście nie wszyscy poddają się temu praniu mózgu.

Duża część braci kleryckiej podchodziła z dystansem do, jakże często, smutnej seminaryjnej rzeczywistości. Ludzie z charakterem, którzy wiedzieli czego chcą od życia, potrafili urządzić się tak, aby żyć po ludzku w często nieludzkich układach i warunkach. Z drugiej zaś strony umieli oni zdrowo, po męsku podchodzić do zjawisk chorych, rzadko występujących gdzie indziej. Mówiąc o urzędzeniu się w seminarium, myślę przede wszystkim o zawieraniu szczerych, prawdziwych przyjaźni. Takie pary czy też grupy zaufanych przyjaciół i kumpli były jedynym środowiskiem, w którym można było poczuć się na luzie i chociaż przez chwilę być sobą. Człowiek może grać, udawać tylko do pewnej granicy. Jeśli od czasu do czasu nie otworzy się przed kimś bliskim — może zdziwaczeć, a nawet zblizkować. Za mojej bytności w Seminarium Włocławskim, w ciągu trzech lat, były cztery takie przypadki. Czterej faceci, którzy nigdy wcześniej nie mieli kłopotów z głową, popadli nagle w choroby psychiczne. Jeden, jak obłąkany biegał po parku i wykrzykiwał niezrozumiałe słowa, po czym musiano założyć mu kaftan bezpieczeństwa. Inny znowu, w środku nocy budził kolegów w pokoju, pytał się czy może zapalić lampkę albo na cały głos śpiewał „godzinki”. Dwaj następni, w tym jeden po pierwszych święceniach, kładli się krzyżem w kaplicy na całe noce, a diakon — kiedy odesłano go w rodzinne strony — położył się tak przed przydrożną kapliczką.

To były bardzo skrajne przypadki. O wiele więcej było przypadków frustracji, depresji i przygnębienia. Spotykało się chłopaków, którzy dają głowę, że w liceum czy technikum biegali roześmiani po boiskach, błyskali oczami do dziewczyn, mieli radość i nadzieję w sercu — teraz chodzili zamknięci w sobie, mrukliwi, niedostępni, zastraszeni.

Antidotum na takie przeżycie seminarium było jedno: zgrana, pewna paka przyjaciół, gdzie zawsze było wesoło, wszyscy się dobrze rozumieli, nie było tematów tabu. Wszystkich łączył przecież jeden los, te same problemy, radości i smutki. Studia były ciężkie, ale laska powołania dodawała sił. Czuliśmy również nad sobą presję naszych rodzin, najbliższych, którzy się za nas modlili i na nas liczyli.

Paradoksalnie, po kilku latach spędzonych w seminarium, moje powołanie wcale nie słabło, a nawet się w nim utwierdziłem. Zawsze pociągało mnie w życiu to co przychodzi z trudem i wysiłkiem. Wcześniej, jeszcze jako dziecko, nauczyłem się czerpać radość i satysfakcję z przewycięzania różnych przeszkód. Przeciwności losu tylko mnie mobilizowały i dodawały sił. Ale to głównie Jezus, który mnie powołał, On Był Źródłem pociechy i umocnienia. Wielokrotnie, każdego dnia na kolanach dziękowałem Mu i prosiłem o wytrwanie na drodze do Jego kapłaństwa. Wierzyłem, tak jak moi współbracia, że kiedy wyjdę z tych murów jako ksiądz — duszpasterz wszystko się zmieni na lepsze i tylko ode mnie będzie zależało jak będę Mu służył, a pragnąłem służyć wiernie.

Wspomniałem wcześniej o zjawiskach chorych i bolesnych, występujących w niewielu środowiskach, z którymi zetknąłem się w seminarium. Myślę tutaj szczególnie o wszelkiego rodzaju dewiacjach seksualnych, a także o homoseksualizmie. Właściwie z tym ostatnim miałem do czynienia już wcześniej, przed wstąpieniem do seminarium. W czasie gdy chodziłem do liceum, do naszej parafii przyszedł nowy ksiądz wikariusz — Gustaw Dobieralski. Już od pierwszych dni okazał się wspaniałym pedagogiem i duszpasterzem. Był bardzo zdolny, a przy tym serdeczny i wylewny, szczególnie dla chłopców. Ksiądz Gustaw miał czas dla wszystkich. Prowadził otwarty dom z zawsze pełną i otwartą lodówką. W jego mieszkaniu na plebanii było prawdziwe schronisko. Chłopcy, niekoniecznie związani z Kościołem czy też uczęszczający na katechezę, przebywali tam niemal zawsze, ilekroć sam go odwiedzałem. Na pierwszy rzut oka ks. Gustaw prowadził męską ewangelizację. Tak też wówczas o tym myślałem.

Co prawda dziwiło mnie to, a nawet gorszyło, że towarzyski kapłan częstuje winem i piwem nastoletków. Jednego z nich widziałem kiedyś wczesnie rano, jak wychodził z mieszkania księdza. „Na pewno ma jakieś kłopoty rodzinne” — pomyślałem. To właśnie księdzu Gustawowi jako pierwszemu zwierzyłem się ze swoich planów zostania kapłanem. Rozmawialiśmy na ten temat bardzo długo. Od tamtej pory stałem się jego stałym gościem. Wydawało mi się nawet, że ograniczył swoje spotkania z innymi chłopcami. Był dla mnie jak przyjaciel, starszy brat. Nasze drogi jednak dość szybko się rozeszły. Jego przeniesiono nagle do innej parafii, a ja poszedłem do seminarium. Zaraz po jego przeniesieniu, ksiądz proboszcz zabrał mnie na dziwną rozmowę, której tematem była moja znajomość z ks. Gustawem. Byłem wtedy jeszcze na tyle naiwny i bezkrytyczny względem księży, że nawet przez chwilę nie domyśliłem się w czym tkwi problem. Na początku pierwszych seminaryjnych wakacji otrzymałem przemiłą kartkę od „mojego przyjaciela Gucia”, który został proboszczem, urządza się właśnie w swojej parafii i prosi o odwiedziny z ewentualną pomocą. Na miejscu zastałem zaprzyjaźnioną z księdzem starszą kobietę, która przyjechała do niego z córką. Większość dnia zeszła nam na wspólnej pracy: malowaniu, sprzątaniu itp. Wieczorem mój „przyjaciel” wyjaśnił mi, że ma tylko dwa łóżka. Nie wypadało, żebym spał z nastoletnią dziewczyną, a tym bardziej jej matką.

Oczywiste więc było, że śpimy razem z Guciem. Po rocznym pobycie w seminarium nie byłem może tak naiwny jak wcześniej, ale wiara w kapłana, który w dodatku mienił się być moim przyjacielem, pozwalała mi bez obaw położyć się obok niego. Bardzo szybko zacząłem tego żałować. Ksiądz Gustaw zrazu delikatnie zaczął się do mnie przytulać, a potem coraz natarczywiej obłapywał mnie, chwytając przy tym za genitalia. Byłem zszokowany. Wskoczyłem z łóżka jak oparzony. Przeprosił mnie i obiecał, że więcej nie będzie, a ja zdecydowałem się położyć ponownie. Niemal natychmiast poczułem rękę na swoim członku. Sytuacja jednak powtórzyła się. Zacząłem się ubierać i pośpiesznie pakować.

Ublagał mnie abym został. Położyliśmy się po raz trzeci. Tym razem jednak Gustaw tylko drżał na całym ciele, a później zonanizował się i zasnął.

Osobiście nigdy nie potępiałem i nie potępiam homoseksualizmu. Ci, którzy uprawiają ten rodzaj seksu chyba sami najlepiej wiedzą, że jest to niezgodne z naturą i ustanowieniem Bożym. Czy jednak można piętnować ludzi, dla których właśnie taki sposób zaspokajania, chyba największej ludzkiej potrzeby, jest jedynie naturalny? Myślę tu szczególnie o mężczyznach z homoseksualizmem niejako wrodzonym, grupujących się w dobrowolnych związkach. Nierzadko konfiguracje wewnątrz rodziny ukierunkowują w inny sposób zainteresowania seksualne dzieci, np. apodyktyczna, dominująca w małżeństwie żona i matka może wywołać u swojego syna podświadomą niechęć, a nawet strach przed kobietami. W naturalny sposób Ignie on wówczas bardziej do kolegów niż do koleżanek. Istnieją jednak środowiska zamknięte, wyizolowane, gdzie przedstawiciele tej samej płci są na siebie skazani. Są to przede wszystkim zakłady karne, zakony i seminaria duchowne. Z własnych, sześcioletnich obserwacji wiem, że seminaria są prawdziwymi wylęgarniami homoseksualistów. Jest to, przynajmniej dla mnie, proces zupełnie zrozumiały i naturalny. Jeśli zamyka się pod jednym dachem dwie setki dwudziestoparolatków, to nawet „Święty Boże nie pomoże”.

Popęd dany przez Stwórcę musi znaleźć jakieś ujście. Tylko niektóre organizmy mogą przyzwyczać się do zupełnej abstynencji. Przełożeni i tzw. ojcowie duchowni mówili, że cała rzecz polega na wykształceniu w sobie uczuć wyższych — miłości do Boga i wszystkich ludzi, dzieci Bożych. Co do samego popędu konieczne jest wg. nich przetransponowanie potrzeb seksualnych na energię do pracy dla Kościoła. Innymi słowy ksiądz może kochać kobietę widząc w niej tylko dzieło stworzenia. Kiedy jednak przyszło by mu do głowy dotknąć lub co gorsze zdobyć obiekt miłości, musi zamiast tego oddać swoją wybrankę Bogu (tak jakby jedno drugie wykluczało).

To co tak pięknie brzmiało w teorii okazywało się bardzo trudne w praktyce. O tym, jak bardzo brakowało nam obecności czy choćby widoku płci odmiennej można było przekonać się obserwując kleryków na spacerach. Po całym tygodniu spędzonym nad książkami, skryptami i modlitewnikami — watahy kleryckie wychodziły na ulice Włocławka. Biedne były dziewczyny, które w tym czasie znalazły się na ich drodze, zwłaszcza latem. Chłopcy dawali upust młodzieńczej wyobraźni tłumionej przez kilka dni. Rozszerzone szeroko źrenice, przyspieszone oddechy i napięte spodnie mówiły same za siebie. Dziewczęta rozbierano wzrokiem, gwałcono i zniewalano myślami. Dochodziło do komicznych sytuacji, np. w sklepach. Wiele razy widziałem, jak klerycy oniemiaли na widok ładnych ekspedientek zaczynali się jąkać, czerwienić i drżeć. Oni po prostu nie widzieli przez cały tydzień żadnej dziewczyny! Bardziej odważni próbowali niewinnych flirtów, ale było to bardzo niebezpieczne.

Kleryka wyczuwali wszyscy na kilometr. Nie brakowało zgorszonych, usłużnych informatorów, a i towarzyszy spaceru nigdy nie był pewny. Wielu takich, którzy poczuli się za bardzo na luzie, nigdy nie doczekało święceń. Nie musiało nawet chodzić o kontakty z dziewczynami. Wystarczało małe piwo wypite w kawiarni.

Czy można się zatem dziwić, że klerycy, zwłaszcza z kilkuletnim stażem, po prostu dawali sobie spokój. Woleli się niepotrzebnie nie napalać, a towarzystwa szukać wśród swoich. Kiedy ma się pod ręką miłego kolegę, a perspektywa kontaktu z dziewczyną jest tyleż zabroniona co nierealna — na skutki nie trzeba długo czekać. Efektem takiego narzuconego stylu życia były związki koleżeńsko-uczuciowe, a także seksualne. Zazwyczaj zaczynało się to niewinną znajomością, zaproszeniem na spacer, rozmową (często na zbożne tematy). Jak w każdym związku uczuciowym dwojga ludzi — jeśli zawiązywała się ta niewidzialna nić porozumienia — związek się rozwijał. Ugruntowywało go wzajemne zaufanie — bardzo ważna rzecz w seminarium. Bariery był pierwszy kontakt fizyczny — dotknięcie ręki, przytulenie, niewinny, przyjacielski pocałunek. Później wszystko szybko wymykało się spod kontroli, a zakamarków w seminarium nie brakowało.

Może to co piszę wydaje się komuś nieprawdopodobne lub wręcz kłamliwe. Oświadczam zatem otwarcie, że mam prawo pisać prawdę o zjawiskach, które miały miejsce i o rzeczywistości w której sam uczestniczyłem! Tak, mnie również to nie ominęło. Mogę złożyć własne świadectwo, że normalny chłopak, który jako nastolatek zakochiwał się dziesiątki razy w dziesiątkach dziewczyn, który miał marzenia erotyczne i właściwie ukierunkowany popęd, że ten chłopak tzn. ja sam stałem się niemal homoseksualistą. Wycofałem się (dosłownie!) w ostatniej chwili i wiem, że zawdzięczam to Łasce Bożej. Nie dziwię się jednak zupełnie tym, którzy poddali się podobnym uczuciom i zabrnęli o wiele dalej niż ja. Śmiem twierdzić, iż większość z nas, przynajmniej przez jakiś okres czasu, czuła pociąg seksualny skierowany do własnej płci. Wielu żyło w stałych, homoseksualnych związkach, które przetrwały lata. Niektórzy byli pederastami jeszcze zanim wstąpili do seminarium, dokąd przyciągnęło ich zamknięte, męskie grono.

Zakochani w sobie chłopcy łączyli się w pary. Wychodzili razem na wszystkie spacerki, odwiedzali się ciągle w swoich pokojach, wykorzystywali każdy moment aby być sam na sam. W seminaryjnym parku, tzw. wirydarzu była alejka zakochanych, gęsto zarośnięta wysokim żywopłotem. Widziałem kiedyś, jak jeden z pupilków prorektora całował i obmacywał tam innego chłopca. Słyszałem jęki kąpiących się wspólnie w maleńkich, prysznicowych kabinach.

Zadziwiający był dla mnie brak reakcji ze strony przełożonych na tego typu zjawiska. Musieli przecież o wszystkim dobrze wiedzieć, a przy odrobinie szczęścia nawet to i owo zobaczyć. Wytłumaczenie może być tylko jedno — skala problemu była tak wielka, że nie warto było z nim w ogóle walczyć. Być może biskupi i przełożeni zdawali sobie sprawę, iż takie zachowania są konsekwencją ich własnych wymogów i działań. Poza tym zjawisko to dotyczyło wielu księży pracujących w parafiach. Lepiej więc było nie ruszać problemu żeby nie śmierdziało. Naturalnie, obok przyjaźni erotycznych istniały również te zdrowe, męskie, które jak już wcześniej wspominałem, dawały nam wiele radości i pozwalały przetrwać w trudnych chwilach. Takie kleryckie, a potem kapłańskie przyjaźnie trwają często do samej śmierci. O wiele łatwiej jest dźwigać swój krzyż, gdy ktoś mający podobny ciężar potrafi na czas podać pomocną dłoń.

Powróć jednak do moich losów za murami Seminarium Włocławskiego. Przyznać muszę, że mimo wielu niedostatków i dylematów, życie kleryka — alumna odpowiadało mi. Wypracowałem swój własny sposób na przetrwanie i chociaż sztuką było nie stracić powołania w seminarium — moje nie słabło. Tłumaczyłem sobie niedoskonałości systemu słabościami ludzkimi i na odwrót. Sam byłem grzesznym, słabym człowiekiem i może właśnie najbardziej irytowało mnie to, że inni słabi ludzie robili z siebie aniołów. W wyuczony, przewrotny sposób, często kosztem innych — swoje własne słabości kamuflowali nabożną retoryką albo pseudomistycznymi zachowaniami. Tacy klerycy — mistycy tworzyli w seminarium odrębne grupy i koła wzajemnej adoracji, manifestując w ten sposób swoją wyższość nad innymi. Nauczyłem się podchodzić do nich z pobłażaniem i dystansem. Nauka szła mi bardzo dobrze. Starłem się być towarzyski i żyć na względnym luzie. Bardzo pomagało mi poczucie humoru.

Coraz częściej uprawiałem ćwiczenia kulturystyczne, co pomagało w utrzymaniu kondycji ciała i równowagi ducha. W wolnych chwilach uczyłem się również języka angielskiego i odwiedzałem czytelnię. Tak, jak chyba większość kolegów odmierzałem czas do kolejnego wyjazdu w rodzinne strony. Tych wyjazdów nie było wiele. Najbardziej oczywiście cieszyły dwumiesięczne wakacje. Wolne mieliśmy również kilka dni po sesji zimowej oraz Święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy.

Kiedy nastał nowy biskup ordynariusz — Henryk Muszyński — w kleryckie serca wstąpiła nadzieja na poprawę losu — lepsze jedzenie, częstsze spacery, wyjazdy do domu itp. Zmiany rzeczywiście nastąpiły. Biskup Henryk na spotkaniu z przełożonymi i klerykami powiedział m.in, że Wielkanoc i Boże Narodzenie to Święta bardzo rodzinne, a zatem należy je spędzać w gronie najbliższych. „Dla was najbliższą rodziną są teraz współbracia z seminarium” — powiedział. Podwyższono również chesne i zaostorzono wymagania na egzaminach. W taki oto sposób po raz pierwszy w życiu nie byłem w domu na Wigilii i obu Świętach. Nawiasem mówiąc, wizyty w parafiach rodzinnych nie różniły się na ogół aż tak bardzo od seminaryjnej rzeczywistości. Kuratelę od przełożonych przejmowali nasi proboszczowie, którzy często wysługiwali się klerykami w zamian za dobrą opinię.

Takie sprawozdania z pobytu alumna w parafii przychodziły regularnie do uczelni po każdych wakacjach. Niektórzy klerycy przebywali na plebaniach i w swoich świątyniach od rana do wieczora. Układali kwiaty w wazonach, zmywali posadzki, przycinali żywopłoty, trzepali dywany itp. Nie muszę chyba wspominać, że codziennie przychodziliśmy na Mszę Świętą i adorację, a w niedzielę na kilka Mszy. Ewentualne wyjazdy poza parafię musiały być uzgadniane z proboszczem, który mógł na nie wyrazić zgody. Te i inne wymogi dotyczyły wszystkich alumnów. Mnie osobiście najbardziej doskwierał ciągły „obstrzał”, zwłaszcza ze strony leciwych parafianek. Wychodząc w wolnych chwilach do miasta czułem na sobie spojrzenia dziesiątków par oczu, śledzących każdy mój krok. Nie mogłem wejść do sklepu monopolowego, chociaż właśnie tam sprzedawano moje ulubione ciastka. Nie wolno mi było porozmawiać z koleżanką z liceum, kupić papierosy dla ojca itd. Czułem się napiętnowany, trędowaty, wręcz nienormalny, ale takie ograniczenia dobijały mnie dopiero w kapłaństwie.

W czasie moich pobytów w domu, atmosfera ciepła rodzinnego i życzliwość rodziców, były dla mnie najlepszym ukojeniem i źródłem radości. Jako jeden z nielicznych lubiłem także powroty do seminarium — do kolegów i regulaminu. Zdawałem sobie sprawę, że tam jest moje miejsce i moja droga do kapłaństwa.

Wspominałem już o nowym wrocławskim ordynariuszu — dzisiejszym arcybiskupie Gnieźnieńskim — Henryku Muszyńskim. Zetknąłem się z nim osobiście w czasie wakacji, po drugim roku studiów. Był to mój pierwszy tak osobisty kontakt z biskupem. W Diecezji Wrocławskiej, która nigdy nie była zbyt postępową, biskupa ordynariusza otaczano wprost boską czcią. Każdy biskup to „alter Christus” — zastępca Jezusa wśród diecezjalnej owczarni. Zawsze jednak miałem wielkie trudności (i to nie tylko ja), z odróżnieniem kultu Chrystusa, którego reprezentował biskup — od kultu samego biskupa. Ordynariusz mieszkający w pałacu był niedostępny dla zwykłych śmiertelników, a jednocześnie sprawował wobec nich władzę absolutną (oczywiście tylko duchowną).

Biskup ordynariusz mógł zrobić wszystko z podległymi mu kapłanami, zakonnikami, siostrami, klerykami itp. Znam przypadek, kiedy biskup mając złość na jednego księdza — co miesiąc kazał mu zmieniać parafie. Przez pół roku biedak wpadł w nerwicę, zniszczył przez przeprowadzki wszystkie meble i stał się pośmiewiskiem całej diecezji. Kiedy biskup ze swoją świtą miał przyjść do seminarium wyznaczano jednego z kleryków, który miał przed ekscelencją otwierać wszystkie drzwi. O fanaberiach biskupów można by napisać trylogię. Powrócę jednak do ówczesnego, nowego „ojca” Diecezji Wrocławskiej.

Podczas dwumiesięcznych wakacji obowiązywał nas dwutygodniowy dyżur w seminarium. W czasie takiego dyżuru kiedyś rano zadzwonił telefon. Dzwonił kapelan samego ordynariusza. Okazało się, że ksiądz biskup wprowadza się do pałacu i potrzebuje natychmiast dwóch kleryków do pomocy przy układaniu książek. Poszedłem na ochotnika z bliskim kolegą. Zostaliśmy zaprowadzeni do salonu o bardzo wysokich ścianach, całych zabudowanych regałami na książki, na środku pokoju, na stylowym fotelu siedział sam książę Kościoła. Przywitał się z nami podając dłoń do ucałowania, po czym wydał rozkazy. Nasza praca polegała na tym, że braliśmy do ręki książkę z ogromnej sterty leżącej w drugim pokoju. Z tą książką biegliśmy do biskupa, a on palcem wskazywał dla niej miejsce. Cały czas siedział przy tym na fotelu i popędzał nas. Po kilku godzinach takiej bieganiny nadeszła pora obiadowa. Pech chciał, że w tej samej chwili nastąpiło oberwanie chmury.

Biskup kazał nam biec do seminarium i wrócić za pół godziny. Zanim wyszliśmy, zasiadł przy wielkim stole, a dwie siostry zakonne zaczęły mu usługiwać, nakładając potrawy na srebrną zastawę! W tym samym czasie rodzona siostra biskupa — która przyjechała mu pomóc — jadła w kuchni. Głodni pobiegliśmy do seminarium, ale zdążyliśmy zjeść tylko cienką zupę. Biegiem w potokach deszczu wróciliśmy do pałacu. „Spóźniliście się trzy minuty” — przywitał nas biskup. Bieganina przy książkach trwała prawie do wieczora. Byliśmy u kresu sił, bowiem prawie za każdym razem, kiedy kładliśmy książkę na miejsce, trzeba było także przytaszczyć tam wcześniej drewniane schodki. Przez cały dzień pracy we „trójkę” nasz chlebodawca ani razu nie zaszczyił nas uśmiechem, nie wdawał się w żadną rozmowę. Raz tylko zapytał, czy uczymy się języków obcych i jakie mamy oceny. Jak żyję nie widziałem większego bufona. Nie zdziwiło nas, że na koniec zamiast słowa „dziękuję” usłyszeliśmy — „macie chłopcy”.

Dostaliśmy dwa snikersy.

Jak już wspomniałem takie i temu podobne sytuacje nie załamywały mnie na tyle, abym zaczął wątpić w sens mojego pobytu w seminarium. Pewnego razu zdarzyło się jednak coś, co wstrząsnęło mną do głębi. Wśród kleryków zaczęła kursować fama o niewyjaśnionej śmierci młodego księdza. Był nim wikariusz mojej rodzinnej parafii — ks. Mariusz Fatalski. To było niewiarygodne! Parę miesięcy wcześniej prowadziłem wspólnie z nim pielgrzymkę. Grał świetnie na gitarze i pięknie, donośnie śpiewał. Był pełen życia i energii. W ogóle wyglądał na okaz zdrowia i siły — wzrost ok. 190 cm, atletyczna budowa ciała; miał 36 lat.

Kiedy wspominałem wspólnie spędzone z nim chwile przypominałem sobie jednak, że mimo pogodnego usposobienia bywał coraz częściej przygnębiony. Widać było, że coś go gryzło, dręczyło. Po jakimś czasie pojechałem do swojego miasteczka i dowiedziałem się o wszystkim. Historia, którą usłyszałem brzmiała jak koszmarny scenariusz dreszczowca. Niestety była prawdziwa. Potwierdził ją proboszcz w rozmowie z moimi rodzicami, a później dość szeroko pisała o tym jedna z lokalnych gazet.

Mariusz miał powodzenie już w szkole średniej. Wesoły, zdolny, a przede wszystkim super przystojny chłopak był obiektem westchnień wielu dziewcząt. On wybrał tę jedną, jedyną. Młodzieńcza miłość kwitła, ale równocześnie z miłością zakwitło w Mariuszu powołanie do kapłaństwa. Chłopak, jak wielu jego rówieśników w podobnych sytuacjach, stanął przed wielkim, życiowym dylematem. Poszedł w końcu za głosem powołania i wstąpił do seminarium. Ale czy można wyrzucić z serca prawdziwą miłość? Długo nie wytrzymał bez ukochanej dziewczyny, a i ona czekała na jego powrót.

Nie mogli żyć bez siebie, a on nie mógł żyć poza drogą powołania. Przez sześć lat nauki w seminarium, przerwanych służbą wojskową, spotykali się w tajemnicy przed wszystkimi. Dotrwali tak do jego święceń kapłańskich. Dziewczyna pozostała mu wierna — nie założyła własnej rodziny. Pogodziła się z życiem „utrzymanki księdza”. On sam od początku żył w konflikcie z własnym sumieniem. Próbował wielokrotnie zerwać z podwójnym życiem, ale uczucie do kobiety było zbyt głębokie. Pojawiło się dziecko. Sprawy zaszły za daleko, aby można było cokolwiek zmienić. Ksiądz Mariusz borykał się samotnie ze swoim bólem przez 10 lat kapłaństwa. Według przepisów prawa kanonicznego — niegodnie, świętokradzko każdego dnia odprawiał Mszę Świętą, spowiadał, udzielał Komunii Świętej itp. Perspektywa spędzenia całego życia w zakłamaniu okazała się dla niego nie do zniesienia. Popęłił okrutne samobójstwo. W swoim mieszkaniu na plebanii zranił się nożem kuchennym w pierś. Nie mógł jednak skonać, gdyż nóż przeszedł tuż obok mięśnia sercowego. Brocząc obficie krwią przeczołgał się z sypialni do kuchni. Wziął większy nóż i tym razem skutecznie przebił sobie serce. Całe mieszkanie było zalane kałużami krwi. Proboszcz, który przyszedł do niego z pretensjami, że nie zjawił się na rannej Mszy — doznał szoku. Urzędnicy kurii biskupiej w porozumieniu z biurem śledczym milicji zatuszowali skutecznie całą sprawę. Przed plebanią, dzień po dramacie, zebrał się wielki tłum ludzi, którzy chcieli dowiedzieć się prawdy. Większość była przekonana, że to kolejna zbrodnia komunistów na niewinnym kapłanie. Nie minęły jeszcze dwa lata od zabójstwa ks. Popiełuszki.

Bolesna prawda o tym, co się stało dotarła jakoś do ludzi, złagodziła nastroje, ale do dziś mieszkańcy miasta wspominają to z przerażeniem. Osobiście jestem przekonany, że ks. Mariusz Fatalski był może jedną z najstraszliwszych, ale na pewno nie jedyną ofiarą celibatu. Wcale nie musiał zginąć młody człowiek, oddany sprawie Kościoła kapłan. Zabił go chory, wynaturzony, anachroniczny system. Długo nie mogłem dojść do siebie po tej niesamowitej historii. Brewiarz, z którego nadal się modłę, a który ksiądz Mariusz ofiarował mi na kilka miesięcy przed swoją śmiercią, ciągle przypomina mi o tym dramacie.

Chociaż nigdy nie byłem w wojsku, z tego co słyszałem, życie w seminarium jest do niego podobne. Mam na myśli wojsko sprzed ok. dziesięciu lat. Zamiast ćwiczeń fizycznych i strzelania są ćwiczenia duchowe. Grzanie „lufy” zastępuje grzanie „czachy”. Rytm życia dyktuje regulamin, a okresowe manewry to seminaryjne rekolekcje. Tak w wojsku, jak i w seminarium stosowane są kary i rygory (często bardzo podobne, np. cofnięcie przepustki — spaceru). Mówiąc o podobieństwach, nie myślę oczywiście o samej idei przebywania w tych dwóch odmiennych przecież środowiskach. Przede wszystkim jednak seminarium wybiera się z własnej woli. Zawsze będę uważał, że to nie jest zwyczajna ludzka wola i droga, ale droga Bożego powołania. To, jaką ją uczynili ludzie — jakie znaki i zakręty na niej postawili — to druga sprawa.

Wracając jednak do samego rytmu życia wojska i seminarium — patrząc od strony ludzkiej — jest tu bardzo wiele podobieństw. Żartobliwie można by stwierdzić, że jedną z niewielu różnic jest niekonwencjonalny sposób opuszczania tych dwóch środowisk — w wojsku „za karę” można posiedzieć dłużej, zaś w seminarium — krócej. Niewątpliwie do podobieństw należy zaliczyć traktowanie tzw. kotów. W przypadku moim i moich kolegów, ten przykry okres trwał przez całe dwa pierwsze lata tj. do chwili otrzymania szaty duchowej — sutanny. Szczególnie pierwszy rocznik kotów jest dotkliwie tępiony, tym dotkliwiej, że praktycznie przez wszystkich, łącznie z siostrami zakonnymi.

Okres moich studiów we Włocławku to czas chyba największego poboru do seminarium. Pierwsze roczniki liczyły po 40 i 50-ciu alumnów. Nie bez wpływu na to był fakt, że we Włocławku i całej diecezji nie było żadnej wyższej uczelni. Tak duża ilość „narybku” musiała być nękana i tępiona. Pamiętam dokładnie pierwszy wykład z logiki u księdza prof. Jana Nowaczyka, nazywanego „pogromcą kotów”. Niewysoki, korpulentny jegomość z grymasem niezadowolenia na twarzy i wiecznie zmarszczonymi brwiami — już na pierwsze wrażenie wydawał się niezbyt przyjaźnie nastawiony. Wszedł na katedrę, spojrzął na długą listę pierwszaków i z niedowierzaniem niemal krzyknął — „ilu was tu jest! Połowa wystarczy!”

Po tych słowach pokiwał znacząco głową, skrzywił się i zaczął grzebać w grubej teczce. Wyjął z niej kilka najnowszych gazet i ku naszemu zdumieniu zaczął czytać ogłoszenia z rubryki pod hasłem: oferta pracy — „potrzeba ślusarzy, tokarzy, murarzy itp. itd.” Szeryf z Chabielic (to jego druga ksywa), jak się później okazało, nie żartował. Spośród wszystkich profesorów robił na egzaminach największe spustoszenie. Na jego wykładach czuliśmy się dużo młodszy, zupełnie jak w czasach podstawówki. Zazwyczaj bowiem po modlitwie i sprawdzeniu obecności następowało ostre, sakramentalne polecenie, np. „Kowalski do tablicy!”- Szeryf jednak stawiał dwóje znacznie częściej niż pani od matematyki.

Wszyscy profesorowie zwracali się do nas bezosobowo lub po imieniu, bez względu na naszą wysługę lat w seminarium. Nieraz po tonie ich wypowiedzi miało się wrażenie, że jest się w terminie u szewca, a nie w uczelni duchownej. Z większym szacunkiem podchodzono jedynie do diakonów, którzy też jako jedyni mieszkali po dwóch w pokojach. Tylko pani od polskiego czuła przed nami niewielki, ale wyczuwalny respekt, a może była to słabość. Była to jedyna kobieta wśród profesorów. Wykładała literaturę polską i fonetykę — niestety — niedługo. Wkrótce wyszła za mąż za jednego z ...diecezjalnych księży.

Tak zwana wysługa lat, o której już wspomniałem, liczyła się najbardziej wśród samych kleryków. Większość alumnów ze starszych roczników nękała i poniżała młodszych kolegów. Przejawiało się to na ogół w bardzo przykrym lekceważeniu. Niektórzy dotkliwie to przeżywali. Czuli się psychicznie upodleni. Nie budowało to wcale wspólnoty, o której mówili przełożeni, ale skutecznie ją niszczyło. Samo określenie — wspólnota seminaryjna — było chyba najczęściej w użyciu. Wspólnotę — jedność mieli tworzyć wszyscy seminarzyści i profesorowie. Seminarium miało być „szkołą miłości chrześcijańskiej”.

Tymczasem rzeczywistość wyglądała o wiele inaczej. Klerycy dzielili się na samotników, tzw. zajętych, czyli żyjących w parach oraz na „zrzeszonych” w hermetycznie zamkniętych paczkach i klikach. Takie rozbitcie seminaryjnej wspólnoty było naturalną konsekwencją stylu kleryckiego życia i warunków panujących w seminarium. Czy niemal zupełna izolacja od świata i płci przeciwnej albo podżeganie do donosicielstwa mogło rodzić inne postawy?

Jednym z podstawowych celów wychowawczych w formacji moralnej było wychowanie kleryka — przyszłego księdza — do ubóstwa. W dzisiejszym, zmaterializowanym świecie, ubóstwo — jako cel sam w sobie — nie ma racji bytu. Jednak dla idei kapłaństwa służebnego i zdecydowanego pójścia za Chrystusem, ubóstwo materialne ma swój sens i co najważniejsze — jest osiągalne, jak nam ukazują konkretne przykłady. Oczywiście trudno jest przekonać dwudziestolatka, choćby nie wiem jakie miał powołanie, że ma chodzić w podartych spodniach czy dziurawych butach. Nie o to zresztą chodzi. Ksiądz nie powinien (i tu wszyscy są zgodni) przywiązywać się zbyt do dóbr materialnych. Nie wolno mu traktować swojej parafii jak dochodowego folwarku, a parafian jak dojne krowy. Niestety, często tak to właśnie wygląda w praktyce. Do tego tematu jeszcze powrócę. Tymczasem chciałbym sięgnąć do przyczyn takich postaw wśród kleru.

Źródeł takiego stanu rzeczy trzeba upatrywać właśnie w błędach wychowania seminaryjnego. Jeśli chodzi o tzw. wychowanie do ubóstwa to funkcjonuje tutaj, jak w niemal całej formacji przyszłych kapłanów, ciągła rozbieżność słów z czynami, oczekiwań z efektami, a wszystko w końcu sprowadza się do pobożnych życzeń. Pustosłowie i brak „żywych przykładów dla stada” — o czym mówił Jezus, nie może owocować.

Seminarium to szkoła życia, to miejsce gdzie kształtują się sumienia, serca i charaktery młodych ludzi, którzy po kilku latach staną się autorytetami moralnymi dla rzesz wiernych. Dla wielu z nich kapłan jest wciąż niemal wyrocznią. Ludzie tracąc zaufanie do zgniłego, zmaterializowanego świata; pełnego nienawiści, kłamstwa i wyzysku — zwracają się w stronę Boga i Jego sług, księży. Chcą usłyszeć, że życie jest więcej warte niż dom ich marzeń, którego nigdy nie wybudują; najnowszy mercedes, którego nigdy nie kupią.

Ludzie chcą to usłyszeć, ale w rzeczywistości chodzi im o to, aby zobaczyć na własne oczy, że można żyć inaczej – bez chciwości, zdzierstwa i oszustwa. Chcą się przekonać, że są inni ludzie, którzy znajdują radość w dawaniu, a nie w braniu; szczęście – w służeniu potrzebującym i pokrzywdzonym; sens życia – w miłości Boga i bliźniego. Wierni Kościoła mają prawo oczekiwać takiej postawy od swoich kapłanów! Nie mogą wymagać od nich świętości, nieomyślności, skrajnego ubóstwa, biczowania się czy innych umartwień, a tym bardziej życia niezgodnego z ludzką naturą – czystości, celibatu, bezdzietności. Mają jednak prawo i powinni żądać od uczniów Chrystusa — uczciwego życia, w którym dominują wyższe wartości. Cały dylemat polega jednak na tym, że młody człowiek przychodząc do seminarium i poznając stopniowo realia panujące w kręgach duchowieństwa — nie znajduje dla siebie wzorców godnych naśladowania, a żywy przykład ma w tym przypadku znaczenie decydujące.

Biskupi, księża w parafiach, a zwłaszcza przełożeni i profesorowie w seminarium, na których spoczywa największa odpowiedzialność — swoim postępowaniem udowadniają coś wręcz odwrotnego. Ich zachowania demaskujące filozofię życiową, wskazują na to, że oni — w odróżnieniu od Jezusa — nie przyszli do biednych i potrzebujących, ale do bogatych i wpływowych. Współcześni uczniowie Pana wolą politykować i rządzić niż duszpasterzować swoim owczarniom. Zastrzegam, iż ta bardzo negatywna opinia nie dotyczy wszystkich księży w Polsce, ale z całą pewnością — większości z nich.

W każdym seminarium duchownym (tak było również we Włocławku) jest przynajmniej kilkunastu kleryków pochodzących z innych diecezji oraz przeniesionych z innych seminariów. Wymiana poglądów na powyższe tematy była więc nieunikniona i przekonywała nas o tym, że Kościół jest rzeczywiście powszechny i wszędzie dzieje się podobnie. Nie każdy znajduje w sobie dość siły aby wyrwać się z obowiązujących schematów i zwyczajów. Księża żyjący skromnie pod względem materialnym uważani są za dziwaków i traktowani przez swoich współbraci z przymrużeniem oka. W czasie 6-ciu lat studiów klerycy wysłuchują setki konferencji moderatorów, ojców duchownych i rekolekcjonistów na temat konieczności życia w ubóstwie.

Kiedy byłem na drugim roku, nasz ksiądz rektor — Marian Gołębiowski (dzisiejszy biskup) wygłosił przez parę miesięcy cały cykl wykładów na ten temat. Każdego wtorku całe seminarium zbierało się w ogromnej auli aby słuchać, przez co najmniej godzinę — naprawdę mądrych, przemyślanych i popartych przykładami wywodów księdza rektora. Nasz zacny, jak go nazywaliśmy — Ezechiel, nie ustrzegł się jednak od pewnych niedorzeczności. Jedna z takich „wpadek” została skwitowana salwą śmiechu.

Mianowicie ksiądz rektor, jedną ze swoich dłuższych wypowiedzi, skonkludował tym, że księdzu — zwłaszcza wikariuszowi — w ogóle nie potrzebny jest samochód (sam jeździł wtedy peugeotem). Polecał natomiast kupno roweru — bo trzeba jednak, zwłaszcza w wiejskich parafiach kolędować i dość często spieszyć z posługą kapłańską do chorych oddalonych o wiele kilometrów czy też do sal katechetycznych. Pieniądze, za które księża kupują „zachodnie wozy” radził przeznaczyć na porządny, długi kozuch — aby przetrwać ciężkie zimy w nieopalanym kościele i zimowe kolędy. Przed naszymi oczami pojawił się obraz księdza przemierzającego na rowerze śnieżne zasy, ubranego w długi, ciężki kozuch.

Ta rewolucyjna wizja, jakże odmienna od realiów panujących w tzw. terenie — tyleż samo utopijna i nierealna co komiczna — wywołała niepohamowany ogólny śmiech. Po niespełna tygodniu od wspomnianej konferencji, ksiądz rektor przyprowadził prosto z salonu najnowszy model nissana w kolorze srebrny metalik. Zakończył tym faktem swój kilkumiesięczny cykl konferencji na temat ubóstwa. Może doszedł do wniosku, że jest za stary na jazdę rowerem, choć miał dopiero 50 lat, albo że rower mu się nie przyda — bo nie pracuje na wiejskiej parafii. Obawiam się jednak że nie zastanawiał się nad tym co zrobił. Obchodził niedawno 25-cio lecie kapłaństwa. Miał więc bardzo dużo czasu aby przyzwycząić się, że w Kościele — jak w życiu: mówi się swoje i robi się swoje. W każdym razie w kożuchu nigdy go nie widziałem.

Mógłbym mnożyć podobne przykłady na to, jak faktycznie przebiegała formacja duchowa kleryków i ich wychowanie do ubóstwa. Nasi przełożeni zdawali się o tym nie wiedzieć, ale do nas przemawiały tylko żywe przykłady — to one formowały i wychowywały; niestety — najczęściej gorszyły i zniechęcały. Różne były nasze reakcje na takie podwójne wychowanie. Większość przejęła w końcu filozofię przełożonych i uznała dwulicowość za konieczny atrybut kapłańskiego życia. Inni, po cichu się buntowali.

Jeszcze inni próbowali usprawiedliwiać nasze „wzory życia kapłańskiego”. Bardzo rzadko ktoś odważył się na jakąś formę sprzeciwu. Osobiście pamiętam tylko jeden taki drastyczny przypadek. Dotyczył on właśnie przedstawionej wcześniej historii. Otóż jeden z kleryków, po tym jak ksiądz rektor sprawił sobie nowego nissana, uznał to zapewne za przegięcie i w nocy na garażu Ezechiela napisał wielkimi literami – „UBÓSTWO”!!!

Były jeszcze dwie inne sprawy, o których chciałbym wspomnieć, a które miały również negatywny wpływ na szerzenie ubóstwa wśród braci kleryckiej. Jak już wcześniej zaznaczyłem, seminarium utrzymywało się z chesnego, które płacił każdy z nas, a także z ofiar zbieranych przez nas w parafiach. Kilka razy w roku, w wyznaczone niedziele przydzielano nam parafie do których jechaliśmy z pomocą i po pomoc. Diakoni z 6-tego roku głosili kazania, akolici — rozdzielali Komunię, a wszyscy mieli obowiązek zebrać tacę na seminarium. Po wszystkich niedzielnych Mszach zebrało się tych ofiar, w zależności od wielkości parafii, od kilkuset złotych do kilku tysięcy (nowych złotych). Bardzo rzadko pieniądze te były liczone w obecności proboszcza parafii. Zazwyczaj cały worek „moniaków” dawano nam do ręki. Było w tym z pewnością wiele, godnego podziwu, zaufania. Jednak w konsekwencji ta praktyka przyczyniła się do mimowolnej, z pewnością niezamierzonej, deprawacji wielu z nas.

Ci zwłaszcza, którzy mieli w domu trudną sytuację finansową, „odbijali sobie” przy tej okazji płacone chesne i ...nie tylko. Podejrzewam, że w mniejszym lub większym zakresie, brali niemal wszyscy. Kilku przyznało mi się do tego w zaufaniu, a wielu mówiło o tym, już na luzie, po święceniach.

Drugim, podobnym problemem były dary z zachodu, które w latach 80-tych przychodziły masowo do kurii biskupich, oddziałów caritasu, seminariów i parafii. Niewielu ludzi w Polsce, chyba oprócz celników, zdaje sobie sprawę jak ogromne ilości różnych produktów zalewały wtedy wszystkie instytucje Kościoła. Ubrania, lekarstwa, sprzęt medyczny, a przede wszystkim produkty żywnościowe wypełniały wszystkie magazyny, piwnice, sale katechetyczne, garaże itd. W seminarium, niemal każdego dnia rozładowywaliśmy po parę kontenerów najróżniejszych towarów. Księża diecezjalni, przyjeżdżający z parafii, nabijali po dachy swoje samochody.

Niektórzy nawracali po kilka razy dziennie. Aż prosiło się, żeby nadwyżki towarów od razu kierować do domów dziecka, szpitali czy szkół (dużą część darów stanowiły słodczyce, ubranka dziecięce i lekarstwa), jednak „władza duchowna” postanowiła inaczej. Zapewne nie chciano ujawniać skali zjawiska. Rozprowadzano jedynie niewielką część leków do miejskiego szpitala i nadwyżki żywności do punktów caritasu. To, czego nie mogły pomieścić żadne pomieszczenia parafii zostawało w seminarium. W czasach, kiedy półki w sklepach spożywczych zajmował ocet i musztarda, a mamy robiły swoim dzieciom słodczyce z palonego na patelniach cukru — w magazynach naszego gmachu psuły się rarytasy, o których wszyscy mogli tylko marzyć. Podstawowe produkty spożywcze, takie jak: mąka, kasza, cukier, ryż, masło, zupy i mleko w proszku — stanowiły podstawę naszego wyżywienia. Nie wiadomo tylko gdzie podziewały się wielkie szynki i inne konserwy mięsne, których przychodziły całe kartony. Większość z zachodnich produktów, które trafiały na nasze stoły, była niestety nieświeża, gdyż trzymano je zbyt długo, często w nieodpowiednich warunkach.

Mieliśmy swoje własne określenia na różne przeleżale specjały, np. żółty, cuchnący już ser ochrzciliśmy „reganem”, choć dawno rządził już Bush itp. Duża część żywności psuła się bezpowrotnie. Wywożono ją wieczorami do lasów i zakopywano. Żal było patrzeć na ciężarówki wypełnione zepsutym, deficytowym towarem. Klerycy pracujący przy rozładunku kontenerów otrzymywali zwykle jakieś „podziękowanie”. Najczęściej był to karton batonów lub czekolad. Dziekani — najważniejsi klerycy na poszczególnych rocznikach, wyznaczali takich tragarzy, niestety często „po znajomości”.

Pamiętam, że kiedyś w czasie wakacji, podczas dyżuru pełnionego w seminarium, rozładowałem z kolegami kontener twixów. Jeden z przełożonych, który nadzorował rozładunek, miał tego dnia wyjątkowo dobry humor. Kazał po wszystkim wziąć tyle, ile każdy z nas może udźwignąć. Kartony miały po ok. trzydzieści kilogramów. Każdy z nas (było nas 6-ciu) zabrał po jednym. Ksiądz prefekt aby w pełni nas uszczęśliwić pożyczył nam wieczorem telewizor, video i kilkanaście filmów. Zamontowaliśmy to wszystko w jednym z pomieszczeń. Każdy przyniósł swój zapas twixów i rozpoczął się maraton filmowy, który trwał do świtu. Po zjedzeniu kilkudziesięciu batonów, zanim trafiłem do swojego pokoju, miałem mdłości i zwymiotowałem wszystko w ubikacji. Od nadmiaru luzu tej nocy wszystkim nam odbiło.

Oprócz żywności w kontenerach z darami były całe sterty odzieży, często zupełnie nowej, zapakowanej w oryginalne opakowania. Zdarzały się także magnetofony, kasety, zabawki, długopisy, a nawet krzesła i niewielkie szafki. Obok zużytych bubli można było spotkać rzeczy cenne i piękne np. zupełnie nowe futra, płaszcze ze skóry, videa. W czasach wielkiego kryzysu zaopatrzenia i zamknięcia na zachód, kiedy posiadanie np. magnetowidu nobilitowało do „wyższej” sfery — obracanie się wokół tego całego bogactwa przyprawiało niejednego o zawrót głowy i popychało do uszczuplenia tego rogu obfitości. Kilku kleryków nakrytych na kradzieży w magazynie musiało obrać inną drogę życia. Powszechną była zazdrość gdy np. ktoś z rozładunku „wycygał” od przełożonego jakieś cenne cacko. Zazwyczaj nad rozładunkiem czuwał tzw. ksiądz dyrektor (mój późniejszy proboszcz), który zajmował się sprawami gospodarczymi i finansowymi w seminarium. Najbardziej oczekiwaną formą zaopatrzenia były tzw. zrzuty. Kiedy przyjechał większy transport odzieży i butów, a magazyny były nie opróżnione, całą zawartość kontenerów wrzucano „jak popadło” do sali gimnastycznej pod aulą.

Czasami poziom towaru sięgał wysokości człowieka. Do takiego „eldorado” wchodził najpierw profesorowie, później siostry zakonne, następnie klerycy a na końcu seminaryjne sprzątaczkę. Każdy mógł wynieść tyle, ile tylko udźwignął, i tak zwykle połowa zostawała na spalenie w kotłowni. Największym powodzeniem cieszyły się transporty ze Szwajcarii i Włoch. Trzeba było widzieć słynących z pobożności braci, którzy nawzajem wrywali sobie co lepsze rzeczy. Niemal każdy wychodził na chwiejących się nogach, obładowany po czubek głowy. Ja sam nie pozostawałem w tyle. Cała najbliższa rodzina cieszyła się na takie „zrzuty”. Obdarowywałem nawet starych przyjaciół i byłe koleżanki. Normalne było, że przy „zrzutach” i innych formach rozdawnictwa darów – każdy chciał zabrać najwięcej i najlepsze. Jednak takie niezdrowe współzawodnictwo nie budowało nas duchowo, a na pewno nie wychowywało do życia w ubóstwie.

Kilka razy już wspominałem o osobie ojca duchownego. W każdym seminarium powinno ich być co najmniej dwóch. Ojciec duchowny to niezwykle ważna osoba. To jak gdyby duchowny rektor całej uczelni. Przede wszystkim zaś powiernik, spowiednik, zaufany przewodnik duchowy, któremu można zwierzyć się ze wszystkiego, pod tajemnicą równą niemal tajemnicy spowiedzi. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. Nigdy nie doświadczyłem osobiście zdrady ze strony ojczaszka, ale podobno były takie przypadki.

Wszyscy natomiast wiedzieli o nadużyciach prorektora — byłego ojca duchownego, a wielu doświadczyło tego na własnej skórze. Być może po to aby zrobić czystkę w przepelnionym seminarium — biskup Zaręba mianował wicerektorem człowieka, który przez kilka lat spowiadał wszystkich kleryków i znał każdy zakamarek ich duszy, a przy tym posiadał fenomenalną pamięć. Niedługo po jego nominacji posypało się wiele głów. Te fakty znam jednak jedynie z opowiadań starszych kolegów. Ojcowie duchowni, których ja zastałem w uczelni byli przez wszystkich bardzo lubiani. Grali z nami w piłkę, chodzili na basen. Szczerzy i otwarci, byli bardziej naszymi starszymi braćmi niż ojcami. Ich duchowość była naturalna i niekłamana.

W każdym seminarium sprawy związane z codziennym życiem i obowiązkami były w gestii samych kleryków. Na tym polegała tzw. klerycka samorządność. Oprócz cotygodniowych dyżurów sprzątania łazienek i korytarzy — były oficja stałe, jednoosobowe — jednoroczne lub kilkuletnie. Dotyczyły one dozoru i opieki nad wszystkimi niemal sferami życia w uczelni. Byli zatem opiekunowie: dwóch kaplic, sali gimnastycznej, kortów tenisowych, biblioteki i czytelnicy, palarni, szpitalika, świetlicy itd. Funkcjonowały także stanowiska: ogrodnika, kolportera prasy, tzw. dysk jockeya — nagrywającego konferencje oraz stanowisko higienisty — starszego i młodszego. Mnie przypadła w udziale właśnie ta ostatnia funkcja. Po pierwszym semestrze drugiego roku zacząłem swoją karierę w systemie oczyszczania seminarium. Do moich obowiązków należało wspomaganie starszego higienisty m.in. w rozdzielaniu narzędzi i środków czystości. Mój kolega-przełożony z 3-go roku układał ponadto cotygodniowe grafiki sprzątań dla mieszkańców poszczególnych pokoi i jak każdy funkcyjny odpowiadał za całość. Moja praca nie była nazbyt zajmująca, a przy okazji mogłem zorganizować dla siebie i moich współmieszkańców więcej papieru toaletowego, który roznośm po pokojach lub pastę do konserwacji podłogi. Na trzecim roku awansowałem na starszego higienistę i opiekuna łaźni.

Ta kumulacja pracy i obowiązków trochę nadwreżyła wtedy moje siły i wolny czas. Najbardziej jednak przyplącałem ten awans swoimi nerwami. Nad sobą miałem samego prorektora, który osobiście sprawdzał stan czystości w całym gmachu, a był pod tym względem bardzo skrupulatny. Ja również starałem się jak najlepiej wykonywać powierzone sobie obowiązki i mogę z dumą powiedzieć, że za mojej kadencji wiele pod tym względem zmieniło się na lepsze. Mój problem tkwił jednak w tym, iż ze sprzątaniami rozliczałem kolegów zazwyczaj starszych od siebie — bo to właśnie oni byli superiorami pokoików.

Niektórzy z nich w ogóle nie przyjmowali do wiadomości moich uwag i zastrzeżeń, a jeden z diakonów — w odpowiedzi na nie — o mało mnie nie pobił. Miałem prawo zarządzić powtórne sprzątanie w wypadku rażących uchybień. Moi poprzednicy nigdy z niego nie korzystali, ale ja postanowiłem nie dawać za wygraną. Początkowo byłem ignorowany albo obrzucany obelgami, jednak groźba oparcia sprawy o wicerek-tora zawsze skutkowała. W ten sposób nauczyłem porządku i pokory niektórych moich starszych kolegów. Nie zabiegałem przy tym o względy przełożonych, zwłaszcza prorektora, ale przyznam, że miło mnie polectało uznanie z jego strony. Rzeczywiście, w czasie gdy sprawowałem swoją funkcję, seminarium lśniło czystością.

Przy końcu moich wspomnień dotyczących Seminarium Włocławskiego chciałbym poruszyć jeszcze jeden, chyba najbardziej delikatny problem. Dotyczył on wszystkich kleryków, a także innych osób mieszkających z nami pod jednym dachem — siostr zakonnych, przełożonych i profesorów (ci ostatni jednak w większości dochodzili tu tylko do pracy i wiedli zupełnie inny tryb życia). Problemem tym było zachowanie czystości — wstrzemięźliwości — seksualnej. Jak wiadomo, w myśl doktryny Kościoła, praktyki seksualne pozamałżeńskie, takie jak: stosunek płciowy, podniecające pieszczoty, onanizm i jakakolwiek inna forma rozładowania popędu seksualnego — jest grzechem ciężkim, tj. śmiertelnym. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że każda diecezja posiada seminarium, w którym żyje „pod kluczem” zazwyczaj paruset młodych mężczyzn. Wiek ogromnej większości z nich mieści się w granicy 19-25 lat, a więc w apogeum możliwości seksualnych i rozrodczych.

W tym wieku młodzi ludzie zazwyczaj zakładają rodziny i płodzą dzieci. Ten wielki żywioł nie ma praktycznie „ujścia” na zewnątrz. Trwa więc jak bomba, nad którą czuwają saperzy — przełożeni, aby nie wybuchła. Bezy fakt, że zakazany owoc kusi podwójnie — dodaje całej sprawie jeszcze większego dramatyzmu. Oczywiście faktem jest również to, że taki tryb życia każdy z nas wybrał dobrowolnie. Problem był tylko ten, iż wraz z powołaniem do służby Bożej naturalny popęd wcale nie chciał zanikać. Czy winić tu należy samego Pana Boga, który nie chciał pozbawiać swoje sługi daru ofiarowanego wszystkim ludziom? Czy winni są tu raczej ludzie, którzy naganają prawa Boskie do swoich własnych, wydumanych założeń i praw?

W każdym razie w seminarium radziliśmy sobie z tym problemem na różne sposoby. Na pewno „najłatwiej” mieli ci, którzy pogodzili się z samogwałtem oraz żyjący w parach. Tych ostatnich niewątpliwie dobijało ciągle ukrywanie się ze swoimi uczuciami. Te dwie grupy najczęściej „dogadzały” sobie w łaźni seminaryjnej. Kiedy wieczorami przed zamknięciem gasiłem tam światło widziałem zawsze strugi spermy na ściankach kabin prysznicowych, a w powietrzu unosił się mdły zapach męskiego nasienia zmieszany z unoszącą się parą. Z pewnością większość z nas starała się przynajmniej ograniczać te praktyki.

Ojcowie duchowni grzmieli na konferencjach, że najczęściej wyznawanym grzechem na kleryckich spowiedziach jest grzech samogwałtu. Wielu (w tym również ja sam) próbowało przytłumić jakoś popęd natury przez ćwiczenia fizyczne — kulturystykę, grę w tenisa, siatkówkę, biegi itp. Okazywało się to jednak na dłuższą metę niemożliwe. Być może byli i tacy, którzy — czy to siłą woli, czy też Przez wejście na wyżyny życia duchowego — potrafili niejako złożyć ofiarę z siebie, ze swojego seksu i wytrwać przez lata w czystości.

Podobno nie ma takiego, który by ani razu nie upadł, ale na pewno wielu próbowało.

Biskupi i nasi przełożeni mieli również inne, wspólne problemy. Jednym z nich była ciągła obawa o inwigilację seminarium ze strony władz komunistycznych. Obawiano się zwłaszcza agentów wśród samych kleryków. Były to obawy w pełni uzasadnione. Znane są udokumentowane przypadki działania takich agentów, którzy byli celowo kierowani na studia seminaryjne, a także takich, których werbowano spośród alumnów. Nasi przełożeni często ostrzegali nas przed Judaszami” — wilkami w kleryckiej skórze. Nierzadko przypisywano im różne numery ciężkiego kalibru, np. wspomniany napis na drzwiach garażu rektora.

Faktem jest, że służba bezpieczeństwa dysponowała w tym czasie teczkami na każdego biskupa, profesorów seminarium, wielu księży i kleryków. Z tych kleryckich teczek czerpano później dane tworząc tzw. hak. Często była to znajomość z dziewczyną, jakaś wpadka na spacerze, a nawet obecność na wiejskiej zabawie, np. w czasie wakacji. Agenci bezpieki śledzili po prostu kleryków, zwłaszcza tych bardziej podejrzanych. Kiedy wysledzili już coś, ich zdaniem niestosownego, zgłaszali się z takim hakiem do delikwenta proponując pójście na współpracę. Oczywiście w przypadku odmowy istniała realna groźba ujawnienia kleryckich grzechów władzom uczelni. Tak też nie raz się zdarzało. Podobną praktykę haków stosowano również w odniesieniu do księży diecezjalnych. Odmowa współpracy miała wówczas swój finał u biskupa ordynariusza, który otrzymywał stosowny donos.

Nasi przełożeni dobrze wiedzieli o pozyskiwaniu informatorów dla S.B. spośród kleryków. Stąd też zapewniali nas, że jeśli nie damy się zwerbować, to nawet ciężkie przewinienia ujawnione przez bezpiekę będą nam darowane. Ja sam również miałem rozmowę z funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa i poczułem smak jego agitacji.

W czasie wakacji, po pierwszym roku studiów, pewnego dnia do domu rodziców przyszedł pan „po cywilnemu”. Przedstawił się, że jest z milicji i chciałby ze mną porozmawiać. Zaprosił mnie na spacer do pobliskiego parku. Już na samym początku zaczął przechwalać się swoją znajomością środowiska seminaryjnego, regulaminu, wreszcie samych przełożonych i profesorów. Powoli przechodził przy tym od informowania do zasięgania informacji. Interesowali go zwłaszcza moderatorzy i profesorowie — czy nie wzywają do postaw i zachowań antypaństwowych? — czy nie szkalują władzy ludowej? itp. Już po kilku minutach zapytałem o sens rozmowy na takie tematy, a później odmówiłem udzielania jakichkolwiek informacji i chciałem wracać do domu. Na to on rozpoczął rozmowę na mój temat. Pytał, czy chcę naprawdę zostać księdzem. Okazało się, że życzy mi tego z całego serca, ale obawia się, iż mogę nie dotrwać do końca studiów gdyż obracam się w złym towarzystwie. I to był właśnie jego hak.

Chodziło mu o to, że odwiedzam czasami, będąc w rodzinnej parafii, swojego dawnego kolegę (tego, z którym byłem na Mazurach i omal się nie utopiłem). Jacek wyraźnie nie podobał się mojemu rozmówcy. Był dla niego tzw. niebieskim ptakiem — nie pracował, nie uczył się; miał opinię lekkoducha i podrywacza. Wszystko to było prawdą. Prawdą jednak było i to, że ja miałem do chłopaka słabość. Zналиśmy się od dziecka. Razem jeździliśmy zawsze na ryby, jeszcze w podstawówce. Odpoczywałem w jego towarzystwie, wspominając dawne, zwariowane eskapady. Wysłuchałem więc cierpliwie milicjanta i oznajmiłem mu twardo, że nie ma się czego obawiać. Ja, dzięki Bogu, uczę się i to nieźle, a na randce z dziewczyną nie byłem już parę lat. Mój rozmówca wydawał się nie być zaskoczony taką reakcją.

Prosił mnie tylko na wszystko, żebym podpisał mu chociaż jedno zdanie — że przeprowadził ze mną rozmowę. „To dla moich przełożonych, formalność” – zapewniał. Nieopatrznie podpisałem, ale nie miałem nigdy z tego powodu żadnych nieprzyjemności. Było mi trochę żal tego milicjanta, który z tak żalonym hakiem postanowił zwerbować agenta.

Bez wątpienia moim największym przeżyciem w Seminarium Włocławskim było przywdzianie szaty duchownej czyli tzw. obłóczyny. Niektórzy nazywają nawet to wydarzenie pierwszymi święceniami. To szumne określenie tłumaczyć może imponująca oprawa zewnętrzna samej uroczystości obłóczyn, a także to wszystko, co niesie ze sobą zmiana wizerunku kandydata na księdza. Uroczyste, pierwsze założenie sutanny następuje na samym początku trzeciego roku i kończy tym samym dwuletni okres prób i przygotowań intelektualnych i duchowych. Jest to również pewne uwieńczenie studiów z zakresu wiedzy filozoficznej.

W praktyce wygląda to tak, że kończą się wykłady z dziedzin filozofii — historia filozofii, metafizyka, teoria poznania i in., a zaczyna się cała teologia (nauka o Bogu), czyli podstawa Wykształcenia każdego księdza. Student teologii powinien chodzić w szacie duchownej, która czyni go osobą duchowną. Zmienia się radykalnie jego pozycja w środowisku kleryckim, a zwłaszcza w rodzinnej parafii, gdzie pierwszy „występ” w sutannie przeżywany jest szczególnie głęboko.

Na uroczystą Mszę Świętą z obłóczynami zjeżdżają do katedry rodziny i znajomi. Delegacje parafian, zwłaszcza z południowych stron kraju, zajmują często kilka autokarów. Od rana — poruszenie i bieganina w całym seminarium — mycie, golenie, czyszczenie butów i garniturów, oczekiwanie na najbliższych. Wreszcie formuje się przed gmachem dwurzędowy orszak jeszcze portugalczyków — wychuchanych, wypachnionych, wbitych w ciemne garnitury. Każdy z nich trzyma przed sobą na wyciągniętych rękach specjalnie złożoną, nowiutką, czarną sutannę. Niejedni rodzice wydali ostatnie zaskórniaki żeby ich syn mógł chodzić od dzisiaj w „nowej kreacji”. Materiał, oryginalne guziki z końskiego włosia, a zwłaszcza samo uszycie u specjalnego krawca — to wydatek grubo ponad tysiąca złotych. Orszak rusza wreszcie w stronę katedry. Przechodzi przez główną nawę przy blasku fotograficznych fleszy i szumie kamer video. Wielka, gotycka katedra jest tego dnia wypełniona po same brzegi, ale dla nich — dzisiejszych bohaterów jest przygotowane miejsce przy samym ołtarzu. Oni sami są podekscytowani i głęboko wzruszeni. Szukają wzrokiem, nie mniej wzruszonych rodziców i bliskich. Dźwięk dzwonka oznajmia, że z zakrystii wyrusza procesyjnie sam biskup ordynariusz w otoczeniu asysty. Na początku kleryk z kadzielnicą, następny z krzyżem, akolici ze świecami, lektorzy, kantorzy, ceremoniarze, a na końcu błyszczą złota, wysoka mitra biskupa w otoczeniu dwóch diakonów.

Przechodzą przez całą katedrę. Biskup po drodze błogosławi zgromadzony lud, a gdy dochodzą do ołtarza — całuje go wraz z diakonami, okadza i rozpoczyna uroczystą Mszę Świętą. Wszystko tego dnia jest podniosłe i uroczyste. Wzruszają słowa w kazaniu pasterza diecezji i łzy matek, gdy zaraz potem ich synowie wypowiadają wspólnie tekst ślubowania. Zobowiązują się w nim do godnego noszenia szaty duchownej i obrony dobrego imienia Kościoła. Następnie biskup kropi sutanny wodą święconą, a ich właściciele nakładają je na siebie przy pomocy starszych kolegów.

Msza kończy się podziękowaniem i kwiatami dla biskupa. Dziękują rodzice i sami obłóczeni. Przed katedrą życzeniom i kwiatom, tym razem już dla nich, nie ma końca. Ustawiają się długie kolejki członków rodziny, przyjaciół, kolegów i znajomych. Są również księża rodzinnych parafii, a czasami gdzieś z boku podchodzi ... zapłakana dziewczyna. Później zazwyczaj — poczęstunek na słodko w seminarium, który każdy przygotowuje we własnym zakresie.

Na pierwszym miejscu przy stole siedzi w nowej sutannie duma rodziny, nadzieja Kościoła — zwyczajny dwudziestoletni chłopak. Jest dumny podekscytowany, zmęczony ale szczęśliwy — bo dzisiaj jest jego dzień! A kiedy już wszyscy odjadą zostaje sam ze sobą. Patrzy długo w lustro. Widzi w nim innego człowieka. Jest naznaczony i przeznaczony. Czuje nagle wielkie zobowiązanie i odpowiedzialność. Tak właśnie ja sam czułem się w czasie i po obłóczynach. Nie ma chyba kleryka, który tak jak ja, nie pobiegłby później do kaplicy i nie modlił się długo i żarliwie.

Po raz drugi obłóczyny przeżywa się w swojej własnej parafii, zazwyczaj miesiąc po uroczystości w katedrze. Ma to miejsce w Uroczystość Wszystkich Świętych na cmentarzu, gdzie zbiera się ofiary na seminarium. Część wiernych zwłaszcza w dużych środowiskach po raz pierwszy dowiaduje się, że parafia ma kleryka, który „uczy się na księdza”. Są i tacy, którzy od razu tytułują „księdzem”. Jednak chyba dla wszystkich — tych mniej i więcej wtajemniczonych — jasne jest, że to już nie ten sam Józio, Stasiu czy Wiesiu! Toż to „prawie ksiądz”! Kiedy będąc kilka miesięcy po obłóczynach zbierałem ofiary w małej wiejskiej parafii, leciwe parafianki „na wyścigi” chciały całować mnie po rękach.

W sutannie trzeba było nauczyć się chodzić, zwłaszcza po schodach. Po kilku tygodniach nabiera się wprawy w zgrabnym podnoszeniu „kiecki” na nierównościach terenu. W dobrze skrojonej sutannie wygląda się zawsze elegancko i dostojnie. Potrafi ona doskonale maskować nawet rażące wady figury czy postawy, np. krzywe nogi, zapadłą klatkę piersiową czy wydatny brzuszek. Wiele dzieci, a nawet dorosłych zastanawia się — co też ksiądz ma pod sutanną? Odpowiedź jest prosta — prawie zawsze spodnie, no chyba, że jest bardzo gorąco... Po kilku miesiącach człowiek przyzwyczaja się do nowego ciucha i poświęconą przez biskupa szatę duchowną rzuca się, po przyjeździe do pokoiku, na hak.

Trzeci rok studiów był moim ostatnim w Seminarium Włocławskim. Po otrzymaniu sutanny, trwał okres „miłego poruszenia” wokół mojej osoby, związany z nowym postrzeganiem i traktowaniem mnie przez wszystkich. Nagle wszyscy zaczęli się ze mną bardziej liczyć, doceniać, podziwiać. Dotyczyło to oczywiście wszystkich moich kolegów z roku. To, że jednego dnia rano byliśmy jeszcze klerykami, tylko i wyłącznie z nazwy i wysługi dwóch lat, a po południu nagle staliśmy się prawie księżmi (wizualnie niczym się od nich nie różniąc) — rzeczywiście na jakiś czas odmienił życie każdego z nas. Każdy człowiek jest z natury trochę zarozumiały i egoistyczny, chciałby wybić się choć trochę ponad przeciętność. Tak też i my chodziliśmy przez jakiś czas po obłóczynach z nieco podniesionymi głowami.

Z pewnością żaden z nas nie uważał się z tego powodu (chodzenia w sutannie) ważniejszy czy też lepszy od innych, ale po dwóch latach „poniżenia” w seminarium, nieco pewności siebie przydało się każdemu z nas.

Podobno nie ma kleryka, a tym bardziej księdza, który nie przeżyłby chociaż raz w życiu kryzysu swojego powołania. Przyczyn takich kryzysów wśród kleryków można upatrywać w bardzo wielu źródłach: młodym wieku, niezrealizowanym popędzie seksualnym, zamknięciu na świat, kłopotach przystosowawczych w grupie, trudach samego studiowania, dwulicowym systemie, czy też wreszcie w samym kryzysie wiary. Nie wiem co najbardziej dotknęło mnie. Faktem jest, że mniej więcej w połowie trzeciego roku poczułem się nagle dziwnie zniechęcony i osłabiony. Wiele rzeczy po prostu mnie nużyło. Na pewno miało to ścisły związek z moimi obowiązkami starszego higienisty, które traktowałem bardzo serio.

Męczyły mnie ciągle utarczki z kolegami o źle posprzątaną łazienkę, niedoglancowany korytarz itp. W związku z nawałem obowiązków i pewnym wyczerpaniem nerwowym, które zacząłem odczuwać — zaniedbałem modlitwę prywatną. Wspólne modlitwy nigdy nie dawały mi takiej siły i otuchy, jak osobiste zwrócenie się w ciszy serca do Boga. Dawniej mogłem trwać na modlitwie zatracając przy tym zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Czulem ściśle zjednoczenie z Chrystusem, który mnie powołał. Teraz wydaje mi się, że to właśnie chwilowa utrata tej ściślej z Nim więzi była początkiem kryzysu. Żyjąc przez dwa i pół roku w środowisku takim jak seminarium duchowne — w utartych, ściśle określonych szablonach; w ciągłej walce o przetrwanie, o prawo głosu, trzeba ciągle kontrolować się — czy regulamin nie zrobił ze mnie robota, a treścią życia nie stała się rutyna. Jeśli ma ktoś w sobie choć trochę indywidualności i instynktu samozachowawczego, to prędzej czy później musi wejść w konflikt z prawem i schematami, które go ograniczają.

Tak stało się również ze mną. Zupełnie nieświadomie dla samego siebie, zacząłem bardziej „urządzać się” w seminarium, a mniej w nim żyć. Myślę jednak, że było w tym więcej samoobrony organizmu niż cwaniactwa. Osłabła też moja silna dotąd wola, a co za tym idzie — postanowienia i zasady. Widocznym tego przykładem było to, że zacząłem popalać papierosy i to bez złożenia stosownej deklaracji u księdza rektora. Paliłem zazwyczaj tylko na spacerach poza miastem, np. w lesie za Wisłą. Dobrałem sobie do towarzystwa innego kryptopalacza, który zresztą później mnie zdradził. Nowa wiedza teologiczna, aczkolwiek wzbudziła moje zainteresowanie, to jednak podejście do wykładów niektórych profesorów irytowało mnie coraz bardziej. Otóż część naszego ciała pedagogicznego traktowała wykład niczym 45-cio minutową dyktówkę kilkunastu stron maszynopisu.

Zamienialiśmy się wtedy w maszyny do pisania. Dla przykładu ksiądz profesor Hanc na teologii dogmatycznej dyktował tak szybko, że nie sposób było nawet pomyśleć o czym się pisze. Pióra dosłownie się grzały, a jakiegokolwiek pytania w trakcie wykładu były niemile widziane. Kiedyś jeden z kolegów, aby opanować na chwilę drżenie prawej ręki, wymyślił na poczekaniu jakieś pytanie, które w sposób oczywisty miało niewiele wspólnego z tematem. Został grubiańsko zrugany przez profesora za to, że zabiera czas i nie uważa na lekcji.

Ponieważ nasz kurs był dość liczny, a nigdy nie było wiadomo kto akurat jest chory i leży w szpitaliku, niektórzy z nas zaczęli opuszczać zbyt męczące wykłady. Zwykle nadrabiało się wtedy w łóżku wczesne wstawanie.

Chociaż obecność na wykładach (na równi z innymi zajęciami) była bezwzględnie obowiązkowa — postępowała w ten sposób niemała część braci kleryckiej. Co bardziej odważni i zmęczeni opuszczali posiłki, a nawet poranne modlitwy i Mszę Świętą, ale to była już gardłowa sprawa. Każdy z nas miał swoje wyznaczone miejsce w stołówce i kaplicy, a ksiądz wicerektor miał wyjątkową pamięć wzrokową. Potrafił wstać nagle z ławki w czasie rannego rozmyślenia i iść prosto do pokoju „dekownika”. Parę takich wpadek na koncie gwarantowało zmianę życiorysu. Nie miało sensu tłumaczenie o złym samopoczuciu czy zaspaniu. Ewentualną, wyjątkową absencję trzeba było zgłosić wcześniej...

Niektórym jednak się udawało. Zachęcony ich powodzeniem, ja również zacząłem odpuszczać sobie, ale tylko i wyłącznie, „dyktowane” wykłady. Wołałem pożyczyć od kolegi skrypt; odbić go na ksero przed egzaminem, niż nabawić się nerwicy i odcisków na palcach od ściskania pióra. W taki oto sposób zacząłem wchodzić w konflikt z prawem, którym był regulamin. Tak też minął mi drugi semestr trzeciego roku w seminarium. W tym czasie opuściłem też pogrzeb wieloletniego proboszcza katedry, w którym uczestniczyło całe seminarium. To były wszystkie moje grzechy, z których miałem być wkrótce dokładnie rozliczony.

Zdałem pozytywnie wszystkie egzaminy w sesji letniej i zacząłem pakować się do domu na wakacje. W przeddzień wyjazdu, po obiedzie — jako jeden z pierwszych wszedłem na korytarz gdzie miałem swój pokój. Na każdym piętrze pośrodku korytarza był wewnętrzny aparat telefoniczny, z którego można było zadzwonić „na furcję”, do ojców duchownych lub któregoś z przełożonych. Kiedy wchodziłem wtedy na korytarz telefon zaczął dzwonić, a ja wiedziałem, że dzwoni do mnie. Jakaś przedziwna intuicja kazała mi podbiec do aparatu i wypowiedzieć rutynowe: „kleryk X Y, słucham”. Siostra, która dzwoniła z furty była wyraźnie zbita z tropu — „ja właśnie do księdza, ma się ksiądz zaraz stawić u rektora” — wykrztusiła i położyła słuchawkę. Mogłem być wezwany w jednej z tysiąca spraw, ale coś mi mówiło, że nie będzie to miła rozmowa. Z bijącym sercem zapukałem do rektorskich drzwi.

Otworzył mi sam Ezechiel (czasami otwierała pokojówka). Zasiadł za wielkim, stylowym biurkiem i kazał mi usiąść naprzeciw siebie. Zapytał jak się czuję w seminarium. Odpowiedziałem, że dobrze, ale jestem nieco zmęczony. Później poszło już bardzo szybko. Okazało się, że Ezechiel wie o moich nieobecnościach na wykładach (operował dokładnymi datami) i pogrzebie. Wiedział również, że palę papierosy na spacerach. Spytał, czy to wszystko ma przypisać mojemu zmęczeniu. Odparłem, że owszem, a poza zmęczeniem bywam czasem zdenerwowany — dlatego zacząłem palić. Ponieważ palę bardzo mało i to poza seminarium, nie uważałem za konieczne informować o tym przełożonych. Powiedziałem również co myślę o niektórych wykładach i profesorach traktujących nas niepoważnie i lekceważąco. Ksiądz rektor najpierw zbladł, a potem poczerwieniał na tę — jego zdaniem — „bezczelną wypowiedź”. Oświadczył zdecydowanie, że nie mam powołania i do jutra muszę postanowić o swojej dalszej przyszłości. Wyszedłem od niego z tysiącem myśli w głowie. Byłem zdenerwowany, ale też zadowolony — zdobyłem się na odwagę powiedzieć parę słów prawdy samemu Ezechielowi. Wiedziałem, że chcę dalej iść drogą powołania i dalej studiować w seminarium. Może nie akurat w takim, jak włocławskie, ale na pewno zostać, nie odchodzić! Moje cele pozostawały niezmiennie.

Nie wiedziałem co sądzić o oświadczeniu rektora. Na zdrowy rozum nie powinienem być usunięty, bo nie było po temu dostatecznych powodów, ale doświadczenie uczyło, że nie było to wykluczone. To że dobrze się uczyłem, miałem zawsze nienaganną opinię z parafii i przykładowo spełniałem swoje obowiązki higienisty — mogło nie mieć żadnego znaczenia. Stwierdzenie rektora, że „nie mam powołania” — wróżyło najgorsze. Nie chciałem zamykać sobie drogi do kapłaństwa. Postanowiłem za wszelką cenę się bronić. Poszedłem do prorektora. Miałem z nim wiele kontaktów każdego dnia i sądziłem, że nawet mnie lubi. Był zdziwiony moją wizytą — „czy ksiądz rektor nie powiedział ci wszystkiego”? — zapytał znudzonym głosem. Następnie zaczął użalać się nad swoimi problemami z trawieniem (był chyba grubszy niż wyższy). Zapytał również o sprzątaninę przed wakacjami. „Proszę o moje papiery” — usłyszałem własne słowa. Miałem już dość tych samolubnych ludzi, dla których własny brzuch był ważniejszy od losu drugiego człowieka. „Masz czas do jutra” — zdziwił się prorektor- „...myśleliśmy zresztą najwyżej o rocznym urlopie dla ciebie”.

Ja jednak byłem już zdecydowany. Przyszło mi do głowy chyba jedyne słuszne rozwiązanie. Postanowiłem dalej iść drogą powołania, ale już w innym środowisku. Pomyślałem o Łodzi. W tamtejszym seminarium miałem kolegę, który znalazł się tam w podobny sposób, przenosząc się na własną prośbę. Z tą nową myślą odebrałem swoje dokumenty, życząc wicerektorowi „dużo zdrowia”. Przed wyjazdem chciałem jednak spotkać się jeszcze z ojcem duchownym, który był zarazem moim spowiednikiem. Musiałem koniecznie dowiedzieć się czy i on uważa, że nie mam powołania. Okazało się, iż wie wszystko o moich przewinieniach. Było to niedopuszczalne! — zgodnie z prawem, ojcowie duchowni i moderatorzy nie mogli wymieniać między sobą informacji na temat kleryków. Ojciec jednak wiedział o wszystkim. Znał mnie i moje wnętrze, jak nikt inny. Na moje pytanie — czy mam powołanie — odpowiedział zdecydowanie: „TAK”.

ROZDZIAŁ III

Wyższe Seminarium Duchowne w Łodzi

Kiedy przyjechałem do domu z papierami, rodzice nie byli zachwyceni, ale szybko przekonałem ich do moich planów dotyczących Łodzi. Postanowiłem działać natychmiast. Sądziłem, że nie będzie większych problemów z przyjęciem mnie do Łódzkiego Seminarium. Takie przeniesienia z różnych powodów zdarzały się dość często. Diecezje, w których brakowało księży, chętnie przyjmowały tzw. spadochroniarzy. Niektórzy z nich zostawali potem nawet biskupami. Do takich diecezji o zwiększonym zapotrzebowaniu należała także diecezja łódzka. Ma ona dwukrotnie więcej wiernych niż włocławska, jednak liczba rodzimych kleryków i kapłanów jest w niej kilkukrotnie niższa. Miałem zapewnienie z Włocławka, że moja opinia będzie „względnie dobra”. Biorąc to wszystko pod uwagę byłem niemal pewien swego. Niestety, okazało się, iż nie miałem racji. Kiedy następnego dnia pojechałem do biskupa Adama Lepy, który był jednocześnie rektorem Łódzkiego Seminarium — spotkałem się z odmową co do przyjęcia mnie po wakacjach na czwarty rok (jak liczyłem). Biskup zdecydował, że rok przerwy dobrze mi zrobi, a poza tym — jego zdaniem — powinienem powtarzać trzeci rok studiów. Było to, jak się później okazało, klasyczne zagranie „pod włos”. Formalnie rzecz biorąc, nie powinienem powtarzać roku, który już zaliczyłem, ale skąd ja znałem to podejście — Jak ma powołanie, to się zgodzi na wszystko i wszystko przetrzyma”. Oczywiście zgodziłem się.

Miałem przed sobą rok zawieszenia w próżni — bez żadnych planów i możliwości. Ze względów finansowych nie chciałem być ciężarem dla rodziców, toteż gdy pojawiła się możliwość wyjazdu do Niemiec, m.in. w celach zarobkowych, nie wahałem się ani chwili. Mieszkała tam rodzina kolegi z seminarium. Zaproponowano mi dach nad głową i możliwość pracy. Nie będę się rozwodził nad moimi losami w Niemczech. Byłem tam kilka miesięcy i nie żałuję tego. Zarobiłem na dalsze studia i poznałem trochę inne życie od tego, które dotąd wiodłem. Do niedawna jeszcze podtrzymywałem przyjacielskie kontakty z kilkoma księżmi pracującymi na stałe za zachodnią granicą. Wróciłem wczesnym latem i żyłem do września na łonie rodziny i parafii. To dziwne jak bardzo cieszyłem się, że niedługo zamknie się za mną kolejna seminaryjna furta. Byłem szczęśliwy i zdecydowany ponieść każdą ofiarę na drodze do kapłaństwa.

Seminarium Łódzkie różni się pod wieloma względami od włocławskiego. Środowisko niemal milionowej Łodzi — miasta uniwersyteckiego o tradycjach robotniczych — wyraźnie oddziałuje na seminarium i cały Kościół Łódzki. Moja nowa uczelnia, wraz z katedrą i pałacem biskupim, usytuowana była w samym centrum Łodzi, przy ul. Piotrkowskiej. To nie był prowincjonalny Włocławek z kilkoma uliczkami w centrum. Tutaj czuło się powiew świata, a zarazem wielkie wyzwanie dla Kościoła i jego kapłanów. Seminarium, podobnie jak włocławskie, składało się z dwóch kompleksów budynków — starych i nowych. W nowej kondygnacji, na górze, mieszkała część kleryków. Pokoiki były tam przytulne, z osobnymi łazienkami i prysznicami. Cały gmach wydawał się być bardziej widny i przestronny, a może to po prostu mniejsza liczba alumnów (150-ciu) zajmowała mniej miejsca niż we Włocławku.

Zostałem przyjęty na czwarty rok; było nas dwudziestu czterech, a wraz ze mną przybył jeszcze jeden kleryk z Katowic. Już od pierwszych godzin mojego pobytu w nowym środowisku wiedziałem, że czegoś mi tam brakowało; coś mi nie pasowało. Wspólny posiłek, spotkanie na sali kursowej, wieczorne modlitwy — tak minął pierwszy dzień, jakże inny od moich oczekiwań. Kiedy wieczorem leżałem w swoim nowym łóżku olśniło mnie to, co chodziło za mną od chwili przekroczenia progu tego gmachu. Przychodząc do Łodzi nastawiony byłem na realia włocławskie, a tym czasem po pierwszym dniu prawie nie czułem, że byłem w seminarium duchownym. Wszystko tu było takie normalne, a ludzie tacy naturalni, że nie czuło się tej specyficznej atmosfery z Włocławka — pełnej nieufności, udawania i dystansu. Tutaj wszyscy żyli na względnym luzie. Śmiech wydawał się bardziej szczery, rozmowy nie męczyły niedomówieniami. Takie było moje pierwsze wrażenie. Oczywiście czas je zweryfikował, ale tylko po części.

Zawsze będę uważał, iż Seminarium Łódzkie było wspaniałym miejscem gdzie urzeczywistniało się w praktyce wiele ideałów: wspólnoty, miłości chrześcijańskiej i braterstwa. Najprościej można by powiedzieć, że prawie wszystko było tu lepsze w porównaniu z Włocławkiem — począwszy od wyżywienia i warunków mieszkaniowych, a skończywszy na ogólnym poziomie intelektualnym i duchowym przełożonych, profesorów i samych kleryków. Było to seminarium małych wspólnot i jeszcze mniejszych „paczek”, ale czuło się też chwilami ducha prawdziwego braterstwa. W każdym razie, nie było tu takich przepaści i antagonizmów pomiędzy starszymi a młodszymi, profesorami a studentami, przełożeni, a zwłaszcza prorektor ks. dr Ireneusz Pękalski (obecnie rektor) i prefekt studiów ks. dr Andrzej Perzyński (obecnie prorektor) byli wspaniałymi pedagogami i ludźmi o wielkich sercach.

Nawet z biskupem każdy mógł tu pogadać, np. spotykając go na korytarzu. W Łodzi nie zdarzało się nigdy żeby przełożony czy profesor zrugął studenta, wyzwał go albo kazał sobie umyć samochód — tak, jak to było na porządku dziennym we Włocławku. Z pewnością mieli tu większy szacunek dla kleryków, a przynajmniej traktowano ich jak normalnych ludzi, którzy mają swoją godność. Wiązało się to niewątpliwie z ciągłym niedoborem kapłanów w Diecezji Łódzkiej. Absolwenci łódzkich szkół średnich mieli do wyboru kilkanaście kierunków na wielu wyższych uczelniach. Wielka aglomeracja stwarza większe szanse startu życiowego. Ci więc nieliczni, którzy zdecydowali się „pójść na księdza”, przeważnie wiedzieli czego chcieli i mieli autentyczne powołania. Jednak większość kleryckiej społeczności stanowili napływowi „spadochroniarze”, wyrzucani za często śmieszne przewinienia z macierzystych seminariów — szczególnie z południa Polski. Niemal połowa składu osobowego naszej uczelni rekrutowała się spośród alumnów pochodzących z Przemyśla, Tarnowa, Sandomierza, Opola i Katowic. W tamtejszych seminariach działo się podobno jeszcze gorzej niż we Włocławku.

Oczywiście byli i tacy, którzy przenieśli się dobrowolnie — na własną prośbę (tak jak ja) lub byli tutaj od pierwszego roku. Ta zbieranina młodych ludzi odnalazła w Łodzi swoją „ziemię obiecaną”. Na pierwszy rzut oka, Seminarium Łódzkie niczym szczególnym się nie wyróżniało. Regulamin był tu niemal identyczny jak wszędzie, ale atmosfera o wiele zdrowsza. Jak przystało na miasto uniwersyteckie, poziom nauczania w Łodzi był wyższy w porównaniu np. z Włocławkiem, a profesorowie — bardziej utytułowani.

Usuwno najczęściej za oblanie kilku egzaminów, a żeby wylecieć z powodów moralnych trzeba się było nieźle „zasłużyć”. Oczywiście takie przypadki zdarzały się, ale były to już sprawy bardzo drastyczne, np. kradzież i na ogół wszyscy zgadzaliśmy się wtedy z decyzją przełożonych. Ogólnie rzecz biorąc — większa część rezygnowała dobrowolnie aniżeli była usuwana. Każdego roku uczelnię zasilali „desant” kilkunastu spadochroniarzy. Właśnie oni najbardziej skwapliwie korzystali ze swobody panującej w Łódzkiej Uczelni. Ta swoboda polegała również na tym, że nikt z przełożonych nie robił obchodów po pokoikach; można było wychodzić pojedynczo do miasta i zginąć w nim dokładnie, a Święta spędzało się w domu rodzinnym.

Byli oczywiście i tacy, którzy przeginali i to ostro. Byłem tym, zwłaszcza na początku, autentycznie zgorszony. Nie mogłem zrozumieć, jak można było np. niemal notorycznie nie chodzić na modlitwy, wracać ze spaceru następnego dnia albo pić w pokoju alkohol. Na ogół jednak, do regulaminu było tu podejście bardziej zdrowe i naturalne — tak ze strony kleryków, jak i przełożonych.

To co mnie urzekło już na początku mojego pobytu, to brak atmosfery nerwowości i ciągłego niepokoju, tak dobrze znanej mi z Włocławka. Poczucie spokoju i stabilizacji o wiele bardziej odpowiadało charakterowi tego miejsca, a przede wszystkim — samym alumnom. W takiej atmosferze łatwiej było pracować nad swoją duchowością, uczyć się i żyć. Uczelnia gwarantowała wszechstronny rozwój. Często wychodziliśmy wspólnie do kina czy teatru. Mogliśmy korzystać z bogato wyposażonej biblioteki, czytelnicy, kursów komputerowych, atlasu do ćwiczeń itp. Ksiądz biskup Lepa, który zajmował się w episkopacie środkami masowego przekazu, wykorzystywał swoje szerokie znajomości i koneksje. Zapraszał do nas ludzi kultury i sztuki, a przede wszystkim polityków prawicy — szlifujących nam światopoglądy.

W Seminarium Łódzkim odnalazłem swoje miejsce na ziemi. Każdego dnia dziękowałem Bogu, że mnie tam sprowadził. Na początku zamieszkałem w dużym, czteroosobowym pokoju, w starym skrzydle. Moim superiorem był mój rówieśnik z roku. Mieszkało tam jeszcze dwóch braci z kursu trzeciego, z których jeden — Jarek pochodził tak jak ja z Włocławka i po roku przerwy przeniósł się do Łodzi. Żyliśmy zgodnie i wesoło. Po jakimś czasie jednak zaczęła mnie martwić postawa Jarka, który coraz częściej opuszczał poranne modlitwy i spóźniał się notorycznie ze spacerów. Wkrótce Jarek zrezygnował — sam lub z pomocą przełożonych (tego nigdy do końca nie było wiadomo). Podobno poznał jakąś kelnerkę. Nie sądzę, żeby mój ziomek padł ofiarą jakiegoś donosiciela (nie czuło się tutaj ich obecności).

Nasz superior Darek odszedł po roku. Po jakimś czasie okazało się, iż wraz z dwoma innymi kolegami przeniósł się do polskiego seminarium w Ocherlake (U.S.A.). Zrobili to w tajemnicy przed naszymi przełożonymi i biskupem, kontaktując się tylko ze Stanami, co wywołało trochę zamieszania.

W drugim semestrze sam zostałem superiorem. Miałem pod sobą dwóch młodszych kolegów z 1-go roku. Jednym z nich był Stasiu Kmiotek, który zafascynował mnie i wszystkich, którzy choć trochę go poznali. Był on bez wątpienia niezwykle osobowością — genialny umysł (m.in. kilka opanowanych biegle języków) i wszechstronna wiedza, wielka kultura osobista i prawność charakteru — rzadko spotykana, nawet w takim miejscu jak seminarium. Stasiu stanowił żywe zaprzeczenie teorii, iż nie ma ludzi doskonałych, a przy tym cechowała go autentyczna skromność. W czasie gdy mieszkaliśmy razem tj. przez pół roku nasz pokoikowy geniusz opanował język hiszpański. Nie krył, że fascynuje go ten kraj i bardzo chciałby tam kiedyś pojechać. Tak się szczęśliwie złożyło, iż zapoznał się wkrótce z hiszpańskim księdzem, który przyjechał do Łodzi, a Stasiu był jego tłumaczem podczas spotkania z biskupem Ziółkiem. Chłopak przypadł do gustu Hiszpanowi, który po niedługim czasie zaprosił go do swojej parafii. Wizyta miała dojść do skutku podczas najbliższych wakacji.

Jednak wcześniej zdarzyło się coś, co kompletnie zdruzgotało naszego Stasia, a w konsekwencji doprowadziło do jego rychłego odejścia z seminarium. Ktoś z bliskiej rodziny obdarował go większą kwotą pieniędzy; było tego coś około 100 DM. Dla chłopca, który pochodził z biednej, wiejskiej rodziny była to niemal fortuna. Kwota ta była ponadto rozwiązaniem jego największego wówczas problemu — sfinansowania wyprawy do wysnionej Hiszpanii. Stasiu był szczęśliwy jak nigdy dotąd i swoim zwyczajem zaczął dzielić się swoim szczęściem z innymi. Skutek tego był taki, że ktoś go bezczelnie okradł. Podobne wypadki zdarzały się i niestety wcale nie należały do rzadkości. Pokoje na długich korytarzach były zazwyczaj otwarte. Na posiłki i modlitwy chodzili zazwyczaj wszyscy, ale złodziej mógł się łatwo zadekować i buszować po wyludnionych mieszkaniach. Potwór- nie żał nam było kolegi. Zebraliśmy większą część pieniędzy które stracił, ale nikt nie potrafił zwrócić mu utraconej wiary w drugiego człowieka i podkopanych ideałów, którymi wcześniej wprost emanował W rozmowie ze mną, z niezwykle szczerością wyznał, że on po prostu nie rozumie, jak ktoś mógł zrobić coś podobnego i to w takim miejscu Nie myślał przy tym o swojej stracie, ubolewał tylko nad sumieniem tego, który to zrobił.

Przykład Stasia był jednym z wielu klasycznych przykładów niszczenia najbardziej wartościowych jedno-stek przez samą wspólnotę. Faktem było, iż niektórzy jej członkowie mogli być równie dobrze członkami gangu czy mafii, a chwilowe zaniedbania w tej dziedzinie nadrabiali pospolitym złodziejstwem.

W ciągu trzech lat pobytu w Łodzi spotkałem kilku byłych kolegów z Włocławka. Od jednego z nich dowiedziałem się o tym, że po 4-tym roku studiów zrezygnował mój przyjaciel Tomek. Ożenił się ze wspaniałą dziewczyną i wspólnie zamieszkali we Włocławku. Kiedy nadeszły wakacje pojechałem do nich w odwiedziny. Byli bardzo zakochani i szczęśliwi. Żona Tomka urzekła mnie mądrością życiową i wróżbami na mój temat, które spełniają się jedna po drugiej. Niestety Tomek który pochodził ze wsi, „stracił” (oby nie na zawsze) rodziców. Nie mogli pogodzić się z decyzją syna.

Część moich pierwszych „łódzkich wakacji” spędziłem na koloniach organizowanych przez Caritas. Kolonie przeznaczone dla dzieci z najbiedniejszych i patologicznych domów, odbywały się w pięknej wsi Nagórzyce, nad Zalewem Sulejowskim. Byłem tam wspólnie z innym klerykiem z 2-go roku. Wychowawczyniami poszczególnych grup dziecięcych były studentki. Szczególnie dwie z nich przyprawiły mnie i mojego kolegę o szybsze bicie serca. Z satysfakcją stwierdziłem jednak że nie zdziaczałem w seminarium. Potrafiłem spokojnie, na luzie rozmawiać z piękną dziewczyną. Nie miałem przy tym sprośnych myśli ani spoconych rąk. W pełni kontrolowałem sytuację. Mój jasno wyznaczony cel – kapłaństwo – przewyższał wszystko inne, cokolwiek by to nie było. Może byłem przy tym niezbyt pokorny, ale często powtarzałem słowa św. Franciszka: „Do wyższych celów jestem stworzony”.

Podobnie jak we Włocławku, co jakiś czas wyjeżdżaliśmy po wsparcie finansowe do parafii. Takich wyjazdów w teren było kijka w ciągu roku. W odróżnieniu jednak od Włocławka, tutaj mogliśmy sami prosić o odpowiadające nam parafie. W związku z tym kilka razy z rzędu odwiedziłem małą, wiejską placówkę, leżącą najbliżej mojej rodzinnej — aby po ostatniej Mszy móc pojechać do domu. Tak robili wszyscy klerycy. Proboszcz parafii był bardzo miły, ale wyczuwałem w nim coś, co go gdzieś od wewnątrz gryzło. Zauważyłem, iż zachowuje się nerwowo i dziwnie — jakby coś lub kogoś ukrywał. Moje przypuszczenia zamieniły się w pewność, gdy przyszliśmy z „sumy” na obiad. Proboszcz twierdził, że mieszka zupełnie sam na plebanii.

Mnie wpuszczał tylko do jednego pokoju — przy wejściu więc nie mogłem tego sprawdzić, zresztą wcale mnie to nie obchodziło. Po co jednak składał pierwszy taką deklarację skoro prawda musiała wyjść na jaw? Otóż, gdy przyszliśmy z Kościoła okazało się, że obiad jest już ugotowany, a szklanki po porannej kawie gdzieś zniknęły. Będąc kolejny raz w tej samej parafii znowu usłyszałem, już na wstępie, że jesteśmy sami. Kiedy jednak przyszliśmy na obiad, a ten stał już przygotowany na stole — nie wytrzymałem i wyraziłem naturalne w takiej sytuacji zdziwienie. Proboszcz poczerwieniał, zjadł w milczeniu obiad, a później powiedział wzruszony, że oddał Kościołowi wszystko — całe swoje życie, ale — „trudno jest być człowiekowi samemu” — spuentował. Żałowałem, że ta „niewidzialna ręka” od razu się nie pokazała. Nie męczyłbym wówczas tego pocziwego człowieka. Swoją drogą, biedna to była kobieta, która musiała ukrywać się przed całym światem i biedny mężczyzna, który ją ukrywał. Pytam się — do jakiego wieku może jeszcze bawić człowieka zabawa w chowanego?

Na piątym roku otrzymałem z rąk biskupa posługę akolitu. To jedna z najwspanialszych funkcji kapłańskich — rozdzielanie Ciała Chrystusa! Jakże byłem szczęśliwy i wzruszony, gdy po raz pierwszy udzielałem Komunii swoim rodzicom!

Rozpocząłem również równoległe studia na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, korzystając z jej filii łódzkiej. Czas piątego roku wspominam jako doskonałą harmonię pracy intelektualnej, pogłębiania duchowości oraz... ćwiczeniach ciała. Już w liceum z pasją podnosiłem ciężary, a tu miałem pod bokiem nowy atlas.

Mieliśmy w tym czasie kilka „afery”. Najbardziej przykrą była historia, która wydarzyła się w Tomaszowie, a odbiła szerokim echem w całej diecezji. Tamtejszy proboszcz — Ryszard Falski — napastował seksualnie młodego ministranta. Stary świntuch dość poważnie nadwyreżył odbytnicę chłopca.

Podobne bolesne wydarzenia zdarzały się co jakiś czas, ale zawsze budziły w nas niezrozumienie i trwogę. Fakty te skrzętnie tuszowano i ukrywano — załatwiając sprawę (jak w przypadku tomaszowskim) większą sumą pieniędzy za milczenie. Kościół przez setki lat opanował do perfekcji sztukę kamuflażu.

Dotarła do nas również wieść o powieszeniu się zakonnicy w Parafii p.w. Św. Franciszka w Łodzi. Według późniejszych relacji jej spowiednika — siostra miała duży temperament seksualny, z którym nie mogła sobie poradzić. Ciągłe pokusy i grzeszne myśli zamieniły jej życie w koszmar, pomieszały zmysły i pchnęły do samobójczej śmierci.

Druga afera rozegrała się w samym seminarium, a właściwie tam miała swój finał. Otóż na jednym ze wschodnich przejść granicznych przechwycono kradziony samochód, bardzo dobrej marki — przeprowadzany przez jednego z naszych braci kleryków. Zdarzenie to doprowadziło do zdemaskowania grupy kilku alumnów naszej uczelni, którzy w sutannach szmuglowali przez granicę kradzione samochody dla jednej z grup przestępczych. Mafiosów, tworzących w seminarium jedną z zamkniętych „paczek”, usunięto dyscyplinarnie. Sprawa jak zwykle nie ujrzała światła dziennego — „dla dobra Kościoła”.

Będąc w seminarium, ja i moi koledzy, doskonale wiedzieliśmy o tym, co się działo w terenie. Słyszeliśmy i znaleźliśmy z naszych własnych, parafialnych podwórek, konkretne przykłady łamania przez księży celibatu, a raczej czystości — na wszystkie możliwe sposoby— życia w konkubinacie, rozbijania małżeństw, uwodzenia nieletnich (często są to uczniowie i uczennice szkół średnich, a nawet podstawowych), związków i romansów z zakonnkami, nakłaniania do współżycia kobiet i mężczyzn podczas spowiedzi (korzystając z jej tajemnicy) itd.

Dla niektórych z nas takie i podobne przypadki były zdecydowanie gorsze; nieliczni do końca, tzn. do momentu wyjścia z seminarium, szczerze w nie powątpiewali. Jestem jednak przekonany, że wielu przyjmowało takie wieści z cichą nadzieją, w stylu — „Jakoś to będzie” albo „na szczęście można będzie pokombinować, skoro innym się udaje”. Znamienne, a czasem zachęcające było to, iż hierarchowie Kościoła bardzo pobłażliwie podchodzili do nadużyć kleru, związanych z pogwałceniem szóstego przykazania. Jeśli już wyskok stał się głośny i doszedł, zwykle za sprawą „kolegi”-księdza, do uszu biskupa — w najgorszym wypadku delikwenta przenoszono na inną placówkę.

W przypadku proboszczów, nawet to nie zawsze wchodziło w grę. Kto nie wierzy może sprawdzić w Parafii M.B. Królowej Polski w Tomaszowie, gdzie do dzisiaj urząd przewielebnego, czcigodnego proboszcza sprawuje stary pedofil vel ks. prałat Ryszard Falski. Zaiste, tacy jak on nie łamią żadnego ze ślubów (celibat = bezżenność, a nie czystość). Biskupi, wiedząc o rozmiarach zjawiska zdają sobie sprawę, że jakiegokolwiek reakcje z ich strony byłyby walką z wiatrakami i odsłoniłyby ogromny problem (także ludziom świeckim), a to jest ostatnia rzecz, której chce Kościół. Jednocześnie ci sami biskupii, na czele z papieżem, potępiają księży zawierających związki małżeńskie. Biblia, która w żadnym miejscu nie mówi o bezżenności kapłanów (wręcz przeciwnie), wielokrotnie podkreśla naturalne, tj. dane przez Boga, prawo każdego człowieka do posiadania rodziny.

Nadeszły kolejne wakacje dla mnie pod znakiem pieszej pielgrzymki do Częstochowy i kolejnych kolonii Caritasu. Po wakacjach wydarzenie, na które czekałem od lat — Święcenia diakonatu. W Diecezji Łódzkiej organizowaniem święceń diakonatu wyróżnia się co roku inną parafię. Nasza uroczystość wypadła w Pabianicach. Ogromny nowy Kościół p.w. Św. M. Kolbego pomieścił wszystkich zaproszonych gości. Moja bliska rodzina stawiała się w komplecie. Oprawa uroczystości była, jak zwykle imponująca. Święceń udzielał nam rektor — ks. bp. Adam Lepa. Tydzień wcześniej przeżyliśmy wspólnie rekolekcje, które chyba każdy z nas będzie długo wspominał. Prowadził je, w klasztorze — pustelni pod Częstochową, wspaniały człowiek — kapłan — ojciec Winfrid ze Zgromadzenia Krwi Chrystusa.

Biskup po raz pierwszy nałożył na mnie ręce, tak jak Jezus na apostołów. Ja natomiast po raz pierwszy zostałem poświęcony Bogu, wobec którego ślubowałem celibat — bezżenność, posłuszeństwo biskupowi ordynariuszowi oraz odmawianie brewiarza. Po święceniach diakonatu — ksiądz diakon mógł prowadzić nabożeństwa oprócz Mszy Świętej, a także asystować przy pogrzebach i ślubach. Ja i moi koledzy byliśmy wprost zauroczeni nowymi obowiązkami i możliwościami. Dumnie paradowaliśmy po seminaryjnym ogrodzie z brewiarzem w rękach — jak poważni duszpasterze. A ile było emocji przy pierwszym ślubie! Jeden z naszych kolegów nie przyjął święceń. Wiedzieliśmy, że ma dziewczynę i czeka tylko na obronę pracy, aby z tytułem magistra odejść w inne życie.

Nie wiem jak moi koledzy z roku, ale ja ślubując celibat uczyniłem to w jakimś sensie w sposób nie do końca świadomy (a więc zgodnie z nauką Kościoła — nieważny). Żyjąc od 19-tego roku życia w zamkniętym środowisku i obracając się niemal wyłącznie w kręgu spraw związanych z Kościołem — nie miałem okazji doszukiwać się u siebie pragnień związanych z małżeństwem czy założeniem rodziny.

Patrząc po latach na zdjęcia z uroczystości w Pabianicach widzę twarze i oczy moich braci — tak samo ufne i nieświadome jak moje.

Wspomniałem już wcześniej o stanowisku dziekana ogólnego. Funkcję tę dzierżył diakon wybrany w tajnych wyborach przez wszystkich kleryków i zatwierdzony przez przełożonych. Na tych samych wyborach, które odbywały się przed wakacjami, (kandydaci byli wtedy na 5-tym roku) wybierano również dziekana ogólnego gospodarczego i sacelana tj. opiekuna kaplicy. O ile funkcja dziekana ogólnego miała charakter reprezentacyjny i sprowadzała się zazwyczaj do odczytania kilku zdań „w imieniu kleryków”, to dwa pozostałe stanowiska łączyły się z konkretną pracą, obowiązkami i odpowiedzialnością.

W czasie wyborów kilku kleryków zgłosiło moją kandydaturę na dziekana ogólnego gospodarczego, podając w uzasadnieniu moją rzekomą operatywność, zdolności organizacyjne i umiłowanie czystości. Wybrano mnie niemal jednogłośnie na to stanowisko, a przełożeni wybór zaakceptowali.

Miałem więc, oprócz pisania pracy magisterskiej, sporo zajęć przez ostatni rok studiów. Do moich obowiązków należał m.in. — ogólny nadzór nad czystością i porządkiem w seminarium oraz organizowanie ludzi do prac, np. liczenia i układania pieniędzy po zbiórkach itp. Na każdym roku był tzw. kursowy dziekan gospodarczy. Wszyscy oni podlegali mnie i na moje polecenie wyznaczali kleryków na swoim roku. Pod nieobecność lub w przypadku niedyspozycji dziekana ogólnego, zastępowałem go na różnego rodzaju imprezach. Co do prac fizycznych wykonywanych przez kleryków w seminarium i poza nim — miały one rozmaity charakter i były na porządku dziennym. We Włocławku klerycy przede wszystkim rozładowywali kontenery z darami oraz pracowali na seminaryjnych arealach przy pracach polowych. Przy ich ogromnej pomocy wybudowano także nowy gmach uczelni.

W Łodzi na szczęście nie było już problemów z darami, które w latach 90-tych przestały prawie przychodzić. Najwięcej pracy było przy zwożeniu plonów, którymi wiejskie parafie obdarowywały seminarium, a także przy rozładunku cegieł na dom księży emerytów i ogromne łódzkie świątynie. Moja funkcja dziekana gospodarczego łączyła się też z przywilejem, otóż wspólnie z sacelanem mieszkaliśmy w dość dużym pokoju na uboczu. Mieliśmy swoją łazienkę z prysznicem i wc. Poza „ustawowymi” obowiązkami miałem też inny, który był najbardziej wyczerpujący, ale dawał też dużo satysfakcji.

Naprzeciwko naszego pokoju było mieszkanie byłego wieloletniego rektora seminarium, który od kilku lat leżał sparaliżowany w łóżku. Ksiądz Infulat Woroniecki mimo podeszłego wieku (ponad 80 lat) i nieuleczalnej choroby zachował dobry humor i był prawdziwą skarbnicą wiedzy o Łódzkim Kościele. Od jego łóżka do naszego pokoju był przeciągnięty przewód, który u nas kończył się elektrycznym dzwonkiem. Ksiądz rektor miewał okropne bóle o różnych porach dnia i nocy i często korzystał z dzwonka. Konsekwencją mojego ciągłego zabiegania było zaniedbanie pracy naukowej. Od czwartego roku studiów uczyłem na seminarium z prawa kanonicznego. Promotorem mojej pracy magisterskiej był obecny rektor — ksiądz dr. Pękalski — wspaniały człowiek i kapłan z wielkim poczuciem humoru. Tematem mojej pracy był katechumenat — instytucja pierwotnego Kościoła, przygotowująca kandydatów do przyjęcia chrztu. Mniej więcej w połowie szóstego roku ogłosiłem wszem i wobec obłożną chorobę. Zamknąłem się na miesiąc w pokoju (wychodziłem tylko do ks. Infulata). Jedzenie donosił mi współmieszkaniec. Po miesiącu praca magisterska była już gotowa, a niedługo potem obroniłem ją na 4+ w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

Będąc po pierwszych święceniach w Seminarium Łódzkim można było pozwolić sobie na głęboki oddech. Byliśmy jedną nogą w kapłaństwie, a wielu traktowało nas już jak pełnoprawnych księży. Mogliśmy pozwolić sobie np. na wykłady połączone z luźną dyskusją i wymianą zdań. Powszechnie wiadomo, jak wielu wiernych nie zgadza się z pewnymi naukami Kościoła dot. antykoncepcji, zapłodnienia in vitro czy rozwodów.

Mało kto wie natomiast, że jeszcze w większym stopniu nie zgadzają się z nimi sami księża (choć je przekazują). Niektóre fragmenty doktryny napotykają na oponentów już w seminarium, wśród kleryków. Osobiście nie zgadzam się z kilkoma naukami odnoszącymi się do moralności chrześcijańskiej i mam zastrzeżenia co do uzasadnienia kilku innych. Dla przykładu, jednym z podstawowych uzasadnień dogmatu mówiącego o Jezusie jako o jedynym Synu Maryi jest stwierdzenie, iż gdyby miała Ona więcej dzieci uwłaczałoby to Jej godności, a także godności samego Jezusa.

Nie sądzę, że dla Jezusa byłoby poniżające to, iż urodził by się jako pierworodny, ale nie jedyny z prawowiernego małżeństwa. Często w węższym gronie dyskutowaliśmy o naszych różnych wątpliwościach co do wpajanej nam doktryny. Nie było jednak wielu odważnych, którzy chcieliby polemizować z profesorami. Ja zdobyłem się na taką polemikę będąc już diakonem.

Była to dyskusja z wykładowcą świeckim, występującym czasami w telewizji, utytułowanym prof. seksuologii p. Włodzimierzem Fijałkowskim, który zawsze reprezentuje linię ściśle kościelną. Profesor miał wykłady z naszym kursem na temat naturalnych metod zapobiegania ciąży oraz płciowości w ogóle. Mówiliśmy o metodach antykoncepcji niedopuszczalnych z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej. Wszyscy są zgodni co do tego, że antykoncepcja w niektórych przypadkach jest wręcz konieczna.

Zrozumiałe jest również negatywne stanowisko wobec metod antykoncepcyjnych polegających na zniszczeniu zapłodnionej komórki jajowej, nie mówiąc już o samej aborcji. Mnie i moim kolegom nie trafiło jednak do przekonania postawienie znaku równości pomiędzy wszystkimi środkami zapobiegania ciąży odrzucanymi przez Kościół. Ja wziąłem w obronę prezerwatywę, która nie dopuszcza do samego zapłodnienia. Biorąc pod uwagę jej niską cenę i zawodność metod naturalnych wydaje się być ona jakimś rozwiązaniem, tym bardziej, że zapobiega przed AIDS. Profesor Fijałkowski był oburzony moją nieprawomyślnością. Jedynym jego argumentem było jednak tylko to, że prezerwatywa jest czymś „sztucznym i nienaturalnym” oraz że — „zabrania tego Kościół”. Może nie wiedział, iż Kościół to ludzie, a ludzie się zmieniają tak, jak warunki w których żyją. Ciekawe co by powiedział ten naukowiec, gdyby był ojcem wielodzietnej rodziny, a połowa z jego niedożywionych i niechcianych dzieci pochodziłaby ze stosowania naturalnych metod zapobiegania ciąży zalecanych przez Kościół. Zgodnie z argumentacją profesora należałoby również potępić wszelkie „sztuczne” substancje i „nienaturalne” metody ratujące ludzi, np. lekarstwa, sztuczne zęby, zastawki serca, nerki, protezy itp.

Ktoś mógłby powiedzieć, że nie dziwi go stanowisko byłego księdza. Zapewniam Was jednak, iż ogromna większość waszych duszpasterzy (w tym moi kursowi koledzy) jest podobnego zdania.

W Kościele hierarchicznym nie ma niestety miejsca na indywidualne interpretacje i przemyślenia, a tym bardziej na dyskusje o dogmatach, które są niepodważalne. Jest bardzo uciążliwe i bolesne — głosić przez całe życie to, z czym się człowiek nie zgadza i co chciałby zmienić, a tego zrobić nie może. Równie uciążliwa i bolesna jest bezsilność kapłanów wobec celibatu, który negują, a w którym muszą żyć jeśli chcą być kapłanami. Gdyby ktoś szukał w tej książce powodów mojego odejścia z kapłaństwa to właśnie znalazł aż dwa z nich.

Seminarium Łódzkie, mimo iż było o wiele bardziej normalne od włocławskiego, nie mogło ustrzec kleryków przed zachowaniami typowymi dla zamkniętego środowiska męskiego. Myślę tu o zachowaniach homoseksualnych. W ciągu trzech lat pobytu w Łodzi miałem okazję obserwować rozwój klasycznego, w warunkach seminaryjnych, homo — uczucia, które miało swój epilog za ścianą mojego pokoju. Jeden z moich kolegów z roku — Stasiu zaprzyjaźnił się z młodszym o dwa lata Marcinem, który pochodził z samej Łodzi. Początki przyjaźni chłopców były, jak to bywa w takich przypadkach — bardzo niewinne. Ponieważ rodzice Staszka mieszkali na drugim końcu Polski — chłopak bywał częstym gościem w domu Marcina, tym bardziej, że ten ciągle go zapraszał. Staszek przez kilka lat przywiązał się do młodszego kolegi i jego rodziny, ale zachowywał się powściągliwie do samego końca. Tymczasem Marcin nie widział świata poza Staszkiem.

Chciał przebywać ciągle i tylko z nim. Kupował mu drogie prezenty, kwiaty, fundował bilety do kina i teatru. Wyręczał Staszka we wszystkich obowiązkach: sprzątał mu pokój, pomagał zbierać materiały do pracy magisterskiej itd. Mój kolega chyba zbyt późno zauważył, że sprawy zaszły za daleko albo po prostu była mu na rękę taka pomoc i „opieka”. W końcu jednak zaczął stopniowo odsuwać się od Marcina, co ten strasznie przeżywał. Pewnego wieczoru zelektryzował mnie łomot rzuconych przedmiotów i dźwięk tłukącego się szkła, dobiegający zza ściany. Pobiegłem sprawdzić co się dzieje.

Zobaczyłem Marcina, który demolował pokój Staszka — łamał krzesła, rozbijał wazony, rzucał książkami. Staszek próbował go powstrzymać, ale Marcin dostał szału. Wykrzykiwał przy tym, że Staszek go odtrąca i ignoruje, podczas gdy on gotów jest zrobić dla niego wszystko. Próbowałem uspokoić desperata, chociaż było mi go bardzo żal. W tym czasie Stanisław wybiegł z pokoju, a za chwilę wrócił z prorektorem. Marcin był załamany i zrezygnowany.

Łamiącym się głosem, ze łzami w oczach powiedział przełożonemu, że jest mu wszystko jedno i że nie ma po co żyć bo Stasiu go już nie chce, a on Stasia kocha. Sytuacja była tragicomiczna. Ksiądz wicerektor zachował jednak stoicki spokój. Zaprowadził Marcina do siebie na rozmowę. Wkrótce chłopak musiał opuścić seminarium.

Świecenia kapłańskie zbliżały się wielkimi krokami. Po obronie pracy magisterskiej pozostało mi tylko drukowanie zaproszeń. W tym czasie bardzo dużo się modliłem i mobilizowałem do zadań, które miały mi zostać niedługo powierzone. Przed święczeniami czekały nas jeszcze prywatne rozmowy z arcybiskupem (odkąd Diecezja Łódzka stała się archidiecezją), przełożonymi i ojcem duchownym odpowiedzialnym za naszą formację wewnętrzną. Pierwsza kolejka ustawiła się przed mieszkaniem „ojczaszka”. Był to dobroduszny, trochę flegmatyczny człowiek ok. sześćdziesiątki. Podobno wewnątrz miał naturę choleryka, ale nigdy tego nie doświadczyłem. Rozmowa z ojcem była objęta tajemnicą. Tematem jej, jak się później zorientowaliśmy, była pokora i posłuszeństwo. Czekając na swoją kolej, widziałem posępne i załamane oblicza wychodzących kolegów. Ojciec Świętek znany był ze swojego radykalizmu i ortodoksyjnej postawy. Rozmowa z nim była jedną z tzw. rozmów dopuszczających do święceń. Wszedłem więc do środka z duszą na ramieniu. Wyszedłem po kilkadziesiąt minutach posępny i załamany jak inni. Okazało się, że żaden z nas nie został dopuszczony do święceń, ale „ojczaszek” dał nam kilka dni na przemyślenia, po czym mieliśmy przystąpić do poprawki. Ponieważ rozmowę nie obejmowała tajemnica spowiedzi, przedstawię pokrótce jej treść i wymowę.

Ojciec dał każdemu z nas pod rozwagę kilka takich samych przykładów. Pierwszy z nich dotyczył prywatnego objawienia. „Założmy — mówił ojciec Świątek — że objawiła ci się Matka Boska albo Pan Jezus. Otrzymałeś jakieś posłanie czy misję do spełnienia. Oczywiście jedziesz z tym od razu do swojego biskupa, a on mówi ci, że to wszystko jest przewidzeniem i nakazuje nikomu nic nie mówić — co robisz?” Druga historia była już bardziej realna. „Przypuśćmy, że założyłeś (oczywiście za zgodą biskupa) jakieś stowarzyszenie modlitewne czy charytatywne, które w krótkim czasie wydało wspaniałe owoce. Widzisz na własne oczy ludzkie przemiany i nawrócenia. Nagle biskup odwołuje swoją zgodę, każąc ci zaprzestać działalności — co robisz?” Inny przykład dotyczył posłuszeństwa proboszczowi. „Dajmy na to, że w swojej parafii skupiłeś wokół Kościoła masę młodzieży. Zorganizowałeś ją w oazę, czy też inną organizację kościelną. Młodzież staje się lepsza, nawraca się, jest rozmodlona. W tym momencie wkracza proboszcz zakazując np. jakichkolwiek zgromadzeń młodych ludzi — co robisz?”

W każdym powyższym przypadku należało bezwzględnie i natychmiast, bez prawa do polemiki, podporządkować się woli przełożonego. Takie ślepe posłuszeństwo wobec wyższego w hierarchii odnosi się do każdej bez wyjątku sprawy i problemu. Jest to główne spoiwo trzymające Kościół Katolicki w jedności. Przez sześć lat słyszeliśmy wszystko o posłuszeństwie i pokorze, ale gdzie w tym wszystkim miejsce dla własnej inicjatywy i postępu? Po kilku dniach wyniki — 3:0 i 2:1 dla ojca — poprawiliśmy na naszą korzyść.

Ostatnie rekolekcje poprzedzające święcenia kapłańskie nasz rocznik odbył w Szczawinie — małej wiosce pod Zgierzem, gdzie Siostry Służebniczki miały swój dom zakonny. Rekolekcje prowadził redaktor naczelny „Niedzieli” — ks. dr Ireneusz Skubiś. Byliśmy już wtedy podekscytowani święceniami. Myślę, że wielu spośród nas dopiero tam zaczęło na poważnie myśleć o tym, co się wydarzy za parę dni. Wynikało to z naszej długiej i szczerzej rozmowy przy ognisku, ostatniego wieczoru. Mieliśmy po 25 — 26 lat, ale ciągle przebywanie w „szkole” sprawiło, że nasze zachowanie i sposób myślenia był ciągle niepoważny, a chwilami wręcz dziecinny. Jednak tego jednego wieczoru wszyscy byli skupieni; nic dziwnego — następnego dnia mieliśmy przyjąć z rąk arcybiskupa święcenia czyniące nas kapłanami na wieki! Nasza rozmowa szybko zesłała na temat życia, które nas czeka — celibat, samotność, niezrealizowane ojcostwo.

Dopiero wszystkich naraz zatrwożyła ta wizja, z którą każdy z osobna zdawał się zgadzać już od dawna. Jeden z kolegów, znany kawalarz, powiedział: „wiecie, od sześciu lat nie pocałowałem żadnej dziewczyny i to wydaje się oczywiste — byłem klerikiem zamkniętym w seminarium. Ale kiedy uświadomię sobie, że nie mogę tego zrobić do końca życia — wydaje mi się to głupie i nierealne. W imię czego?! Czy Jezus rzeczywiście wymaga od nas aż takich ofiar?!”

Zapewne wielu ludzi zastanawia się — kim są ci młodzi chłopcy decydujący się na sześć lat odosobnienia, a później na życie w samotności — bez żony, potomstwa, własnego domu? Co nimi kieruje? Jakie idee i cele im przyświecają? Czy ich intencje są zawsze szczerze? Na takie pytania nie sposób jest odpowiedzieć jednoznacznie i schematycznie. Niemożliwe jest przeniknięcie ludzkich myśli, nie mówiąc już o tym, że każdy człowiek jest niepowtarzalny. Ocena innego człowieka, w celu zaszufładowania go (bo tak jest najłatwiej), jest zawsze — mniej lub bardziej chybiona. Ja jestem jednak w tej dobrej sytuacji, iż mogę próbować odpowiedzieć na powyższe pytania w oparciu o własne, sześciolateczne doświadczenie.

Są to spostrzeżenia i przemyślenia zebrane w dwóch seminariach — dwóch środowiskach kleryckich, z których każde miało swoją specyfikę, choć wiele miały ze sobą wspólnego. Być może moje oceny wydadzą się komuś nazbyt przejaskrawione i tendencyjne. Zapewniam jednak, że nie występuję w roli tego, który patrząc wstecz na swoje najpiękniejsze lata życia, spędzone za kościelnymi murami — pragnie odwetu. Uważam, że okres seminaryjny jest w moim życiu, z jednej strony — jak gdyby — wyjściem na pustynię, aby spotkać tam Boga, a z drugiej strony — bardziej ludzkiej — oceniam te sześć lat jako wspaniałą przygodę, która dużo mnie nauczyła. Nie patrzę na ten czas, jak na ofiarę z kawałka życia albo jak na okres wyrzeczeń.

Paradoksalne jest to, że będąc w izolacji od świata nauczyłem się lepiej rozumieć ludzi — i to nie tylko tych w czarnych sutannach. Jeśli zaś chodzi o nich — to widziałem ich przychodzących i wychodzących. Wielu zmienił ten czas i życie jakie wiedli. Wielu jednak pozostało takimi, jakimi byli w dniu złożenia papierów. Wydaje się więc, że o wartości wychodzących decyduje w dużym stopniu intencja, z jaką po raz pierwszy przekroczyli seminaryjne progi.

Tak, jak już wspomniałem, nie sposób jednoznacznie ocenić wszystkich kandydatów do kapłaństwa. Każdy z nich jest innym człowiekiem. Nie wolno zapomnieć o tym, że pochodzą ze świata, a jaki jest świat i jego namiętności wszyscy dobrze wiemy. Są więc klerycy — złodzieje i klerycy — cwaniacy. Jednak ogromna większość braci kleryckiej, jestem o tym przekonany, idzie do seminarium za głosem Bożego powołania. Jeśli wychodzą po sześciu latach gorsi niż przyszli i (co często bywa) po drodze zgubili drogę, którą chcieli iść — to winien jest chory system, który ich wypaczył, a nie oni sami.

Seminarium duchowne jest środowiskiem jedynym w swoim rodzaju. Ścierają się w nim dwa światy, krzyżują się dwa sposoby na życie. Ciągłe walczy ze sobą to co ludzkie, ze świata z tym co boskie — i jest to naturalne. Najgorsze jest to, że to co kościelne rzadko pomaga temu co boskie, a często wręcz przeszkadza. Hermetyczność seminarium, wyizolowanie od świata zewnętrznego sprawia, że jego mieszkańcy pozbawieni trosk i problemów normalnego życia, tworzą często swoje własne prawa i obyczaje. Powszechnym zjawiskiem w seminarium jest zatem tzw. zmanierowanie. Klerycy żyjący pod kloszem, w inkubatorze ochronnym są nienaturalnie wyczuleni na punkcie swego — „ego”. Przysłowiowe nadeptnięcie na odcisk może czasami urosnąć do rangi wielkiej zniewagi, wręcz tragedii. Konkludując, muszę jasno i obiektywnie stwierdzić, że ci młodzi ludzie, których spotkałem na swojej drodze do kapłaństwa byli normalnymi chłopakami, żyjącymi w niezbyt normalnym środowisku. Powołanie, które otrzymali nie uczyniło ich świętymi, ale system wychowawczy — panujący w seminarium — niejednego wykoleił.

ROZDZIAŁ IV

Święcenia i pierwsze kroki w kapłaństwie

Sobotni poranek 12 czerwca 1993r. Dzień naszych święceń kapłańskich wstał gorący i parny. Katedra Łódzka już od rana wypełniała się rodzinami tych trzynastu wybranych i powołanych, którzy w ich obecności będą uświęceni i posłani. Pisząc te słowa oglądam film video z naszych święceń. Widzę procesję, a w niej całe seminarium — wszystkich kleryków od 1-go do 6-go roku, idących w stronę ołtarza.

Za nimi księża, którzy rok wcześniej otrzymali święcenia. Wreszcie nasza trzynastka w białych albach, z kapłańskimi ornatami złożonymi na wyciągniętych rękach. Następnie przechodzą jeden po drugim nasi profesorowie, przełożeni, czterech biskupów i arcypasterz w otoczeniu asysty. Nasza grupa ustawia się naprzeciwko ołtarza. Już niedługo staniemy z jego drugiej strony. Kamera przesuwa się wolno po twarzy każdego z nas. Wszyscy jesteśmy skupieni i wzruszeni — kamienne twarze, wyostrome zmysły, patrzące gdzieś przed siebie oczy.

Kiedy widzę, jak arcybiskup nakłada ręce na moją głowę, a ja ślubuję mu posłuszeństwo. Kiedy patrzę na siebie leżącego krzyżem na katedralnej posadzce, wśród moich braci. Próbuję przywołać w sobie te myśli i uczucia, które wówczas przepełniały moje serce. Pamiętam, iż mocno prosiłem Boga o siły i wytrwanie. Obiecałem Mu szczerą i oddaną służbę. Wierzyłem wtedy, że udźwignę i poniosę ten krzyż, który brałem na swoje barki. Panie, Boże mój! Ty wiesz najlepiej, że miałem wielkie pragnienie służenia Tobie i Twoim wiernym! Ty Wiesz, że na dzień serca zachowałem nadzieję „która zawieść nie może” — kiedyś znowu stanę przy Twoim ołtarzu!

Po tygodniu od tamtych wydarzeń, które zakończyły się oberwaniem chmury i powodzią na ulicach Łodzi, czekała mnie ostatnia już uroczystość. Wtajemniczeni wiedzą zapewne, iż nowowyswiecony ksiądz, swoją pierwszą — uroczystą Mszę Świętą, tzw. prymicję, sprawuje w rodzinnej parafii. Na takie wydarzenie niektóre wspólnoty parafialne czekają nieraz dziesiątki lat. Nic więc dziwnego, iż skupia ono uwagę, oprócz całej rodziny i kręgu znajomych neoprezbitera (5), niemal wszystkich w okolicy. Byłem w dobrej sytuacji, ponieważ kilka tygodni wcześniej moja parafia (ok.10 tys. mieszkańców) przeżyła już prymicję mojego kolegi. Nie będę opisywał po kolei wszystkich punktów samej uroczystości.

Nie muszę także nadmieniać, że wszyscy tego dnia są wzruszeni; składają „swojemu księdzu” cudowne życzenia i obsypują go kwiatami. Dzieci mówią wierszyki, proboszcz wygłasza mowę okolicznościową, a zaproszony kaznodzieja wychwala pod niebiosa bohatera parafii. Stałym punktem każdej prymicji jest również tzw. podziękowanie prymicjanta, w którym zazwyczaj kreśli on drogę swojego powołania i dziękuje wszystkim (zwłaszcza rodzicom), którzy na tej drodze stanęli. Na koniec błogosławi wszystkich zgromadzonych, kładąc każdemu ręce na głowę. Z tym błogosławieństwem połączona jest szczególna Łaska Boża. Jako pierwsi dostępują tej Łaski kapłani; następnie siostry zakonne, klerycy, rodzice, rodzina bliższa i dalsza — aż do ostatniej głowy w świątyni. Ja osobiście odebrałem swoje prymicje jako jedno wielkie dziękczynienie. Dziękowałem przede wszystkim Bogu za to, iż mogłem sprawować Jego Ofiarę przy tym samym ołtarzu, przy którym służyłem do Mszy jako ministrant. Dziękowałem, iż Był ze mną i Prowadził mnie przez te wszystkie lata.

Dla mnie prawdziwymi bohaterami tej prymicji byli moi rodzice. To im należały się wszystkie kwiaty i życzenia. Wiedziałem jednak, że dla nich — najlepszą nagrodą i podziękowaniem za 25-letnie trudy mojego wychowania — było widzieć mnie sprawującego Najświętszą Ofiarę. Nie zapomnę nigdy — Kochani Rodzice – Waszej miłości, troski i Waszego ... przebaczenia.

(5) Neoprezbiter – ksiądz w czasie I-go roku kapłaństwa.

Każde prymicje, po części liturgicznej, mają swoją kontynuację przy suto zastawionym stole. Rodzina i znajomi mogą wtedy do woli nacieszyć się swoim pupilkim. Oczywiście nigdy nie podaje się alkoholu, ale muzyka i taniec są praktykowane — zwłaszcza w górach. Utartym zwyczajem — prymicjanta obdarowuje się prezentami i kopertkami. Święcenia kapłańskie i następujące po nich prymicje często przyrównuje się do ślubu i wesela. Biorąc pod uwagę fakt, iż wydarzenia te łączą się z dwoma równorzędnymi sakramentami — nie jest to pozbawione sensu. Biesiadowanie i zabawa prymicyjna trwają zwykle do wieczora. Kiedy pojedą już ostatni goście, a zmęczeni rodzice położą się spać, zostają sami zaślubieni — on i jego Bóg. Po prymicjach zostało mi kilka dni odpoczynku. Pojechałem z rodzicami do Lichenia. To było i jest dla nas prawdziwe, rodzinne sanktuarium. Matka Boża Bolesna знаła wszystkie nasze radości i smutki. Oddałem się w Jej matczyną opiekę.

Zgodnie z nowym dekretem arcybiskupa — nowowyświęceni kapłani mieli w czasie wakacyjnych miesięcy, zastępować księży będących na urlopiach. Wszystkie parafie objęte zastępstwami były na terenie samej Łodzi. Każdy z nas miał przydzielone dwa lub trzy punkty, w ciągu dwóch miesięcy.

Kiedy zjechałem na swoją pierwszą placówkę akurat kończyła się wieczorna Msza Św. Ksiądz Wiesław przywitał się ze mną wesoło. Powiedział, że zastępuję samego proboszcza, bo to on jest właśnie na urlopie. Stojąc w zakrystii, kątem oka dostrzegłem kolejkę ludzi przy konfesjonale. Poczulem, że zbliża się moja pierwsza spowiedź. „Czy to na nas czekają?” – spytałem niepewnie. „A, tak, tak lecimy” – odparł mój starszy kolega i już go przy mnie nie było. Ja poszedłem do drugiego konfesjonału na drewnianych nogach.

Gorączkowo powtarzałem w myślach formułkę rozgrzeszenia. Dziewczyna, którą spowiadałem spytała mnie — czy dobrze się czuję. Nic dziwnego — sam nie mogłem poznać swojego głosu, a w dodatku zacząłem się jąkać. W czasie następnych spowiedzi stopniowo się opanowałem. Pamiętam, iż moim pierwszym i największym wrażeniem było uczucie wielkiego zażenowania. Czułem się niegodny wysłuchiwania i odpuszczania cudzych grzechów. Chociaż później nabrałem pewnej rutyny w spowiadaniu, to właśnie wrażenie towarzyszyło mi i pozostało do mojej ostatniej spowiedzi. Niestety, wielu księży traktuje spowiedź nieodpowiedzialnie, spływając ją do kilku zdawkowych pouczeń i „odpukania”. Dziwią się później ludziom, iż ci spowiadają się całe życie jak dzieci pierwszokomunijne.

Ksiądz Wiesiu zaprowadził mnie do swojego mieszkania w ogromnej — nowej plebanii, którą wcześniej wziąłem za jeden z bloków. W porównaniu z małą, obskurną kaplicą — budynek parafialny był naprawdę imponujący. Podobno proboszczowi zabrakło już pomysłów na to, co w nim urządzić — tym bardziej, że on i drugi wikariusz mieli mieszkania gdzie indziej. Wiesiu zajmował niewielką część najwyższej kondygnacji, a mnie przypadł jeden z jego pokoiów. Wspólnie zrobiliśmy sobie kawalerską kolację, do której mój kolega wyciągnął „połówkę”. Był szczerze zdziwiony i zawiedziony kiedy usłyszał, że nie będę z nim pił. Po chwili, tym razem ja zbaraniałem gdy zobaczyłem jak Wiesiu stawia przed sobą butelkę i raz za razem sobie polewa. Tak było każdego wieczoru. Wiesław często zasypiał pijany przy stole i spał tak w ubraniu aż do rana. Mój starszy brat w kapłaństwie, mimo swojej miłej powierzchowności i sumienności w wykonywaniu obowiązków — cierpiał już wtedy na chorobę alkoholową.

Na szczęście pił tylko wieczorami, kiedy go nikt nie widział. Nie zdobyłem się na rozmowę z nim na ten temat. Zapewne i tak nie odniosła by żadnego skutku. Jeszcze jako diakon brałem udział w odpuście parafialnym, w którym uczestniczył biskup Bohdan Bejze. Był on wtedy na przyjęciu, w gronie księży, mocno wstawiony. Brakowało mu jednak do stanu w jakim, każdego wieczoru, widywałem Wiesia. Wkrótce miałem się dowiedzieć i przekonać na własne oczy, jak wielkie spustoszenie wśród kleru robi alkohol.

Cała moja praca w parafii polegała na odprawianiu jednej Mszy dziennie, spowiadaniu w czasie drugiej Mszy oraz dyżurze w kancelarii. Wolny czas przeznacząłem na czytanie książek i wycieczki po Łodzi. Obiady gotowała nam miła, starsza kobieta, która później została moją dojeżdżającą (od czasu do czasu) gospodynią. W taki oto beztroski sposób spędziłem trzy tygodnie w Parafii Najświętszej

Eucharystii w Łodzi.

Na kolejną placówkę zawiózł mnie Wiesiu swoim maluchem. Tym razem miałem zastępować wikariusza. Parafia M.B.Nieustającej Po-mocy była o tyle ciekawa, że połowę jej mieszkańców stanowili chorzy umysłowo — pacjenci pobliskiego szpitala. Jednego z nich widziałem każdego ranka, jak przychodził pod plebanię i całował z namaszczeniem opony proboszczowego Opla Kadeta. Wielu pacjentów uczęszczało systematycznie do Kościoła, wykręcając przy okazji różne numery, np. jedna kobieta rozebrała się do naga przed ołtarzem, w czasie Mszy wykrzykując przy tym, że jest Matką Boską. Podziwiałem spokój i opanowanie proboszcza, który zawsze wiedział jak z humorem wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Filią parafii była kaplica na cmentarzu, gdzie w niedzielę odprawialiśmy Msze Święte.

W tym czasie prowadziłem dwa pogrzeby na tzw. „Dołach”. Jest to jeden z największych cmentarzy w Europie. W jednej kaplicy, od rana do wieczora chowa się zmarłych dosłownie „maszynowo”. Na cały pogrzeb jest ok. 20 min.! Kiedy przeciągnąłem o kilka minut swoją ceremonię oberwało mi się od starszego kolegi Faktycznie — pod kaplicą czekała już kolejka „dwóch pogrzebów”.

Trzecia parafia była w samym centrum miasta. Młody proboszcz przymierzał się właśnie do budowy nowego Kościoła. Był to człowiek pełen serdeczności i entuzjazmu. Bardzo go polubiłem. Praca — jak wszędzie — Msza, kancelaria, spowiedź. Znalazłem czas, aby kupić sobie mój pierwszy w życiu samochód — używany Volkswagen Golf. Chciałem mieć samochód, który po prostu by mi się nie psuł. Do dzisiaj nie umiem nic zrobić przy aucie. Przydały się marki przywiezione z Niemiec i koperty z prymicji.

Przy końcu lipca ja i moi koledzy z roku mieliśmy spotkanie w kaplicy seminarystycznej z arcybiskupem, który wręczył każdemu z nas dekret na pierwszą, stałą placówkę duszpasterską. Podczas głośnego odczytywania przez pasterza nazwy miejscowości przyporządkowanej poszczególnemu kandydatowi – po reszcie przechodził pomruk zazdrości, westchnienie ulgi albo współczucia. Kiedy, wręczając mi dekret, arcybiskup powiedział — „parafia Rusiec” — wszyscy wybuchnęli tłumionym śmiechem. Kilku pokazało niedwuznacznie jaką część ciała mam sobie zakorkować. Po zakończeniu ceremonii, już na poważnie, składali mi wyrazy ubolewania i współczucia.

Wkrótce miałem się przekonać na własnej skórze, co to wszystko miało znaczyć.

ROZDZIAŁ V

Pierwsza parafia — zderzenie z rzeczywistością

Po otrzymaniu dekretu — mojego pierwszego, kapłańskiego posłania — zostałem na długo sam w kaplicy. Dziękowałem Bogu za to, że mnie posłał do swojej owczarni. Na ten dzień czekałem przecież tak długo! Moja pierwsza parafia śniła mi się po nocach przez wszystkie lata studiów. Można powiedzieć, iż moich pierwszych parafian pokochałem już w seminarium. Modliłem się za nich. Klęcząc w kaplicy prosiłem Wszechmogącego, aby dał mi siłę i wytrwanie w służbie Jemu i Jego rusieckim wiernym. Pytałem się Jezusa — co mam zabrać na tę pierwszą misję? Co najbardziej mi się przyda? Odpowiedź nasunęła się natychmiast — Wiara, Nadzieja, Miłość. Zrozumiałem, nie po raz pierwszy, że te Trzy Cnoty Boskie są najważniejsze. Uświadomiłem sobie ich głębię i moc. Wiedziałem, iż czeka mnie niełatwe zadanie. Nie na próżno mówi się, że klerycy wiedzą pierwsi i najlepiej o tym, co dzieje się w diecezji. Każda parafia ma swoją łatkę, a każdy proboszcz — wyrobioną opinię.

Zawsze mnie to plotkarstwo denerwowało. Sam postanowiłem nigdy nie uprzedzać się do nikogo, a tym bardziej do całej społeczności. Być może dlatego tak mało wiedziałem o tym, co i za co może mnie spotkać w tzw. terenie. To i owo jednak docierało także do moich uszu.

Parafia Rusiec nie miała najlepszej opinii w diecezji. Wiązało się to zarówno z jej historią, jak i teraźniejszością. Sama nazwa Rusiec kojarzyła się wtajemniczonym przede wszystkim z buntem parafian przeciw proboszczowi i kurii biskupiej, który miał miejsce na początku lat 70-tych. O prawdziwych „zamieszkach w Ruścu” informowały nawet ówczesne środki masowego przekazu z TV włącznie. Te wydarzenia opiszę nieco później na podstawie kroniki parafialnej.

Drugim skojarzeniem w odbiorze parafii była osoba jej aktualnego proboszcza ks. Jana Dupczyckiego, który miał opinię „panienki” i to w dodatku zmanierowanej. Żaden z jego wikariuszy (miał ich sześciu) nie zagrzał w Ruścu miejsca dłużej niż jeden rok, podczas gdy na innych parafiach ich koledzy „siedzieli” po trzy lata i dłużej. To był fakt, który mógł niepokoić, ale ja byłem pełen ufności. Rusiec był przecież placówką neoprezbiterką, tzn. że kierowano tam księży zaraz po święceniach. W sąsiednim Szczercowie neoprezbiterzy pracowali co prawda po kilka lat; co do Ruśca jednak — nie wierzyłem, że arcybiskup kierowałby co rok młodego księdza do parafii, gdyby ta faktycznie była tak trudna do przeżycia. Stawiając się w roli pasterza diecezji na pewno nie posyłałbym nowo-upieczonych, ideowych i pełnych zapału księży do proboszcza gorszyciela czy tyrana. „Ileż to nieprawdziwych, krzywdzących opinii krąży o Kościele i jego kapłanach” — powtórzyłem w myślach utarte, księżowskie powiedzenie i z otuchą w sercu wyszedłem z seminarium.

Ksiądz proboszcz Glapiński u którego miałem pozostać jeszcze przez kilka dni na zastępstwie, zaproponował mi wyjazd rozpoznawczy. Pojechaliśmy jego trabantem następnego dnia rano. Rusiec to duża wieś położona przy trasie z Łodzi do Wrocławia. Zbliżając się do celu podróży mijaliśmy urocze lasy i łąki z wielkimi stawami. Zobaczyłem z daleka piękny, gotycki Kościół z czerwonej cegły. Wydawał mi się bardzo duży jak na taką miejscowość. Zaparkowaliśmy przed plebanią w samo gorące, lipcowe południe. Drzwi otworzył nam mężczyzna koło 50-tki z wydatnym brzuszkiem, ale nie grubas.

Był ubrany „po cywilnemu” — ciemne spodnie z ostrym kancikiem i jasną koszulę na krótki rękaw. Uwagę zwracała jego miła i gładka jak u dziecka twarz. Ksiądz proboszcz (bo on to właśnie był) dostrzegłszy zapewne koloratki w naszych koszulach — szczerze się ucieszył i przymilnie zaprosił do środka. Usiedliśmy w małym saloniku z kominkiem. Od momentu mojego przedstawienia się jako przyszłego wikariusza — ksiądz Jan nie odrywał ode mnie wzroku. Oczy mu się wprost śmiały na mój widok, ale było w nich też coś pożądlivego i drapieżnego, co wówczas odebrałem jako objaw zainteresowania nowym podopiecznym. Ja również nie mogłem napatrzeć się na Jasia (jak go w myślach nazwałem). Wydawał mi się uroczy, a jednocześnie komiczny.

Kiedy szedł ruszał przy tym biodrami i ramionami, zupełnie jak kobieta. Również sposób w jaki siedział, rozmawiał, gestykulował rękami, a przede wszystkim jego cieniutki głosik upodabniał go raczej do starszawej panny niż do czcigodnego proboszcza parafii. Jednak trzeba mu oddać to, iż był ujmująco miły i gościnny. Po wielu uprzejmościach, oczopląsach i ukazaniu wszystkich odmian uśmiechu, ks. Jasiu zmienił nagle wyraz twarzy na pogardliwy, skrzywił się jak po dwóch cytrynach i z nieskrywaną niechęcią zaczął wyrażać się o swoich parafianach — jakie to z nich wiejskie chamy, nieroby i chytrusy. Uważał swoją parafię za, bez wątpienia, najtrudniejszą w całej archidiecezji. „Zresztą sami na pewno o niej słyszeliście” — skwitował. Ożywił się i rozpromienił dopiero na koniec, kiedy oprowadzał nas po swojej plebanii tłumacząc, ile włożył w nią „zdrowia i pieniędzy”.

Potrafił przez pół godziny mówić o dwóch kredensach, które kazał wstawić w grube ściany dużego salonu i drugie pół godziny — o niechlujstwie, niesłowności i zdzierstwie ludzi, którzy przy tym pracowali. Przy pożegnaniu był znowu uroczy. Uścisnął mi znacząco obie ręce, patrząc przy tym głęboko w oczy.

Po wyjściu z plebanii postanowiłem, że porozmawiam także z urzędującym jeszcze wikariuszem, a przy okazji obejrzę moje przyszłe mieszkanie. „Wikariatka” mieściła się w zupełnie innym budynku, około 30 metrów od plebanii proboszcza. Była to duża, nieotynkowana „piętrówka”. Cały parter stał pusty, niewykończony i brudny. Mieściła się tam sala pimpongowa dla ministrantów, sala katechetyczna, łazienki i magazynki. Połowę piętra zajmował organista z rodziną, a drugą połowę — wikariusz. Ks. Sławek akurat wrócił ze spaceru. Wszedłem z nim do mieszkania, w którym miałem spędzić najbliższy rok. Składało się z dwóch pokoi, kuchni, łazienki i małego przedpokoju. Jeden pokój był maleńki, za to drugi — przestronny i jasny, z dużym balkonem. Zauważyłem, że w całym budynku brak było jakiegokolwiek ogrzewania. Sławek nie krył swojej radości z powodu opuszczania parafii. Nie chciał wiele mówić na temat proboszcza. Powiedział tylko, że „było ciężko”. Jego opinia na temat mieszkańców parafii różniła się zupełnie od opinii proboszcza. Cóż, każdy ma prawo do swojego zdania.

Muszę powiedzieć, iż wyjeżdżając z Ruśca miałem więcej pozytywnych myśli i otuchy w sercu jak przed przyjazdem. Przede wszystkim zauroczyła mnie sama miejscowość, w której łączyły się pejzaże miejskie z wiejskimi. Rusiec miał swoje centrum z ryneczkiem, przystankiem PKS i parkiem przylegającym do samego Kościoła, ale sięgając dalej wzrokiem — widać już było łąki, pola i las. Miejscowość słynęła z bogatej, wręcz wystawnej zabudowy. Ludzie byli tu gospodarni i przedsiębiorczy.

Za to „przy Kościele żaden cham nie chciał pomagać” — jak mówił proboszcz. Sam Kościół, który na koniec wizyty pokazał mi ks. Sławek, z zewnątrz imponujący — w środku był zaniedbany i brudny. Robił wrażenie nieuczyszczanego. Miał jednak w sobie swoisty nastrój i atmosferę gotyckiej świątyni. Na tym zakończył się mój rekonesans w Ruścu.

30-tego lipca zajechałem powtórnie na „moją” parafię, tym razem już z rodzicami, meblami i dekretem w ręku. Była sobota. Proboszcz szykował się na ślub. Chociaż oficjalnie zaczynałem pracę następnego dnia, jednak Jasiu zażądał stanowczo, abym szedł z nim na uroczystość, a później na wesele. Nie chciałem go drażnić na samym początku. Musiałem zostawić rodziców przy przewodzącej i podążyć za szefem. Moja pierwsza niedziela w Ruścu była przemiła. Parafianie tłumnie przybyli do Kościoła. Po każdej Mszy spontanicznie podchodzili do mnie i serdecznie witali. Starym, parafialnym zwyczajem, po sumie okrążyła mnie orkiestra i zagrała kilka powitalnych marszów. Proboszcz przy obiedzie sprowadził mnie na ziemię — „to wszystko wredne i fałszywe, zobaczy ksiądz!”.

Następnego dnia było rozpoczęcie roku szkolnego w miejscowej podstawówce. Miałem niewiele katechezy, tylko 12 godzin tygodniowo. Przydzielono mi VII i VIII klasy, resztę uczyła katechetka Agata — nawiasem mówiąc piękna dziewczyna. Ciało pedagogiczne — ogólnie bardzo przychylnie nastawione do religii w szkole i do mnie osobiście. Trochę problemów wychowawczych miałem natomiast z dziećmi. Czekają mnie również dojazdy do innej szkoły w maleńkiej wiosce. Była to 3 — klasowa szkółka, za to dzieci były tam urocze — grzeczne i pilne.

Jak już wspomniałem, od pierwszego wejrzenia zauroczył mnie zewnętrzny wizerunek Ruśca — jego otoczenie i zabudowa. Wszędzie kapąło wprost od zieleni. Liczne lasy i łąki przynosiły ożywcze powiewy wiatru. Sama świątynia rusiecka otoczona była ogromnymi drzewami tak, jakby wśród nich wyrosła. Okoliczne wioski obfitowały w stawy na rozłożystych łąkach. Niemal z każdej strony wieś otoczona była lasem, a jedna wioska cała była w nim ukryta. Przez parafię przepływały dwie urocze i rybne rzeczki. Co prawda ludzie pośród tej sielankowej scenerii musieli ciężko pracować (ziemie były tu nie najlepsze), jednak przyroda wynagradzała im poniesione trudy — spokojem, świeżym powietrzem i pięknymi pejzażami.

Dla księży, zwłaszcza tych spokojnych duchem, taka parafia jest wymarzonym miejscem na ziemi. Ci, którzy nie lubią zgiełku miasta i nie boją się być na świeczniku — żyją na wiejskich placówkach jak u Pana Boga za piecem. Zwłaszcza proboszczowie z jednym wikarym, którego można posłać do szkoły, zatrudnić przy robieniu grobu i żłobka, powierzyć mu ministrantów itp. Oczywiście są to wszystko wspaniałe i ciekawe zajęcia, związane z misją każdego kapłana i dające zazwyczaj dużo satysfakcji. Jeśli jednak widzi się, że jednemu, najbliższemu autorytetowi takie prace obmierzły, a ogranicza się on tylko do półgodzinnej Mszy dziennie i udzielaniu sakramentów — co bardziej godnym, tzn. mniej więcej raz na dwa miesiące — można się trochę zniechęcić.

Oprócz niewątpliwych plusów księżowskiego życia na wsi, trzeba powiedzieć również o paru minusach. Pierwszy z nich to brak jakiegokolwiek anonimowości. Daję głowę, że gdyby przeprowadzić stosowną ankietę wśród mieszkańców polskiej wsi i próbować dociec jakie tematy najczęściej porusza się w wiejskich rozmowach (z wyjątkiem spraw bytowych i rodzinnych) — wynik będzie zawsze ten sam: 1-sze miejsce proboszcz, 2-gie miejsce wikary. Ksiądz na wsi był od wieków i jest ciągle tematem nr 1. Spacerując po Ruścu za każdym razem czułem na sobie (dosłownie!) setki par oczu.

Niektórzy wręcz mnie śledzili! Do dzisiaj nie mam pojęcia jakim cudem niektórzy parafianie dowiedzieli się o kilku faktach z mojego życia. Do tego wszystkiego dochodzi wprost fenomenalna, ponaddźwiękowa szybkość z jaką rozchodziły się wszystkie informacje. Jeśli wierzyć słowom księdza proboszcza — mieszkańcy Ruśca mogli w powyższych konkurencjach wygrywać olimpiady. To wielkie zainteresowanie sprawami Kościoła, a te w ich mniemaniu sprowadzały się do prywatnego życia duszpasterzy, nie zawsze miało dla nich pozytywne skutki i wychodziło im na dobre. Myślę tutaj o wypadkach sprzed dwudziestu lat, które odbiły się szerokim echem niemal w całym kraju. Korciło mnie od początku, aby sprawdzić co na ten temat mówiła kronika parafialna. Było to najbardziej wiarygodne źródło, ponieważ pisali ją proboszczowie, którzy rezydowali w parafii bezpośrednio po tamtych wydarzeniach. Sami parafianie rzadko poruszali temat rusieckiej rebelii.

Odniosłem wrażenie, że wstydzieli się stylu w jakim zabłyszeli wobec świata. „Kronikę Parafii Rusiec” przeczytałem w trakcie kilku pierwszych dyżurów w kancelarii. O dziwo, już sam wstęp książki zdawał się potwierdzać teorię proboszcza o (delikatnie mówiąc) trudnym charakterze tubylców. Mianowicie przodkami dzisiejszych mieszkańców wsi byli zbuntowani chłopci z majątku hrabiego Koniec-polskiego. Po stłumionym krwawo buncie kazał on przesiedlić krnąbrnych poddanych z Rusi w centrum Rzeczypospolitej. Poprzednia ojczyzna na trwałe wpisała się w nazwę ich nowego siedliska.

Dzisiaj, jedna z głównych ulic Ruśca nosi nazwę — „hrabiego Koniecpolskiego”. Nie będę opisywał szczegółowych losów Rusinów z Ruśca. Przechodząc do opisu wydarzeń z lat 70-tych naszego stulecia pragnę zaznaczyć, że ich chronologia może nie być dokładnie zachowana. Kronikarski opis czytałem tylko raz i to kilka lat temu.

Cała zadyma w parafii zaczęła się w sposób niemal klasyczny tzn. konfliktem między proboszczem a wikariuszem. Niestety, biskup przy doborze składu osobowego księży na poszczególnych parafiach nie kieruje się ich charakterami, temperamentem czy innymi cechami osobowymi. Po prostu utyka „dziury” kim się da. Ludzie są tylko ludźmi albo jeśli kto woli — są ludzie-kosy i ludzie-kamienie. W opisywanym przypadku nie ma żadnych wątpliwości, że „trafiła kosa na kamień”. Przysłowiową „kosą” można śmiało nazwać ówczesnego rusieckiego proboszcza ks. Kaletę — byłego, długoletniego żołnierza, który przeszedł szlak bojowy od kampanii wrześniowej po służbę w armii Andersa. Nie wiadomo co bardziej ukształtowało charakter ks. Kalety — czy twardy, żołnierski żywot; czy też wy-chowanie wyniesione z domu rodzinnego. Faktem bez_ym jest, iż był to człowiek bardzo surowy, wręcz szorstki. Wymagał wiele od siebie i od innych. Wśród większości wiernych miał poza tym opinię człowieka uczciwego i sprawiedliwego. Ludzie bali się go, ale otaczali szacunkiem. Ks. Kałuziak, który został przydzielony do Ruśca w charakterze wikariusza był kompletnym zaprzeczeniem swojego przełożonego — lekkoduch i lawirant; ceniący nade wszystko alkohol i damskie towarzystwo. Nowy wikary był bardzo towarzyski i szczery. Lubił nocne popijawy z chłopami, którym coraz częściej użalał się na surowość proboszcza. Szybko zjednał sobie wielu popleczników i obrońców, którym nie w smak była osoba plebana. Sytuacja między nim a proboszczem stawała się coraz bardziej napięta i groziła w każdej chwili wybuchem.

Nastąpiło to pewnej nocy, kiedy to ks. Kałuziak „podcięty” jak zwykle słuszną dawką alkoholu, dotarł do plebanijnej furtki. Należy zaznaczyć, iż obaj duchowni mieszkali wówczas razem w jednym, ogrodzonym budynku. Jakież było jednak zdziwienie i wściekłość wikarego gdy, otwarta zazwyczaj furtka, okazała się zamknięta na klucz. Trudno skrobać się przez ogrodzenie mając parę promilli alkoholu we krwi. Kiedy młody kapłan powrócił do kompanów „od kielicha” i opowiedział o jawnym zamachu na jego wolność i księżowskie prawo do kilku godzin snu przed ranną Mszą, w swoim łóżku na plebanii — wśród podchmielonych chłopów zawrzało. Jeszcze tej samej nocy urządzili głośną pikietę przed rezydencją proboszcza. Rankiem dołączyli do nich inni stronnicy wikarego. Proboszcza wywleczono siłą z plebanii i na taczkach wywieziono do granic parafii. Ks. Kałuziak został zgodnie okrzyknięty jego następcą.

Przez kilka lat sprawował rząd dusz w Ruścu. W tym czasie na plebanii urządzał pijackie imprezy i orgie. Miał swoich „żołnierzy”, którzy mieszkali razem z nim w budynku, aby pilnować swojego guru i dotrzymywać mu towarzystwa. Wybrał też sobie jedną z wiejskich dziewczyn „na gosposię”, która wkrótce zaszła w ciążę i urodziła mu udanego syna. Emisariusze kurii biskupiej przyjeżdżali aby załagodzić sytuację (m.in. biskup i kanclerz). Byli jednak znieważani, obrzucani jajami i siłą wyrzucani z parafii. Stopniowo, z upływem lat, wielu ludziom zaczęły otwierać się oczy. Zrozumieli wreszcie, że ich nowy, samozwańczy proboszcz to zwykły pijak i rozpustnik. Przy całym tym bałaganie jakoś umknęła mu praca duszpasterska: odprawianie Mszy, sprawowanie Sakramentów itp. Ludzie rusieccy zaczęli dzielić się na „prawicę” tj. prawowiernych i „lewicę” — popierającą ciągle Kałuziaka. Na tle tego rozdwojenia doszło nawet do regularnych bitew i potyczek, podczas których interweniowała milicja. W końcu jednak „prawica” zwyciężyła, a samozwańczy proboszcz podzielił los obalonego poprzednika.

Podobno wyjechał później do Stanów Zjednoczonych i do dziś pracuje jako... taksówkarz w Nowym Yorku. Zdegradowany proboszcz Kaleta zmarł wkrótce pod brzemieniem doznanych upokorzeń. W Ruścu długo jeszcze lewica walczyła z prawicą. Wyrzucono siłą kilku proboszczów przysłanych przez kurię. Jednego z nich więziono przez kilka dni w piwnicy. Innemu, który sprowadził się pod osłoną nocy — zrzucano z piętra plebanii wszystkie meble. W tym czasie prawica modliła się przed drzwiami zamkniętego Kościoła. Dopiero kilka tragicznych, śmiertelnych przypadków, które dotknęły lewicowych prowodyrów, przyniosły strach i opamiętanie. Jednego zabił piorun, inny się utopił, a jeszcze inny pochował syna. Uznano to za palec Boży i zaprzestano buntu. Do dzisiaj jednak istnieją nienawiści i spory, mające swoje źródło w tamtych wydarzeniach. Tylko syn ks. Kałuziaka, mieszkający ciągle z matką we wsi, wydaje się nie przejmować swoim rodowodem. Jego ciotka jest gospodynią u ks. Jasia, ale od niego nic jej nie grozi.

Powrócę teraz do moich kontaktów z proboszczem. Przez kilka pierwszych dni po moim przyjeździe był on najwspanialszym człowiekiem na świecie. Widać było, że naprawdę cieszy się z nowego wikariusza. Sam wcale tego nie ukrywał. Przy każdej okazji wyrażał się niepochlebnie o moim poprzedniku, a także o wszystkich swoich byłych podopiecznych. Zaczynało mnie powoli denerwować to jego ciągle narzekanie i obwinianie innych ludzi. Wśród jego byłych wikariuszy był jeden, który miał nieposzlakowaną opinię i „żył w opinii świętości”.

Miałem coraz mniej wątpliwości, że i na mnie będzie „kiedyś wieszal psy”, choćbym nie wiem jak się starał. Tymczasem w pierwszym tygodniu naszej znajomości nic na to nie wskazywało. Wręcz przeciwnie. Jasiu był troskliwy, opiekuńczy i nad wyraz serdeczny. Łudziłem się, że tak pozostanie, niestety — to była tylko gra wstępna przed mającym nastąpić rozstrzygnięciem.

Stało się to pod koniec pierwszego tygodnia mojego pobytu w Ruścu. Ponieważ nie miałem jeszcze swojego telewizora — Jasiu zapraszał mnie na dzienniki i filmy do siebie. Pamiętnego wieczoru, od razu kazał mi usiąść obok siebie na kanapie, a nie jak zwykle — w osobnym fotelu. Wyczułem, iż jest tym razem wyraźnie czymś podekscytowany. Odsuwałem od siebie myśl, że to podniecenie. Niestety — Jasiu wyraźnie miał na mnie chęć. Mówił coś nerwowo i nieskładnie, jednocześnie przysuwając się coraz bardziej w moją stronę. Kiedy dotknął mnie swoim biodrem, zadrżał na całym ciele i chwycił moją rękę. Odsunąłem się gwałtownie, ale on otoczył mnie drugim ramieniem i mocno przytrzymał. Wiedziałem o co mu chodzi, postanowiłem jednak na chwilę spasować i wyrwać się natychmiast, gdy Jasiu posunie się o krok dalej. Tymczasem on również spasował. Zaczął natomiast z pasją mówić o mojej urodzie i inteligencji.

Zapewniał, że będzie mi cudownie w jego parafii, a wszystkie moje pragnienia spełni właśnie on. „Będę księdzu ojcem i bratem”... i kochankiem — dodałem w myślach. Byłem wstrząśnięty, zrozpaczony! Łudziłem się do tej pory, iż to co o nim mówiono to nieprawda. Może ma taki sposób bycia — pocieszałem sam siebie. Nagle przyszło mi na myśl przykazanie ojca Świątka — o pokorze i bezwzględnym posłuszeństwie wobec swojego proboszcza!!!??? W tym samym momencie ręka Jasia zacisnęła się na moim udzie i szybko przesuwiała w kierunku krocza. Zebrałem się w sobie i z całych sił wyrwałem z objęć napaleńca. On zerwał się razem ze mną. Złapał mnie powtórnie za rękę przemawiając mi do serca i rozsądku — „przecież musi to ksiądz jakoś robić; po co samemu... nie pozwolę na żadne kurwy w mojej parafii!!!” Ze łzami w oczach zapewniałem go o mojej przyjaźni i oddaniu, ale nie takim o jakie mu chodzi. „Chcę żyć w czystości!” — krzychałem zrozpaczony — „...nie minął jeszcze miesiąc od moich święceń!” Do rozpalonego Jasia nie docierały żadne argumenty.

Podążał za mną po całym pokoju, mając ciągle nadzieję, że mu ustąpię. Rozpalony do czerwoności zaczął manipulować przy rozporku, a po chwili wyciągnął z niego swoje genitalia — myśląc zapewne, że oczaruje mnie tym widokiem. To było tragikomiczne! Widząc beznadziejność sytuacji wybiegłem z plebanii i wróciłem do siebie.

Rozmyślałem długo w nocy o tym co się wydarzyło. Byłem załamany. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że czeka mnie rok tępienia i ponizania przez tego niezaspokojonego starego zboczeńca. Byłem wściekły na niego, na siebie, na biskupa który mnie tu przysłał i na cały świat. „Cóż mam czynić Panie!” — wołałem z całej duszy do Boga. W jednej chwili zrobiło mi się nawet żal tego człowieka, który przecież na swój sposób pragnął miłości i kogoś bliskiego. Był samotny, tak jak ja, jak każdy ksiądz. Wiedziałem jedno, że nigdy mu nie ulegnę, ale też nie będę go potępiał ani mścił się na nim. Wstałem z łóżka i do rana modliłem się za swojego pierwszego proboszcza, mojego brata w kapłaństwie. Rano przy śniadaniu Jasiu był bardziej niż zwykle powściągliwy, ale po jego błysku w oczach wyczułem, że jeszcze do końca nie stracił nadziei.

Jednym z moich obowiązków była opieka nad ministrantami. Byli to przeważnie chłopcy w wieku 8-14 lat — weseli i rozkrzyczani jak wszyscy. Wśród nich, a grupa liczyła ponad dwudziestu, było kilku wspaniale ułożonych, o mocnych kręgosłupach moralnych. Podobnych charakterów wśród tak młodych chłopców nigdy przedtem, ani potem nie spotkałem. Uważam, że środowisko wiejskie bardziej sprzyja takim pozytywnym indywidualnościom. W następną niedzielę miałem bardzo miłe odwiedziny. Po niedzielnym obiedzie, kiedy każdy ksiądz marzy o odpoczynku, zadzwonił dzwonek. Na progu stały trzy ładne, uśmiechnięte dziewczyny z wiązaniczką kwiatów. Powitały mnie w swojej parafii i w swoim własnym imieniu.

Rozmawialiśmy miło, aż do wieczornej Mszy. Wszystkie trzy okazały się być studentkami: Kasia studiowała pedagogikę, Gosia (jej siostra) — biologię, a Renia — teologię. Dziewczyny, jak same powiedziały, opiekowały się każdym nowym wikariuszem w parafii i każdego broniły przed proboszczem. Zachnąłem się oczywiście i powiedziałem, że nie ma przed kim bo proboszcz jest O.K. Na to one tylko znacząco się uśmiechnęły. Dziewczyny były związane ze studenckimi grupami kościelnymi, a w przeszłości połączyła je „oaza”. Moje nowe przyjaciółki miały jako jedyne legalny wstęp do mojego mieszkania. Mogłem z nimi trzema, albo z każdą z osobna, w parze spacerować po Ruścu — nikt nigdy mi tego nie wypomniał, choć robiłem to dość często. W Ruścu znano się nie tylko po nazwisku, ale też z życiorysu i możliwości. Poza dziewczynami zaprzyjaźniłem się również z miłym rodzeństwem — Anią i Piotrem Sikora — doktorami medycyny oraz z kilkoma nauczycielami.

Moim największym przyjacielem był jednak mój sąsiad z naprzeciwka — Kaziu Olczak i jego rodzina. Po każdej awanturze z proboszczem szedłem do Kazia po to, żeby (jak sam mu kiedyś powiedziałem) porozmawiać z normalnym człowiekiem. Kaziu miał przemiłą żonę i czwórkę uroczych dzieci. Pracował, jak wielu mężczyzn z tamtych okolic, w Kopami Bełchatów. Był wiecznym kawalarzem i szczerym, oddanym przyjacielem. Jako jedyny wiedział o moich przeprowadkach z proboszczem i szczerze mi współczuł. Sam, jak zapewniał, również był przez niego podrywany i to dość ostro. Niewykluczone, że znajomość z Kaziem uchroniła mnie przed chorobą nerwową i zbikowaniem.

Tymczasem Jasiu, po kilku jeszcze podchodach w moim kierunku, zaczynał być coraz bardziej zniecierpliwiony. Myślał zapewne, że pójdę po rozum do głowy i dla świętego spokoju dam mu dupy. Starąłem się być dla niego miły i uczynny — wyręczałem go w obowiązkach, których i tak prawie nie miał, a przede wszystkim wypełniałem niezwykle starannie to, co do mnie należało. Mimo to proboszcz stawał się coraz gorszy — niecierpliwy, nerwowy i bardzo wybuchowy. Powoli poznawałem jego drugie oblicze zgorzkniałego malkontenta. Jasiu do złudzenia przypominał nieraz rozkapryszone dziecko, które znudzone kolejną zabawką niszczy ją i chwyta następną. Niestety takie było jego podejście do ludzi. Jego chimery i napady znosiły kolejne gospodynie (miał ich podobno jedenaście) i jedyny parafianin, który musiał z nim współpracować – kościelny Sarowski. Podziwiałem opanowanie tego człowieka, poniżanego na wszelkie możliwe sposoby. Wielokrotnie, trzęsąc się, ze łzami w oczach powtarzał, że go (Jasia) zabije – „zapierdolę skurwisyna, upierdolę mu łeb przy samej dupie” – cedził przez zęby kościelny.

Ciężka sytuacja materialna zmuszała go jednak do tej nieludzkiej pracy. Jasiu, kiedy miał zły okres, potrafił zelżyć na cały Kościół Sarowskiego albo ministranta podczas Mszy Św. Wyzywał od chamów i bezbożników ludzi przychodzących do kancelarii. Kiedyś obrzucił inwektywami i wygnał za drzwi matkę, która z płaczem przyszła załatwić pogrzeb swego kilkuletniego synka. Dziecko wpadło do głębokiego rowu z wodą i utopiło się. Proboszcz kazał jej iść po męża i wspólnie wytłumaczyć się — dlaczego żyją bez ślubu kościelnego.

Dla mnie, choć już praktycznie wszystko robiłem za niego, nie był wcale lepszy. Siłą rzeczy stykałem się z nim kilka razy dziennie. Wszystkie posiłki jedliśmy razem – taki był wymóg biskupa w parafiach z neoprezbiterami. Oczywiście za posiłki musiałem płacić i to słono. Miewałem jak nigdy dotąd częste komplikacje żołądkowe — bynajmniej nie z powodu jedzenia, które było znakomite, ale z uwagi na ciągły stres w czasie spożywania. Kiedyś np. Jasiu wydarł się na mnie, ponieważ obrałem kiełbasę z flaka „za który też się płaci!”.

Powoli mijała jesień. Z moimi dziewczynami nazbierałem i ususzyłem masę grzybów dla rodziców na święta. Wraz z adwentem zaczęły się wyjazdy na spowiedzi do okolicznych parafii w naszym dekanacie. Miałem okazję porównać mojego proboszcza z innymi i dobrze poznać proboszczowską mentalność podczas długich, swobodnych rozmów przy stole. Stwierdziłem, że chyba z każdym z nich mógłbym się dogadać. Byli to mężczyźni w wieku 40-60 lat. Niemal każdy miał coś „na sumieniu”, wielu było dziwakami, ale przecież usprawiedliwiała ich życie jakie prowadzili. Ciężko było mi przyznać — Jasiu był ich pajacem i nieustannym obiektem żartów. Drwili sobie za jego plecami ze sposobu w jaki się poruszał czy mówił.

Byłem raczej pewien (a miałem w tym już pewne doświadczenie), że z wyjątkiem jednego, może dwóch — nie było wśród tej grupy kilkunastu księży więcej homoseksualistów. Najbardziej szokowała mnie ich cyniczna postawa wobec wszystkiego i wszystkich — wiernych, polityki, Kościoła i wobec siebie nawzajem. To byli geniusze cynizmu! Zastanawiałem

się, co ich tak ukształtowało. Na pewno była to rutyna kilkunastu czy kilkudziesięciu lat kapłaństwa. Przez te wszystkie lata (głównie z braku zajęcia i motywacji typu: rodzina, dzieci) zdziwaczeli i wyostrzyli sobie dowcipy podczas sąsiedzkich spotkań. Niemal wszyscy byli też materialistami, niektórzy wręcz chorobliwymi. Naturalnie każdy ksiądz ma prawo być do pewnego stopnia materialistą. Większość ma jakieś drugie życie, a więc inne osoby na utrzymaniu; niektórzy prowadzą różne prace przy świątyni albo plebanii. Utrzymanie tych obiektów również kosztuje. Dziwiło mnie jednak zawsze to, iż pazerni na pieniądze są zarówno ci, którzy prowadzą jakieś inwestycje, jak i ci, którzy nic nie robią. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż większość tych mężczyzn zachowywała się jakby była przed chwilą wypuszczona z seminarium. Ciągłe niepoważni, pozbawieni problemów bytowych; wiecznie, rozbrykani chłopcy. Szkoda tylko, że młodzieńczą radość i entuzjazm zamienili na cynizm, a ideały na rutynę i pieniądze.

Wigilię Bożego Narodzenia spędziłem wraz z Jasiem u jego jedynej przyjaciółki w odległej wsi, gdzie poprzednio był proboszczem. Muszę przyznać, że tego dnia dał z siebie wszystko i udało mu się stworzyć miłą, przedświąteczną atmosferę. Złożyliśmy sobie życzenia, nie zabrakło również drobnych upominków.

Nasi gospodarze również byli przemili. Widywałem ich później kilka razy na plebanii. Nauczylem mnie jedynego chyba rozsądnego sposobu postępowania z proboszczem — „najważniejsze to przeczekać, jak ma taki zły okres i nie sprzeciwiać mu się w niczym” — powiedzieli mi kiedyś. Święta upłynęły szybko i pracowicie.

Po Nowym Roku czekała na nas kolęda – moja pierwsza. Na parafii wiejskiej, zwłaszcza dużej i rozczłonkowanej, kolęda jest dla księży największym wysiłkiem podczas całego roku. Rusiec, zarówno gmina jak i parafia, oprócz samej miejscowości miał kilka satelit – małych wiosek, zagubionych między lasami i łąkami. W samych tych wioskach jedno zabudowanie od drugiego stało w odległości nieraz paru kilometrów. Zima była tego roku mroźna i śnieżna. Chłopi dowozili mnie i proboszcza do wiosek, ale dalej musieliśmy chodzić pieszo. Naturalnie ja miałem zawsze więcej rodzin do odwiedzenia i dalsze trasy do przejścia, ale to było oczywiste – byłem młodszy i bardziej wytrzymały.

Kolęda, to bardzo ciekawa i pouczająca praca, zwłaszcza dla młodego kapłana. W ciągu, np. jednego popołudnia trzeba odwiedzić od 30 do 50-ciu rodzin. Odliczając dojście, na każdy dom pozostaje po kilka minut. Przez ten czas trzeba odmówić modlitwę, porozmawiać na kilka stałych tematów — obecność na Mszach Św., zdrowie, praca, problemy rodzinne, wątpliwości dotyczące prawd wiary itp. Każdy dom, rodzina ma swoją specyficzną i niepowtarzalną atmosferę. Po pewnym czasie doszedłem do takiej wprawy, iż po kilku zdaniach rozmowy odczytywałem niemal w oczach domowników co ich cieszy, a co boli; czy są szczęśliwi, czy też nie. Nauczyłem się w ciągu kilku chwil niejako wtopić w ich maleńki świat i spojrzeć na niego ich oczami. Wielu żaliło się na proboszcza — jego obcesowość i brak ogłady.

Ze smutkiem mówili o swojej świątyni, która wygląda na opuszczoną tak, jakby nie miała gospodarza. Starłem się jak mogłem usprawiedliwić Jasia, ale w duchu musiałem tym narzekaniom przyznać rację. Były one tak częste i natarczywe, że chwilami odnosiłem wrażenie jakoby ci ludzie ciągle jeszcze nosili w sobie ukryte pragnienie buntu.

Jeden dzień kolędowania poświęciłem na wioskę całą ukrytą w dużym lesie. Maleńkie chatki na leśnych polanach wyglądały na żywcem wyjęte ze średniowiecznego pejzażu. Nie mogłem wyjść z podziwu — z czego ci ludzie żyli. Nie było widać prawie żadnych pól uprawnych. Małe obórki i szopki skrywały leśne siano, krowę lub kozę, parę kur. Mieszkańcy tego skansenu sami przyznawali, że jest im ciężko bo, żyją przeważnie z lasu, ale byli przy tym pogodni duchem i w większości zadowoleni z życia. Z największą biedą zetknąłem się jednak w innej wiosce, na skraju lasu. Glinianki kryte słomą sprawiały wrażenie niezamieszkanym. Klepisko zamiast podłogi było czymś normalnym. Ziemia była tu nieurodzajna — piaszczysta. W jednej z takich glinianek natrafiłem na matkę z pięciorgiem dzieci. Jedna izba zapewniała wszystkie „wygody” — kuchnia, jadalnia, sypialnia i łazienka. Wszyscy grzali się przy starym, kaflowym piecu, w którym palono chrustem z lasu. Dzieci były ubrane w stare, postrzępione, ale czyste ubranka. Wyglądały na niedożywione i przybite swoją biedą. Okazało się, że mężczyzna — głowa rodziny ciągle się upija i akurat wyszedł „na klina”. Kobiecie z trudem udawało się uchronić część z zasiłku, który otrzymywała rodzina. Ze wzruszeniem spostrzegłem jednak, że trzyma w ręku niewielką kwotę, aby dać ją „na ofiarę”. Postanowiłem zostawić w tym domu wszystkie pieniądze jakie tego dnia zebrałem. Kobieta nie chciała o tym nawet słyszeć.

Powiedziała, że i tak przyniesie je do Kościoła. Kazałem więc na odchodnym przyjść do siebie najstarszemu z chłopców. Zjawił się u mnie w najbliższą niedzielę, po jednej z Mszy. Dałem mu dwie wypchane torby mięsa, szynkę, kielbas i jaj — w większości tego, co sam dostałem od ludzi. Modliłem się, żeby dumna matka nie zawróciła go do mnie, ale na szczęście nie przyszedł.

Mój genialny proboszcz, od czasu przybycia do Ruśca, na każdej kolędzie zbierał ofiary na malowanie Kościoła. Jak sam mi się przyznał, nie miał najmniejszego zamiaru tego robić — „chamy myślą, że to tak łatwo” — obruszał się na swoich parafian. Co roku ludzie z nadzieją dawali na ten cel pieniądze i co roku pieniądze te znikwały w niebycie. Jasiu przykazał mi solennie (wcześniej ogłosił to z ambony) abym przyjmował ofiary na trzy cele: utrzymanie Kościoła, malowanie i dla księży. Dla mnie była przeznaczona 1/3 z ostatniej puli. Było to na pozór zgodne z prawem kanonicznym, w myśl którego proboszcz z wikariuszem dzieli się ofiarami w stosunku 2:1 (oprócz ofiar za Msze Św. — stosunek 1:1). Według prawa jednak podział ten ma dotyczyć wszystkich ofiar, natomiast mój proboszcz sprytnie skierował dwa pierwsze źródła do swojej kieszeni, a dzielił się skwapliwie 1/3 ostatniego.

Takie obejścia prawa nie są rzadkością wśród proboszczów. Niewielu wikariuszy decyduje się w takich przypadkach upominać o swoje. Czasami jednak takie sprawy opierają się o arcybiskupa, który i tak zawsze staje po stronie ojca parafii w myśl zasady pokory i posłuszeństwa wobec wyższego rangą. Wszystko jest więc zgodne z prawem, gdyż cały Kościół jest hierarchiczny, a nie demokratyczny.

Jasiu w czasie kolędy był bardziej spokojny. Całkiem możliwe, że nowa namiętność (napływające pieniądze) przyćmiła na jakiś czas popędy zmysłowe, a przez to złagodziła usposobienie. Muszę lojalnie stwierdzić, iż ks. Jan miewał również, obok złych, także dobre dni. Jestem pewien, że ten człowiek jest z natury dobry i ludzki. Wielokrotnie widziałem go wzruszonego ludzką krzywdą. Był serdeczny i gościnny dla wszystkich gości zjeżdżających na plebanie, m.in. dla moich rodziców, za co jestem mu bardzo wdzięczny. Gorzej natomiast traktował swoich podopiecznych. Czasem bywał nie do zniesienia. Jego malkontenctwo przybierało chwilami wynaturzone rozmiary. Jednak pod tą zrogowaciałą już skorupą — narosłą przez lata samotności, ośmieszania, zmagania z innym popędem (który mógł mieć swoje korzenie w seminarium) — biło serce wrażliwego człowieka. Ks. Jan był ciągle spragniony innych ludzi, towarzystwa, nowinek. Marzył na przyszłość o parafii miejskiej, najlepiej w Łodzi. Bardzo doskwierało mu siedzenie w Ruścu, chociaż sam pochodził z maleńkiej wioski. Często powtarzał, że jego przodkowie (a zatem i on sam) byli szlachtą ziemianką. Tym można by tłumaczyć jego pogardliwy stosunek do chłopów... Ciągle chodziło mu po głowie — jak wyrwać się spośród tej „hołoty”. Jak nie trudno się domyśleć, ks. proboszcz uważał się za kogoś lepszego, godnego szczególnej czci i szacunku. Wzruszał się szczerze, gdy ktoś wyrażał swoje współczucie, iż tak wspaniały, inteligentny i kulturalny kapłan musi męczyć się na tej wyjątkowo trudnej parafii. Sam uważał to za największy krzyż życia. Można było wiele osiągnąć utwierdzając go w tym przeświadczeniu.

W ogóle lubił, jak się nad nim uzalano. Ja osobiście byłem bardziej skłonny współczuć jego parafianom. Ciężki to los dla parafii — proboszcz pedał i malkontent z manią wielkości. Według mnie, prawdziwym powodem do tego aby mu współczuć był tragiczny wypadek samochodowy, któremu uległ kilka lat wcześniej. W wypadku tym zginęła jego ówczesna gospodyni, a on sam miał złamaną nogę.

Wspominając tamto wydarzenie, ks. Jan najbardziej ubolewał nad jego dotkliwą konsekwencją... zabranieniem mu na kilka lat prawa jazdy. Ten „niesprawiedliwy wyrok” — jak mówił — skazał go na siedzenie w parafii albo na łaskę wikariuszy. Nie bez powodu, jednym z pierwszych pytań, jakie mi zadał w czasie mojej pierwszej wizyty w Ruścu, było pytanie o samochód. Fakt, iż posiadałem auto ratował mnie nieraz i był to najlepszy hak na proboszcza. Przy całej swojej apodyktyczności, nie mógł nakazać mi, abym go zawiózł tam gdzie chciał i kiedy chciał. Zawsze mogłem się czymś wykręcić i robiłem to, kiedy szczególnie dotkliwie „zalał mi za skórę”. Kiedy więc zaplanował sobie jakiś wyjazd — poznawałem to zazwyczaj już dzień wcześniej, po jego nienaturalnie miłym i kulturalnym zachowaniu. Zima 1993r. doskwierała mi bardzo w mojej nieogrzewanej wikariatce. Po tym, jak na jesieni wyprowadził się organista z rodziną, moje mieszkanie pozostało jedyną zamieszkaną częścią budynku.

Już na jesieni kupiłem grzejnik na butlę z gazem. Gdy jednak zacząłem nim grzać non stop, kiedy przyszły duże mrozy, całe mieszkanie dosłownie przesiąknęło wilgocią. Woda spływała po oknach, drzwiach, a nawet ścianach — tworząc kałuże, które ciągle musiałem ścierać. Pod łóżkiem i meblami utworzyły się dywany z pleśni i grzyba. W końcu zmuszony byłem wyłączyć grzejnik i kupić dwie farelki. Od tamtej pory zarabiałem na jedzenie i prąd. Na dodatek w styczniu zamarzła woda w rurach. Fakt ten zbiegł się w czasie z końcem kolędy i tragicznym wydarzeniem, które o mały włos nie przyplaciłem życiem. W połowie stycznia ks. proboszcz dowiedział się o śmierci swojego szwagra, który mieszkał we Wrocławiu. Dzień przed pogrzebem był u niego brat z rodziną, aby zabrać go na tę smutną uroczystość.

Ks. Jan postanowił jednak jechać następnego dnia, oczywiście ze mną. W takich okolicznościach nie mogłem mu odmówić tym bardziej, że i mnie wypadało być na tym pogrzebie. Wieczorem miałem niemiłe przeczucie, iż wydarzy się jakieś nieszczęście. Wyjechaliśmy parę godzin przed świtem, aby zdążyć na czas. Był silny mróz, droga oblodzona; tumany śniegu wałące w przednią szybę ograniczały bardzo widoczność. W samochodzie, oprócz mnie i proboszcza — na przednich siedzeniach — jechały również dwie kobiety, przyjaciółka ks. Jana z poprzedniej parafii (o której już wspominałem) oraz jego gospodyni. Jechałem bardzo wolno, ok. 40 km/h. Mniej więcej w połowie drogi do Wrocławia jest ostry zakręt nad lasem, w obniżeniu terenu. W momencie wchodzenia w łuk zakrętu straciłem kontrolę nad kierownicą i wpadłem w poślizg. Zniosło nas na drugi pas jezdni. W ostatnim momencie zobaczyłem przed sobą dwa blisko siebie osadzone światła — pomyślałem, że to „maluch”. Mój głośny krzyk „O Jezul!”, zlał się z przeraźliwym hukem zderzających się ze sobą czołowo samochodów. Na chwilę straciłem przytomność, ale zaraz potem ją odzyskałem. Usłyszałem jęki moich pasażerów — wszyscy żyli i mieli się nieźle. Najwięcej krzyczał ks. proboszcz, choć jemu zupełnie nic się nie stało.

Kiedy wyszedłem z samochodu przewróciłem się na lodzie, który pokrywał całą jezdnię, pod cienką warstwą śniegu. Bardzo bolała mnie lewa noga i dolna część kręgosłupa, a z rozciętego łuku brwiowego sączyła się krew. Fiat 126p, w którego uderzyłem, leżał w rowie. Zawlokłem się do niego i zobaczyłem zszokowanego, ale przytomnego kierowcę. Nikogo więcej tam nie było. Wkrótce nadjechała policja, a karetki pogotowia zabrały nas do szpitala. Po kilku godzinach spędzonych w szpitalu i na komendzie, gdzie składaliśmy zeznania, pozwolono nam wracać do domu. Wyjątek stanowiła znajoma proboszcza, która miała złamaną rękę i musiała jakiś czas pozostać w szpitalu. Ks. proboszcz zadzwonił po taksówkę, podjechał nią pod wrak mojego samochodu, wyciągnął z niego wieniec i po paru godzinach był już na pogrzebie szwagra. Ja natomiast z gospodynią wróciliśmy wynajętym samochodem do Ruśca. Tak skończyła się ta tragiczna w skutkach wyprawa. Dzięki Bogu nikt (łącznie z kierowcą fiata) nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Proboszcz oczywiście obarczał mnie winą za wypadek, a na sprawie sądowej nie wstawił się za mną ani jednym słowem. Kierowca „malucha” i jedyny świadek, jadący innym samochodem zeznali, że „prawdopodobnie” wyprzedzałem na zakręcie i stąd czołowe zderzenie z samochodem jadącym z przeciwka. Rzeczywiście mogło to tak wyglądać, ponieważ przede mną jechał inny samochód, a mnie zniosło w ten sposób, iż znalazłem się przez chwilę obok niego. Mimo zeznań moich i gospodyni, które zgodnie potwierdzały to, że wpadłem w poślizg — otrzymałem wyrok skazujący mnie na 0,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu i ponad 20 min grzywny. Od tego niesprawiedliwego wyroku sądu w Kępnie odwołałem się do Sądu Wojewódzkiego w Kaliszu, gdzie wyrok z Kępna utrzymano w mocy. Jediną pociechą był dla mnie fakt, iż mój samochód nadawał się do generalnego (co prawda), ale remontu.

Niestety z uwagi na brak pieniędzy musiałem czekać na to ponad pół roku. Po wypadku stosunkowo szybko doszedłem do siebie. Natomiast ks. Jan zafundował sobie kilka serii masaży klatki piersiowej. Ze łzami w oczach opowiadał, jakie straszne męki przechodzi gdy ręce masażysty zawadzają mu małe włoski rosnące na piersiach.

Kiedy człowiekowi wydaje się, że pokarał go los i sprzysięgły się przeciwko niemu wszystkie siły na ziemi, a niebo pozostaje głuche na jego wołanie — warto czasami spojrzeć na prawdziwe cierpienia innych ludzi. Nie każdy potrafi wznieść się ponad własne sprawy i problemy, aby tak jak mówił Jezus — „śmiać się z tymi, którzy się śmieją i płakać z tymi, którzy płaczą”. Człowiek, który żyje dla siebie i z myślą o sobie nigdy nie będzie człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Zwykle tragedie innych ludzi uczą nas pokory i dystansu wobec naszych własnych rozterek, kompleksów czy niezaspokojonych ambicji. Po wypadku i jego przykrych następstwach wpadłem w pewnego rodzaju depresję. Jako kierowca byłem odpowiedzialny za to co się stało. Sam byłem potłuczony, bez samochodu i pieniędzy; skazany niesłusznie przez sąd. Nie mogłem nawet z nikim podzielić się swoim bólem. Nie mając wody w mieszkaniu musiałem, kulejąc, nosić ją wiadrami z plebanii proboszcza.

Niedługo po tych wszystkich wydarzeniach, kiedy wróciłem już do normalnych zajęć, byłem świadkiem tak wielkich cierpień ludzkich, że zawstydziłem się na myśl o tym, jak bardzo przeżywałem swoje własne kłopoty. Były to dwa pogrzeby, które wstrząsnęły całą parafią.

Pierwszą tragedią była śmierć młodej kobiety, matki dwójki małych dzieci. Dziewczyna zmarła po paru latach chorowania na białaczkę. Była jedną z najbardziej lubianych istot w całej okolicy — bardzo serdeczna i wesoła. Niedługo przed śmiercią, jej mąż ukończył budowę ich nowego domu. Była szansa aby ją uratować. Potrzebne było bardzo drogie lekarstwo, na które nie było stać jej, i tak już zadłużonej, rodziny. Zwrócono się o pożyczkę do proboszcza, który jednak odmówił. Nigdy wcześniej, na żadnym pogrzebie nie widziałem tak wielkiego żalu i rozpacz. Stojąc nad grobem, obok małych sierot i klęczącego na ziemi ich samotnego ojca — nie wytrzymałem i sam zaniósłem się płaczem. Po raz pierwszy w życiu płakałem na pogrzebie, choć żegnałem już wcześniej swoich dziadków.

.....

Następnym, wyjątkowo tragicznym wydarzeniem była śmierć 30-letniego mężczyzny — męża i ojca dwóch kilkuletnich chłopców. Był on jedynym synem najbardziej zamożnego człowieka we wsi. Parę m-cy przed śmiercią, ojciec przekazał mu cały majątek — cegielnię, szwalnię i tartak, obok którego młode małżeństwo zamieszkało w pięknym, nowym domu. Krytycznego dnia rano, ojciec odnalazł ciało syna w tartaku, przygniecione małym ciągnikiem do betonowego filaru. Chłopak, ze zmiążdżoną klatką piersiową, skonał ojcu na rękach. Zagadka tej dziwnej śmierci do dzisiaj jest nierozwikłana. Najbliżsi zmarłego wpadli w obłęd rozpacz. Jego matka dostała pomieszania zmysłów — wchodziła do otwartej trumny syna, lizała go po twarzy i rękach prosząc aby wstał.

Wspomniałem już wcześniej, jak bardzo doskwierało mi ciągle kontrolowanie każdego mojego kroku. Miało to miejsce jeszcze w rodzinnej parafii, kiedy przyjeżdżałem na wolne dni z seminarium. Trzeba jednak oddać Ruścowi, iż zainteresowanie wokół mojej skromnej osoby przybierało tam formy obsesyjne. Wiąże się to oczywiście z ciągłym postrzeganiem każdego księdza jako nad-człowieka albo ufoludka, któremu obce powinny być normalne ludzkie zachowania i przypadłości. Niewielu jest kapłanów, których nie męczy życie „na ławie oskarżonych”. Małe, wiejskie środowisko naturalnie sprzyja powstawaniu i rozchodzeniu się wszelkich sensacji na temat „czarnych”.

Zbliżały się moje pierwsze imieniny w kapłaństwie. Oczekiwałem wielu gości — oprócz rodziców mieli przyjechać koledzy neoprezbiterzy, znajomi księży (m.in. ks. Wiesiu z Łodzi) i przyjaciele. Najważniejszym gościem miał być oczywiście mój proboszcz. Wiedziałem, że większość zaproszonych nie była abstynentami, a lekkie — mszalne wino nie było najbardziej pożądanym alkoholem. W kulturalnym domu powinny być różne trunki, chociażby z uwagi na różne upodobania ewentualnych gości. Musiałem więc jakoś zaopatrzyć się w kilka butelek. Starym, księżowskim sposobem, powinienem zrobić to przynajmniej w sąsiedniej parafii, a najlepiej jeszcze dalej. Był jednak poważny szkopuł — nie miałem samochodu, a w Ruścu nie było taksówek. Postanowiłem więc dokonać zakupu na własnym terenie, ale tak, by wtajemniczyć to tylko (znajomą zresztą) sprzedawczynię. Około godziny zabrała mi obserwacja sklepu; jednak zawsze była w nim przynajmniej jedna osoba.

Dwukrotnie wchodziłem do środka, ale zawsze osoba kupująca przede mną czekała wytrwale aby sprawdzić — co też kupi książd? Przy trzecim razie nie wytrzymałem; stanąłem w kolejce jako drugi i nie wyszedłem mimo, iż zaraz za mną weszła druga kobieta, która widziała już moje wcześniejsze podchody przed sklepem. Kobieta przede mną zrobiła swoje zakupy i czekała z ciekawością na moje. Drżącym głosem poprosiłem czekoladę, ciastka, wino i ...pół litra wódki. Kątem oka zobaczyłem, że niewiasty, które w międzyczasie zaczęły już symulować rozmowę — zaniemówiły, a jedna z nich chwyciła się za serce. Tego było mi już za wiele. Zawrzało we mnie, a po chwili zapytałem głośno i pewnie: „pani Marysiu, czy to prawda, że wódka ma zdrożeć?” Pani Marysia zdumiona skinęła głową. „To niech mi pani da jeszcze dwie butelki” — powiedziałem i tryumfalnie uśmiechnąłem się do przerażonych kobiet.

Wkrótce jednak pożałowałem tego wybryku. Nie minął nawet jeden dzień, a cała parafia miała mnie za alkoholika. A może jednak książd musi żyć jak trędowaty wśród swoich parafian?

Po srogiej zimie zawitała do Ruśca gorąca wiosna — z bujną zielenią lasów, łąk i ogromnych przykościelnych lip. Bardzo lubiłem wiosenne spaceru uroczymi, wiejskimi drogami. Przydrożne ogródki przynosiły zapachy pierwszych kwiatów, a ptaki prześcigały się w śpiewie. Dzięki kilku przemiłym parafianom, którzy pożyczali mi swoje samochody — mogłem parę razy odwiedzić rodziców mieszkających prawie 200 km od Ruśca. Cudowna wiosna na wsi tak mnie

rozanieliła, iż nie doskwierał mi tak bardzo, ani brak swojego auta, ani fochy proboszcza. Katecheza z dziećmi, zwłaszcza w małej wiosce (gdzie teraz dojeżdżałem rowerem) dawała mi dużo radości i satysfakcji. Z ministrantami grałem zacięte mecze piłkarskie, a w ciepłe popołudnia paliliśmy ogniska w pobliskim lesie. Moje studentki odwiedzały mnie od czasu do czasu, ale samotne wieczory przed telewizorem zaczęły mi coraz bardziej doskwierać. Brewiarz i inne modlitwy wypełniały wielką pustkę i samotność, ale nie do końca. Chyba po raz pierwszy pomyślałem, że mógłbym żyć inaczej — zasypiać i budzić się przy ukochanej kobiecie; patrzeć na uśmiechnięte buzie dzieci — moich własnych dzieci. C/asami odwiedzali mnie koledzy księża z pobliskich parafii. Niekiedy przyjechała z Łodzi p. Halinka — moja dojeżdżająca gospodyni, aby upiec dla mnie moje ulubione rogaliki z marmoladą. Mimo to jednak, tamtej wiosny poczułem po raz pierwszy, że brakuje mi kogoś bliskiego, kto byłby zawsze obok mnie — cieszył się i smucił razem ze mną.

Obok potrzeb cielesnych każdy człowiek ma potrzeby duchowe, które częściowo (na płaszczyźnie transcendentalnej) zaspokajają poprzez ciągły kontakt z Bogiem. Istnieje jednak w każdym z nas pragnienie oddania się, z całym zaufaniem, innemu człowiekowi i czerpania z innego człowieka. Żyje w nas potrzeba zawierzenia komuś bezgranicznie i do końca. Tak zostaliśmy wszyscy stworzeni, wszyscy — także księża.

W miarę jak zbliżało się lato, coraz częściej myślałem o zmianie parafii. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to nastąpi. Byłem pewien, że proboszcz wystąpi do arcybiskupa o moje przeniesienie i będzie czekał z nadzieją na nowego „chłopca”.

Ja również zawczasu, dla pewności, zgłosiłem chęć zmiany u ks. dziekana w Szczercowie. Przyjął moją rezygnację ze zrozumieniem. Przez pięć lat, co roku na wiosnę przyjeżdżali do niego wikariusze rusieccy w tej samej sprawie. Od kiedy nie miałem samochodu — ks. Jan uznał, iż nie jestem mu już przydatny. Doczepiał się do mnie przy byle okazji.

Kiedyś spóźniłem się pięć minut na Mszę św. w niedzielę, której miałem przewodniczyć. Stało się to po raz pierwszy i tylko częściowo z mojej winy. Wszedłem do Kościoła gdy proboszcz akurat podchodził do ołtarza. Widząc mnie, nie rozpoczął Mszy tylko odwrócił się na pięcie i wraz z ministrantami pomaszzerował z powrotem do zakrystii.

Kiedy wszedłem za nimi proboszcz, czerwony na twarzy i z pianą na ustach, nie zdejmując ornatu, rzucił się na mnie całym cielskiem. Zaczął mnie szarpać wrywając guziki od sutanny, bluźniąc przy tym i ubliżając mi jak nigdy dotąd. Ja myślałem wtedy tylko o tym, jak bardzo musieli być zgorzeleni moi ministranci, którzy na to wszystko patrzyli. Wyrwałem się z uchwytu szaleńca, walnąłem nim o szafę aż się przewrócił i wybiegłem z Kościoła. Proboszcza spotkała największa chyba dla niego kara — musiał po raz pierwszy zrobić coś za mnie. Rad nie rad wrócił do ołtarza i odprawił Mszę św.

Od tamtego wydarzenia moje oziębłe kontakty z proboszczem stały się lodowate. Dla nas obydwu było już jasne, że dłużej ze sobą nie wytrzymamy, wielokrotnie starałem się do niego przełamać — niestety, bez wzajemności. Odkryłem, że od czasu do czasu przyjeżdżało do niego paru księży. Jednego z nich rozpoznałem jako powszechnie znanego wśród księży pederarastę. Po takich „cichych” wizytach swoich kolegów, ks. Jan bywał przez jakiś czas spokojniejszy, a czasami nawet miły.

Z ważniejszych wydarzeń przy końcu mojego pobytu w Ruścu należałoby wspomnieć o wizycie samego ks. arcybiskupa, który przybył na obchody 350-tej rocznicy utworzenia parafii. Arcypasterz zaszczylił nawet wizytą moją wikariatkę, gdzie rozmawialiśmy chwilę w cztery oczy. Dziwiłem się później sam sobie, iż nie potrafiłem przy tej okazji powiedzieć ani jednego słowa skargi na mojego przełożonego. Ten natomiast przybiegł za parę minut jakby obawiając się tej rozmowy. Miałem jednak chwilę satysfakcji, gdy w mojej obecności arcybiskup ostro skrytykował proboszcza za to, że nic nie robi w parafii — m.in. nie maluje świątyni i nie założył ogrzewania w wikariatce. „Jak można ciągle wszystko zwać na innych!?” — podniósł głos arcybiskup. Ksiądz Jan bowiem za wszystko obarczał winą swoich poprzedników. Ja otrzymałem zapewnienie od szefa, że przeniesie mnie bliżej rodzinnych stron.

Opisywałem już wiele razy moje podejście do ks. Jana Dupczyckiego oraz sposób w jaki go odbierałem. Faktem jest, iż wiele razy doprowadzał mnie do białej gorączki, a czasami wręcz do rozpacz. Był moim pierwszym proboszczem i zaraz na początku mojej posługi kapłańskiej podeptał wiele ideałów, które zachowałem w seminarium. Pokazał mi swoim postępowaniem raczej ciemną stronę kapłaństwa, choć nie pozbawił nadziei, że jest również ta jasna — pozytywna strona i jej muszę szukać. Mówiąc szczerze było mi go żal. Był po prostu ulepiony z innej, niż większość ludzi, gliny. Ludzie go nie akceptowali, a on stał się wobec nich nieufny i agresywny. Szukał, jak każdy człowiek, miłości (choć w nieco innym wydaniu), a nie znajdując jej — popadł w przygnębienie i malkontenctwo.

Jeśli dodać do tego księżowski styl życia jaki prowadził, można próbować przynajmniej częściowo go usprawiedliwić. Do dzisiaj mam przynajmniej czyste sumienie, iż każdego wieczoru w Ruścu modliłem się za niego. Prosiłem najczęściej o rozum i nawrócenie — ale się modliłem.

Tak oto upłynęło mi 11 miesięcy w parafii Rusiec. Do dzisiaj z wielką życzliwością wspominam jego mieszkańców. Z pewnością nie zasługują oni na niepoehlebne opinie, które krążą na ich temat w łódzkim środowisku kościelnym. Kiedy po wakacjach zastałem na plebanii dekret arcybiskupa, nominację na nową placówkę — obok uczucia ulgi, a jednocześnie nadziei na przyszłość — odezwała się też we mnie nuta żalu i nostalgii za tym uroczym miejscem, które miałem opuścić.

ROZDZIAŁ VII

Kapłański business w Aleksandrowie

Nową parafią, do której zostałem posłany był Aleksandrów

– jedno z miast-satelit Łodzi. Zgodnie z przyjętym zwyczajem pojechałem tam kilka dni wcześniej, aby przedstawić się nowemu proboszczowi, a przy okazji zrobić zwiad dotyczący mieszkania, okolicy itp. Okazało się, iż będę mieszkał w ogromnej plebanii, wybudowanej niedawno przy innym Kościele i w innej parafii. Parafia ta pod wezwaniem Świętego Rafała była tzw. parafią macierzystą, mnie zaś przydzielono do parafii Zesłania Ducha Świętego, która wyodrębniła się z tej pierwszej. Od plebanii, w której mieszkało jeszcze pięciu księży, miałem ok. 2 km do miejsca pracy — dużej kaplicy na ogromnym placu między dwoma nowymi osiedlami bloków. Świątynia była w stanie surowym, niedawno zadaszona.

W ogóle cała parafia erygowana rok wcześniej, była w stanie organizowania się. Młody kościelny z dumą mówił, jak dużo pracy włożyli razem z proboszczem i ofiarnymi parafianami w budowę kaplicy, która powstała rzeczywiście w rekordowym czasie. Przy wykańczaniu obiektu pracowało akurat kilku ludzi. Przywitałem się z nimi, a przy okazji dowiedziałem się, iż kluczem do postępu wszelkich prac w parafii jest ks. Proboszcz — młody wiekiem i pełen zapału góral z Podkarpacia. Niestety ks. Jarema Trunkowski — mój nowy przełożony — przebywał akurat w Niemczech, dokąd pojechał po samochód. Na plebanii, przy aleksandrowskim rynku nie zastałem także ks. prałata Hedoniusza Bogackiego — proboszcza parafii Św. Rafała. Nie dostałem więc kluczy do mojego przyszłego mieszkania, ale gospodyni prałata zapewniała mnie, że jest ono piękne i czyste.

Odjechałem z Aleksandrowa co prawda niedoinformowany, ale pełen wiary i zapału przed nowym wyzwaniem.

Ponieważ w Ruścu okupiłem się trochę w meble, musiałem wynająć ciężarowy samochód i kilku ludzi do przeprowadzki. W dniu, w którym dokonują się zmiany w parafiach, tj. 30 sierpnia, proboszcz Jarema miał oczekiwać na mnie na plebanii z kluczami do mojego mieszkania. Kiedy zajechałem na miejsce z całym majdanem okazało się, że proboszcz dopiero co przyjechał z Niemiec i śpi po podróży. Gdy już zdołałem go dobudzić, przez godzinę szukał kluczy, a gdy w końcu otworzył mi drzwi mieszkania ogarnęła mnie czarna rozpacz. Ze środka buchnął odór zepsutego mięsa i stęchlizny. Po wejściu do środka zobaczyliśmy stopy (od podłogi po sufit) gazet, które zajmowały — oprócz starych, zepsutych mebli — większą część mieszkania. Wszystko przykrywała gruba warstwa kurzu.

W kuchni zepsute mięso i wędliny dosłownie wylewały się z lodówki. Proboszcz, którego obowiązkiem było przygotowanie dla mnie mieszkania, wydawał się być tym wszystkim wielce zdziwiony. Mieszkanie składające się z dwóch pokoi, łazienki i kuchni — od ponad roku stało puste. Wcześniej zajmował je starszy kapłan — dziwak, będący rezydentem w miejscowej parafii. Księża w podeszłym wieku, na emeryturze, czujący się jeszcze na siłach — mogli pracować na parafiach jako rezydenci na przysłowiowe pół etatu. Ten starszy kolekcjoner gazet po paru latach takiej rezydentury, któregoś pięknego dnia wsiadł w pociąg i wyjechał „w świat” nie mówiąc nikomu ani słowa.

Wracając do niezręcznej sytuacji — jedno było pewne — nie mogłem wprowadzić się na plebanię, a więc nie mogłem także pracować. Wynajęci ludzie znieśli z samochodu do piwnicy moje rzeczy, a ja ustaliłem z ks. Jaremą, że wracam za trzy dni kiedy mieszkanie będzie puste i czyste.

Ten pierwszy dzień w nowej parafii trochę podkopał moją, i tak zachwianą, wiarę w proboszczów. Byłem podłamany tym bardziej, iż czekała mnie jeszcze przeprowadzka z piwnicy na drugie piętro. Ks. Jarema był tak zuroczony swoim nowym Passatem sprowadzonym bez cła — na parafię, że zdawał się nie zauważać żadnego problemu. „Pierwsze koty za płoty” — pomyślałem i po kilku dniach wróciłem do Aleksandrowa pełen otuchy. Wprowadziłem się w końcu do jednego pokoju (drugi był zagracony i zamknięty na klucz) i zacząłem nowe, wielkowiejskie życie księdza.

Zanim przejdę do opisu swojej nowej placówki, chciałbym najpierw scharakteryzować parafię w której mieszkałem i pozostałych lokatorów miejscowej plebanii. Macierzysta parafia Św. Rafała była kilkakrotnie większa od naszej, a jej cechą szczególną było to, iż miała dwie połączone ze sobą świątynie oraz proboszcza biznesmena — małego, grubego człowieczka o przenikliwym spojrzeniu. Jedno z drugim zresztą poniekąd się łączyło. Ksiądz prałat Hedoniusz Bogacki był prawdziwym człowiekiem czynu.

Kiedy nastał w Aleksandrowie po-stanowił jak najszybciej dać upust swojej inwencji i geniuszowi. W krótkim czasie dostawił do boku już istniejącej świątyni — drugą większą. Tym sposobem na Mszach Św. część ludzi stała twarzą do ołtarza, a część — bokiem. Równocześnie z Kościołem, krewki proboszcz wybudował ogromną plebanię o wielkości dwóch połączonych bloków mieszkalnych. Wnętrza obiektów wyłożył marmurami i drewnem; w podziemiach wybudował garaże. Kupił sobie najnowszego mercedesa, a wszystkie te dobra ogrodził wysokim murem.

W międzyczasie ks. prałat zajmował się interesami, tzn. odzyskał wszystkie dobra kościelne, które były do odzyskania, a było ich niemało — niemal połowa centrum Aleksandrowa należała kiedyś do Kościoła. Ks. Bogacki, ogłosił przetarg na wynajem kilkunastu budynków, jednocześnie budując cały szereg nowych — również do wynajęcia. Ubolewał często, że prawo kościelne zabrania księżom aktywnego prowadzenia interesów, bo wtedy „wyciągnąłby” z tego wszystkiego o wiele więcej. Ktoś zapyta — z czego finansował swoje przedsięwzięcia? Parafia, choć jedna z najbogatszych w diecezji nie przyniosłaby w tak krótkim czasie, tak olbrzymich dochodów. Pomysłowy kapłan aby zbudować swoje imperium w genialny wręcz sposób uwzględnił trudną sytuację zaopatrzeniową w latach 80-tych i maksymalnie, na niespotykaną skalę, wykorzystał ogromne ilości darów z zachodu, które wówczas zalewały wprost Kościół w Polsce. Dzięki swoim plecom w kurii biskupiej miał do nich dostęp nieograniczony.

Wielu proboszczów zrobiło własne i kościelne interesy na darach, ale ks. Bogacki prześcignął chyba wszystkich. Sam w swoich wypowiedziach nie ukrywał zaradności z jaką obracał różnymi deficytowymi towarami. Za to, co wstawiał do hurtowni, sklepów i co przez podstawionych ludzi sprzedawał na bazarach — kupił wszystkie materiały budowlane. Nie wspominał jednak, iż równocześnie na wszelkie możliwe sposoby, na te same cele, wyciągał pieniądze od wiernych. Parafianie, którzy pracowali na budowach, łącznie z fachowcami, w formie wynagrodzenia dokarmiani byli z darów prałata.

U niego nigdy nic nie było za darmo i nic się nie marnowało. Cóż mogło go obchodzić to, że ofiarodawcy z zagranicy przekazywali swoją pomoc ludziom biednym i chorym czyli najbardziej potrzebującym, którzy nie zawsze mogli przyjść na „dniówkę” do prałata. Lokale wynajmowane przez niego należały do najdroższych, a sam właściciel słynął z bezwzględności przy zbieraniu czynszu; dzień zwłoki nie wchodził w rachubę. Kiedy dary się skończyły, ks. Bogacki miał ich jeszcze na długo pod dostatkiem. Kiedy skończyły się naprawdę — do prac wykończeniowych zatrudniał na czarno Rosjan, którzy runęli wtedy do Polski przez otwartą granicę.

Ks. prałat, jak już wspominałem, słynął z tego, iż nie przepuścił żadnej okazji aby dorobić trochę do tacy. Kiedy już dokończył wszystkie inwestycje bez złotówki długu, zaczął zarabiać ogromne pieniądze. Z moim proboszczem obliczyliśmy kiedyś, że prałat wyciągał grubo ponad 400 mln miesięcznie — z tego mniej więcej jedną czwartą z pensji proboszcza, a pozostałą lwia część z tytułu dzierżawionych budynków. Do tego dochodziło ok. 50 mln miesięcznie, które zbierał na tacę, a drugie tyle dostawał z wszelkich podatków cmentarnych, tj. od placów, pomników, ekshumacji; za haracze pobierane od innowierców grzebiących swoich zmarłych na katolickim cmentarzu itp. W przeszłości ten geniusz finansjery przebywał kilka lat na parafiach za granicą — w Anglii i Holandii. Mając tam liczne znajomości i koneksje — przy każdej okazji odwiedzał swoich dobroczyńców, zamożnych zachodnich duszpasterzy, którzy wspierali „biedującego Hedoniusza”. Nawet wyposażenie swoich Kościołów, łącznie z ławkami i komżami dla ministrantów, ks. prałat kompletował za granicą. Jako biedny księżulo z biednej Polski, wysyłał do różnych instytucji na całym świecie prośby: „o wsparcie duchowe i MATERIA-LNE dla powstającego ośrodka duszpasterskiego w Aleksandrowie”.

Pieniądze płynęły ze wszystkich stron, jednak w miarę, jak mnożyły się i rosły źródła dochodów — rosła też chciwość kapłana. Na plebanii, którą wybudował, zajmował kilka ogromnych salonów na dwóch kondygnacjach. W paru pokojach nikt nigdy nie był, nawet jego gospodyni tam nie sprzątała. Oryginalne — antyczne meble, skórzane kanapy i fotele, marmur, boazerie, najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny — to tylko część ubóstwa, którym otoczony był prałat. Podobno za same obrazy Kossaków i innych sławnych malarzy, które sam widziałem w jego mieszkaniu — można by wybudować... kilka Kościołów. Pozostałych pięciu księży (w tym dwóch proboszczów) ulokował w małych, dwupokoikowych mieszkankach, a resztę plebanii wynajął na szwalnię i gabinet lekarski.

Według najnowszych wiadomości, jakie przychodzą do mnie z Aleksandrowa, ks. prałat wynajął także na plebanii kilka mieszkań dla świeckich rodzin, m.in. na miejsce trzech księży, którzy się wyprowadzili. Jest to przypadek nie mający chyba swojego precedensu w polskich parafiach — aby rodziny z dziećmi mieszkwały pomiędzy księżmi, a na podwórzu plebanii suszyły się sznury pieluch — ale czego się nie robi dla pieniędzy!

Ks. Bogacki był gotów zrobić i zrobił znacznie więcej.

Całymi dniami i wieczorami myślał nad nowymi źródłami dochodu. Jako jeden z pierwszych księży w Polsce, zaczął sprowadzać samochody bez cła na parafię (swoją i inne). Robił to, jak wszystko na skalę masową. Sprowadzał wozy warte nieraz parę miliardów i po krótkim czasie — nielegalnie — sprzedawał z dużym zyskiem różnym firmom i osobom prywatnym. Kiedy mieszkałem w jego parafii (w ciągu roku) sprowadził i sprzedał w ten sposób kilka samochodów, w tym jeden autokar-mercedes — dla prywatnej firmy przewozowej ze Zgierza. Dla siebie był znacznie „skromniejszy” — do swojej stajni zakupił najnowszy model jeepa Opla Frontierę.

Według słów mojego proboszcza Trunkowskiego, ks. prałat nie poprzestawał na wykpiwaniu urzędu celnego i fiskusa. Parę lat wcześniej sprowadził podobno luksusowe BMW, ubezpieczył na ogromną sumę, po czym podstawił „do zabrania” braciom ze wschodu, od których zgarnął pokaźną kwotę w dolarach. Odszkodowanie od PZU oczywiście dostał swoją drogą, ale ponieważ samochód był sprowadzony i zarejestrowany na parafię, zobowiązano go do oplakatowania połowy Aleksandrowa wiadomością o kradzieży auta. Całą operację związaną z zaginięciem samochodu, wg. słów mojego proboszcza, obmyślił i zrealizował wspólnie ze swoim pupilkiem — ks. Plackiem.

Ten młody kapłan, rodem z Aleksandrowa, to osobny temat w historii parafii Św. Rafała. Pochodzący z jednej z najzamożniejszych rodzin w mieście chłopak, dość szybko zdobył plecy u biskupów łódzkich. Po kilku latach „tułaczki” w terenie, wrócił do rodzinnej parafii jako wikariusz — katecheta. Trzeba zaznaczyć, że praca w swojej parafii jest, zgodnie z prawem kanonicznym, niedopuszczalna. Może właśnie dlatego ks. Placek mimo, iż podlegał pod parafię w Aleksandrowie mieszkał w prywatnej willi w Łodzi, a miejsce swojej pracy odwiedzał pro forma ok. raz na dwa tygodnie. Jego zamieszkanie w Łodzi było zresztą zupełnie usprawiedliwione ponieważ prowadził tam wiele zawoalowanych interesów.

Jest m.in. właścicielem dużej księgarni w centrum Łodzi na ul. Piotrkowskiej. Młody bogacz, jeżdżący na zmianę dwoma luksusowymi samochodami, szybko zdobył uznanie i zaufanie starszego kolegi po fachu. Zapewne wywiną razem jeszcze nie jeden numer.

Ksiądz prałat jako człowiek interesu nigdy nie tracił czasu. Wielokrotnie w ciągu miesiąca wyjeżdżał na parę dni w nieznaną, nie mówiąc nikomu o celu podróży. Zostawiał bez żalu parafię pod opieką dwóch wikarych. Praca duszpasterska jakoś w ogóle mu nie leżała. Bił rekordy szybkości w odprawianiu Mszy Świętych i nabożeństw, a kazania na religijny temat nigdy z jego ust nie słyszałem.

Jak przystało na człowieka, który zdobył wysoką pozycję w świecie biznesu, ks. prałat zajął się polityką. Był co prawda tylko radnym w mieście, ale kilka razy dał ostro do zrozumienia burmistrzowi i jego zastępcy — kto naprawdę rządzi Aleksandrowem. Trzeba przyznać, że wszyscy liczyli się z jego zdaniem, podziwiali go za przedsiębiorczość i czuli przed nim respekt. Niestety tak naprawdę nikt go chyba nie lubił. Nie słyszałem o nim nigdy pochlebnej opinii jako o człowieku czy księdzu, poza uznaniem dla jego głowy do interesów. Był to również znany w okręgu łódzkim i nie tylko mecenas i poplecznik wielu prawicowych polityków, m.in. Alicji Grześkowiak, Stefana Niesiołowskiego i wielu innych. Byli oni częstymi gośćmi w jego rezydencji.

Tak więc ks. prałat Bogacki aspirował do miana człowieka sukcesu i był nim rzeczywiście. Miał prywatnego goryla i kierowcę, który woził go na przemian mercedesem-limuzyną i jeepem. Słyszał z tego, że nie liczył się z niczym i z nikim. Kpił publicznie nawet z biskupów, a w swoich politycznych kazaniach mieszał z błotem większość polskich mężów stanu. Prywatnie był kpiarzem i cynikiem. Ci, którzy go bliżej poznali mieli o nim opinię dwulicowca. Niemal każdy kiedyś się na nim zawiódł. Wiele razy spowiadałem ludzi, którzy skarżyli się na jego obcesowe podejście zwłaszcza do biedy i biedaków. Gardził ludźmi słabymi, ciężko pracującymi fizycznie – tymi, którym się w życiu nie powiodło.

Jego parafianie autentycznie go nienawidzili, tak samo zresztą jak księży, może oprócz jego pupila Placka. Czy można się dziwić wiernym skoro swoje owieczki ksiądz prałat traktował jak jedno z wielu źródeł dochodu. Jako biznesmen z prawdziwego zdarzenia, w swoim interesie kościelnym, z siedzibą w kancelarii parafialnej, wprowadził stałe opłaty za wszystkie usługi. Wykorzystując monopol na te usługi na swoim terenie — ustalił ceny na bardzo wysokim poziomie. Takie przecież są prawa rynku. W interesach nie ma sentymentów, nawet „Święty Boże nie pomoże”. W jego kancelarii nie było targowania.

Dla przykładu podam, że w 1995 roku, kiedy tam przebywałem — stawka za usługę pogrzebową u ks. prałata wynosiła 5 mln zł. Wyjątków od ustalonych stawek nie zanotowano. Kiedy jedna kobieta z płaczem prosiła o spłatę w ratach ww. kwoty — ks. Hedoniusz zapewniał ją, iż tego uczynić nie wolno bo „taka jest stawka”. „Czy pani nie może pożyczyć kilka milionów aby opłacić pogrzeb własnego męża?” — pytał zdziwiony.

Oprócz słabości do dużych pieniędzy (do czego sam się przyznawał) ks. prałat miał naturalną słabość do płci przeciwnej. W całym mieście znana jest historia jego związku z właścicielką baru, z którą miał się jakoby pewnej nocy „zakleszczyć”. Pomocy namiętnej parze udzielił wówczas miejscowy lekarz i stąd cała sprawa wyszła poza mury plebanii. Przyznam się, iż trudno mi było uwierzyć w tę, moim zdaniem, grubymi nićmi szytą opowieść. Słyszałem ją od wielu osób, w tym od swojego proboszcza, ale znając spryt prałata nie podejrzewam go o tak głupią wpadkę.

Mogę tylko powiedzieć, że widziałem kilka eleganckich kobiet wychodzących od niego o różnych porach. Przekonałem się na własnej skórze, że ten człowiek był na prawdę podły i dwulicowy, ale ludzie nienawidzili go zbyt mocno, aby można było wierzyć wszystkiemu co mówili.

Niewiarygodnie brzmi dla mnie jeszcze inna historia również opowiedziana mi przez proboszcza Jareme. Ksiądz Bogacki już jako kleryk, a później młody ksiądz był bardzo butny i zepsuty moralnie. Wielokrotnie ratowały go niezbadane bliżej „chody” u ówczesnego biskupa ordynariusza Michała Klepacza. Jako młody wikariusz, zwykł nasz bohater urządzać ostre popijawy z podobnymi jak on księżmi — „ascetami”. Na takie zamknięte „rekolekcje” często sprowadzano na pokuszenie parę dziewczyn niezbyt ciężkiego prowadzenia. Jedna z takich orgii wg. słów księdza Jaremy, tak się rozwinęła, że wikary Bogacki aby uatrakcyjnić ją jeszcze bardziej wpadł na istic szatański pomysł. W trakcie imprezy przeprosił na chwilę gości, poszedł do Kościoła, a po chwili wrócił niosąc kilka kielichów mszalnych.

Zdumionym biesiadnikom zaczął serwować w nich drinki. Podobno jeden z nich — jego kolega ksiądz — wytrzeźwiał w jednej chwili, wstał i wyszedł na zewnątrz, ale reszta ekipy świetnie się dalej bawiła. Ta historia brzmi niewiarygodnie nawet dla mnie.

Choć poznałem setki różnych księży, uważam, że jedynym wśród nich człowiekiem, który mógłby dopuścić się takiego świętokradztwa

— był ksiądz prałat Bogacki. Rzeczą niewiarygodną, ale prawdziwą jest jego majątek, który (łącznie z prywatną posiadłością) można porównać z niewieloma współczesnymi fortunami w Polsce. Nie siedzę w kieszeni księdzu prałatowi Jankowskiemu z Gdańska, ale śmiem twierdzić, że trochę mu do Bogackiego brakuje. Łączy ich na pewno przeświadczenie o magnackim pochodzeniu, czynne uprawianie polityki i zamiłowanie do marki „mercedes benz”.

Jak łatwo się domyśleć, mój proboszcz Jarema Trunkowski i inni księża zamieszkujący na plebanii, nie darzyli prałata Bogackiego pozytywnymi uczuciami. Doskonale ich zresztą rozumiałem. Wystarczającym powodem do braku takich uczuć, był fakt pobierania przez prałata słonego czynszu za zajmowane przez nas mieszkania. Jak żyję nie słyszałem o podobnym przypadku, aby księża płacili za mieszkanie na plebanii, którą wybudowali dla nich parafianie!

Nie bez powodu zacząłem opowieść o swojej drugiej parafii charakterystyką prałata i dziekana aleksandrowskiego w jednej osobie. Wszystko bowiem w tym mieście i obu parafiach kręciło się wokół niego i od niego zależało. Nic dziwnego zatem, że księża z całej archidiecezji mówiąc o Aleksandrowie używali zamiennie określeń — „łódzki” i „Bogucki”. Oprócz prałata, mojego proboszcza i mnie — plebanię zamieszkiwali jeszcze trzej księża. Niewiele starszym ode mnie był ksiądz Piotr — zastraszonego i lizusowatego względem swojego wielkiego szefa. Pozwoliło mu to jednak pobić wszelkie rekordy rezydowania w Aleksandrowie — był tu już od 3 lat. Jego kolegą, współpracownikiem był kapłan około pięćdziesiątki, ale jeszcze na stanowisku wikariusza. Ksiądz Paweł, bo o nim mówię, był ułożonym kapłanem, typem urzędnika. Ponieważ jako jedyny z wikarych (nie licząc prałata) nie uczył religii w szkole — jako specjalność przypadła mu praca w kancelarii i pogrzeby. Poza tym, że był służbistą (tak wyglądała praca u Św. Rafała) wszyscy lubili go za miłą powierzchowność i wysoką kulturę osobistą. Miał chyba tylko jedną, za to wielką słabość — ładne samochody.

Całe swoje mieszkanie i garaż obwiesił plakatami wozów najlepszych marek. Sam jeździł nowym oplem Astra, któremu poświęcał większość swojego wolnego czasu. Kiedy patrzyłem z jakim namaszczeniem pieścił swój samochód nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że przelał na niego wszystkie swoje niezaspokojone instynkty opiekuńcze i ojcowskie. Ksiądz Paweł np. mył swój samo-chód tylko najdelikatniejszymi szamponami i wyłącznie w miękkiej wodzie, tzn. w czasie deszczu. Kupił do tego celu długi płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Sama jazda już go tak nie rajcowała — wątpię aby w ciągu mojego pobytu zrobił więcej niż...200 kilometrów. Ostatnim z księży zamieszkujących plebanię w Aleksandrowie był proboszcz niewielkiej — „budującej się” parafii — Rąbienia. Jego parafia przylegała do naszej, a Kościół był oddalony nie więcej niż 2 km od naszej kaplicy. Ks. Mikołajczyk był moim faworytem — bardzo oddany sprawie Kościoła, a przy tym stojący twardo na ziemi, ludzki i z wielkim poczuciem humoru.

Aby zakończyć tę zbiorową — księżowską — charakterystykę, muszę powrócić jeszcze do człowieka, o którym mogę najwięcej powiedzieć, bo najlepiej go poznałem. Mój proboszcz, ks. Jarema Trunkowski był dość przystojnym rudym facetem o korzeniach, jak już mówiłem — góralskich. Miał tzw. „spóźnione powołanie” — przed wstąpieniem do seminarium pracował kilka lat po maturze. Uczelnię Łódzką skończył razem z moim znajomym z Łodzi-Retkinii, ks. Wiesiem. Ks. Trunkowski nie miał lotnego umysłu, ani inteligencji prałata, chociaż ciągle do niego aspirował. Miał za to gołębie, ludzkie serce dla swoich parafian. Od samego początku zdobył sobie ich wielką sympatię. Widać było, iż swoją pierwszą, własną parafię i jej mieszkańców traktował z wielkim oddaniem.

Leżały mu na sercu zarówno potrzeby duchowe, jak i materialne nowej placówki duszpasterskiej. Do mnie odnosił się bardzo kulturalnie i poprawnie — wręcz przyjacielsko. Czasami tylko był nieco mrukliwy, a także nieszczerzy — lubił grać „na dwa fronty”, krytykować kogoś za plecami i roznosić plotki. Od niego dowiedziałem się co kto ma na koncie i na sumieniu. Po prostu lubił takie tematy. Poza tymi ludzkimi, a raczej babskimi przypadłościami, był to naprawdę dusza — człowiek; często nawet zbyt pobłażliwy. Wspomniałem o jego aspiracjach w stronę osoby

prałata, ale miało to odniesienie tylko do płaszczyzny finansowej. Większość księży zazdrościła Bogackiemu interesów, ogromnych pieniędzy jakie posiadał, a w przypadku ks. Trunkowskiego było to o tyle uzasadnione, ponieważ miał on rzeczywiście ciągle, niemałe wydatki związane z pracami przy kaplicy i przylegającej do niej plebanii — w trakcie budowy.

Według zwyczaju, główny ciężar finansowy — przy wyodrębnianiu się nowej parafii ze starej — spadał na tę macierzystą, ale w takich kwestiach nikt nawet nie marzył o pomocy prałata. Przyznam się, że byłem i będę zawsze pełen podziwu dla zapału i samozaparciu młodych proboszczów, takich jak Trunkowski czy Mikołajczyk — którzy budując nowe świątynie, oddawali dosłownie Kościołowi całe swoje siły i zdolności. Inną sprawą jest fakt, iż buduje się te obiekty zazwyczaj „bez głowy” i wyobraźni, ale to jest już wina biskupów. Wymownym tego przykładem jest Łódź, gdzie odległość między Kościołami można mierzyć w metrach, a są one takie olbrzymie, że pomieściłyby zarówno wierzących, jak i niewierzących parafian, łącznie z tymi, którzy leżą na cmentarzach. Jeszcze większą głupotą jest budowanie plebanii — bloków — niemożliwych do zagospodarowania i ogrzania. Budowy takich kolosów powierza się księżom, którzy często nie mają o tym zielonego pojęcia — przepłacają wykonawcom, marnują materiały itp.

Stąd mój podziw dla ks. Jaremy, który wziął na siebie odpowiedzialność architekta i budowlanca, a przy tym nie oszczędzał się jako duszpasterz. Być może właśnie tak duże obciążenie różnymi obowiązkami, w połączeniu z kapłańską samotnością doprowadziły go do ukrytego alkoholizmu. Tak, niestety i ten kapłan wpadł w szpony tego straszego nałogu, który można nie bez przesady nazwać chorobą zawodową kleru. Regularnie każdego wieczoru mój proboszcz „zalewał sobie robaka”, najczęściej samotnie, a czasami w większym, zaufanym gronie. Mniej więcej pół godziny po wieczornej Mszy Św. zawsze ilekroć się widzieliśmy, czuć było od niego alkohol. Kilka razy widziałem go pijanego do nieprzytomności. Próbowałem delikatnie wpłynąć na niego, uświadomić mu, że się stacza (słyszałem, że świadomość tego jest podstawą zwalczania nałogu) — niestety bezskutecznie. Najbardziej bolało mnie, kiedy widziałem, jak po pijanemu odprawia Mszę Świętą. Zdarzało mu się to po paru nocnych imprezach, które przeciągnęły się ...do rannej Mszy, a także wówczas gdy nie wytrzymał i wypił w ciągu dnia.

Widziałem i czułem ból tego człowieka, topiącego swoją samotność, stresy i kapłańskie rozterki w butelce wódki. Z wielką życzliwością i troską myślę dziś o tym, jak ten człowiek pokieruje swoją przyszłością.

Tak więc po roku samotnego zamieszkania w rusieckiej wikariatce przyszło mi mieszkać na prawdziwej plebanii, wśród pięciu innych księży. Muszę powiedzieć, a wiem o tym z autopsji oraz z opowiadań kolegów, że takie zbiorowe plebanie rządzą się swoimi własnymi prawami. Poza ciągłym szpiegowaniem ze strony własnych proboszczów istnieje tam niepisany zwyczaj nie wchodzenia sobie w drogę i nie interesowania się sąsiadami. Uszanuję ten zwyczaj także teraz i nie będę wyliczał ile dziewczyn czy chłopców widziałem wychodzących — z których drzwi i o jakich godzinach. Uważam, że tego rodzaju kontakty są prywatną sprawą każdego człowieka o ile nie zdradza on np. współmałżonka i bynajmniej nigdy ich nie potępiałem.

Przechodząc do tematu swojej parafii zaznaczę na wstępie, iż ks. prałat Bogacki bardzo długo, bo kilkanaście lat, opierał się jej powstaniu. Pragnął w ten naturalny sposób uchronić się przed odpływem części pieniędzy do innych kieszeni. W końcu jednak uległ, pod naciskiem biskupów i opinii kleru, kiedy Aleksandrów stał się największą parafią w archidiecezji. Sam wykroił najgorsze ochłapy ze swoich włości. W ten sposób nową parafię utworzyły dwa osiedla nowych bloków mieszkalnych. Prałat doskonale wiedział, że takie bloki zamieszkują na ogół młode małżeństwa — rzadko praktykujące i najmniej skore do utrzymywania Kościoła. Wiadomą rzeczą jest, iż w takich parafiach jest niewiele pogrzebów, ich mieszkańcy są już z reguły „po ślubie”, a liczyć można tylko na przyrost demograficzny i chrzty.

Nie zdziwiło nas również (proboszcza i mnie), że prałat zarezerwował dla siebie kontrolę nad całym miejskim cmentarzem, na którym nam nie wolno było nawet czytać „wypominków” w Uroczystość Wszystkich Świętych. Cmentarze to jeden z najlepszych kapłańskich businessów. Jeśli zatem chodzi o nasze dochody — były one raczej mierne. Za to każdego dnia dziękowałem gorąco Bogu, że mam normalnego proboszcza i mogę żyć bez ciągłego poniżania i nerwów, w normalnych warunkach. Braki finansowe z tzw. akcydensu, na który składały się ofiary z pogrzebów, ślubów i chrztów — wyrównywały nam codzienne Msze Św. zamawiane przez grupę starszych parafian ściśle związanych ze swoim nowym Kościołem; szczęśliwych, że oderwali się od prałata. Trzeba również przyznać, iż ludzie uwzględniali w „tacy” fakt powstawania nowej placówki parafialnej. Wszakże wydatków z tym związanych było co niemiara – począwszy od materiałów budowlanych poprzez ławki, meble kancelaryjne, a skończywszy na szatach i precjozach liturgicznych. Kuria biskupia dysponująca bająskimi funduszami na cele reprezentacyjne m.in. na podróże pięciu biskupów po całym świecie, nie kwapiła się z dotacjami dla nowych parafii, zwłaszcza, że akurat wtedy zakupiła od Kościoła Ewangelickiego świątynię w centrum Łodzi za milion dolarów. Sprawy finansowe były na szczęście problemem proboszczów. Ja miałem swoje własne obowiązki i zmartwienia.

Rozpocząłem pracę jako ksiądz — katecheta w Zespole Szkół Zawodowych. To nowe doświadczenie uświadomiło mi z jednej strony, jak znikomy procent młodzieży identyfikuje się z wartościami chrześcijańskimi — które głosi Kościół Katolicki — a z drugiej strony, jak bardzo młodzież łaknie tychże wartości.

Ci młodzi ludzie z którymi pracowałem widzieli głęboki sens w prowadzeniu życia zgodnego z Ewangelią. Przekonywały ich nawet takie przesłania Nowego Testamentu jak: przebaczenie bez granic, miłość nieprzyjaciół czy ubóstwo. Szybko zrozumiałem jednak, że do tych młodych — gniewnych, ale jakże prostych i otwartych umysłów, nie docierała żadna teoria nie poparta praktyką i żywym świadectwem. Oni potrzebowali prawdziwych autorytetów, przewodników życiowych. Tylko ten, kto żył na co dzień zgodnie z tym co głosił — zasługiwał na ich akceptację i szacunek. Za kimś takim gotowi byli pójść do piekła. Czekali na kogoś takiego, ale... nikt się nie zjawiał.

Pracując wśród młodzieży zawodowej, której wszyscy katecheci boją się jak ognia, dotarło do mnie jasno — jak ogromną, wręcz historyczną misję do spełnienia ma tu Kościół i kapłani; kapłani, którzy nie zdają sobie na ogół sprawy jaka wielka odpowiedzialność na nich spoczywa. Uświadomiłem sobie, jak słabe w ogóle jest oddziaływanie wychowawcze księży. Dlaczego w kraju na wskroś katolickim, prawowiernym jest tyle chamstwa, złodziejstwa i zbrodni? Gdzie są owoce nauczania Kościoła?! Odpowiedź jest krótka i bolesna — nie ma ich, bo nie ma również świadectwa kapłanów.

Kandydaci do kapłaństwa już w seminarium kształceni są bardziej na teoretyków i urzędników, aniżeli na świadków Chrystusa. Kiedy stykają się oni z realiami panującymi w terenie, kiedy poznają cynizm swoich przełożonych, którzy do reszty ściągają ich na ziemię, udowadniając im na wszelkie sposoby — że „Pan Bóg swoje, a życie swoje” — wtedy dopiero następuje przewartościowanie w nich samych i zaczynają krakać tak samo, jak reszta stada wron. Czy ja dzisiaj mam wstydzić się tego, iż odleciałem z tego stada, aby nie krakać jak wszyscy inni?!

Ktoś mógłby zapytać — dlaczego ja sam nie stałem się wówczas wzorem dla swoich wychowanków? Otóż, starałem się i mam nadzieję, iż byłem nim rzeczywiście! Mogę to bez przesady powiedzieć, bo wiem że oni sami to potwierdzą. Postanowiłem być ich starszym bratem, który doświadczył Boga w swoim życiu. W naszych rozmowach nie było tematów tabu (uczyłem klasy męskie, żeńskie i koedukacyjne). Widziałem, że moi młodzi przyjaciele byli mile zdziwieni moim szczerym i otwartym podejściem. Po raz pierwszy ksiądz traktował ich jak dorosłych, odpowiedzialnych, wartościowych ludzi, a nie jak bandę rozwydrzonych szczeniaków. Zwierzali mi się ze swoich najskrytszych problemów. Kiedy przyprowadzałem swoje klasy do Kościoła na spowiedzi — adwentowe i wielkopostne — choć w konfesjonałach było zawsze kilku księży, największe kolejki były u mnie.

Chodziłem z moimi chłopcami i dziewczętami na wycieczki, podczas których prowadziliśmy nie kończące się rozmowy i dyskusje. Oglądaliśmy ich i moje ulubione filmy video i analizowaliśmy rozterki moralne bohaterów. Żyłem z nimi ich życiem, bo nie było też innej drogi, aby do nich dotrzeć i zdobyć ich dla Boga. Nie robiłem tego z premedytacją czy wyrachowaniem. Wierzę, iż wielu młodym ludziom w Aleksandrowie pomogłem przejść bezpiecznie przez trudny okres poszukiwania i odnaleźć właściwą drogę. Kilkanaście razy, na ich prośbę, interweniowałem w najróżniejszych konfliktach rodzinnych, a nawet sercowych. Jestem pewien, iż jedną z dziewcząt uratowałem od samookaleczenia, jeśli nie od śmierci samobójczej.

Zdobycie zaufania młodych ludzi nie przyszło mi wcale łatwo. Faktem jest, że była to młodzież sfrustrowana, często naznaczona piętnem nie najciekawszych środowisk rodzinnych. Jednostki wśród chłopców były wręcz kryminogenne (jeden z uczniów popełnił morderstwo na swoim koledze). Takie przypadki przekonywały mnie tylko i utwierdzały w walce o przyszłość moich wychowanków. Byłem szczęśliwy, że wielu z nich udało mi się zawrócić ze złej drogi, chociaż niejedni przy tym zalazł mi za skórę. W mniemaniu moim i innych nauczycieli ze szkoły — klasy które uczyłem (po 2 godz. tygodniowo)

stały się lepsze, bardziej komunikatywne i spokojniejsze. Wielu moich uczniów i uczennic odwiedzało mnie w moim mieszkaniu na plebanii. Cieszyły mnie bardzo te sukcesy. Dziękowałem Bogu za każdą zagubioną owcę, którą udało mi się sprowadzić na nowo do Jego Owczarni. Moje osiągnięcia uważałem za szczególnie wartościowe, ponieważ udało mi się w moich uczniach, wychowanych na opowieściach i doświadczeniach związanych z prałatem — przewyciężyć niechęć, a często nawet odrazę do stanu kapłańskiego w ogóle.

Niestety, przy końcu roku szkolnego właśnie ksiądz prałat wezwał mnie na rozmowę, w której zarzucił mi „wywołanie niezdrowego poruszenia wśród miejscowej młodzieży; odejście od programu nauczania oraz skupienie młodzieży wokół siebie, a nie przy Bogu”. Prałata ponadto raził widok młodych na plebanii, gdzie powinien być spokój i powaga (najwidoczniej czynsz pobierany obecnie od lokatorów na plebanii rekompensuje mu te niedogodności). Był przekonany, że któryś z moich podopiecznych zarysował mu kilka dni wcześniej jego mercedesa. „Ksiądz ma kurwa mać za mało pracy, postaram się wypełnić księdzu wolny czas!” — wykrzykiwał mi nad głową. Już wkrótce okazało się, iż nie były to słowa rzucane na wiatr.

Przez kilka ostatnich miesięcy spędzonych w Aleksandrowie byłem praktycznie wikariuszem na dwóch parafiach, z jedną pensją. Polemika z prałatem nie miała sensu — on wiedział wszystko najlepiej. Wzorem innych należało mu przytaknąć, skulić uszy i obiecać solennie poprawę. Ja powiedziałem tylko, że przemyślę to co mi powiedział. Rzeczywiście miałem zamiar to rozważyć. W końcu byłem kapłanem w Kościele hierarchicznym i choć wiedziałem, iż prałat się myli (a już na pewno nie przemawia przez niego Duch Święty), to jednak kolejna przeprowadzka nie bardzo mi się uśmiechała. Ten, kto sprzeciwił się prałatowi mógł tego samego dnia się pakować, choćby pracował w zupełnie innej parafii. Ten człowiek trząsł całą archidiecezją, a na przywitanie arcybiskupa mówił — „cześć Władek”.

Poza tym, żywo w pamięci miałem ojca Świątka i jego przykazanie bezwzględnego posłuszeństwa. Jak mogłem mimo to odepchnąć od siebie młodzież, która mnie potrzebowała. Wszystkie swoje obowiązki wykonywałem bez zarzutu; czy miałem być jednak tylko urzędnikiem, kasjerem w kancelarii, technikiem od kultu? Co miały znaczyć słowa, tak często słyszane w seminarium o „spalaniu się kapłana dla Królestwa Boże-go?”. Postanowiłem w jednej chwili, że się nie ugnę — nie zmarnuję życia dla zbierania pieniędzy i hodowania brzucha do kolan. Nie po to poświęciłem swoje młode życie, idąc do seminarium i rezygnując z takich wartości jak małżeństwo czy ojcostwo, aby w dalszej kolejności poświęcić swój ideał kapłaństwa.

Swoją posługę księdza traktowałem zawsze jako służbę Bogu i ludziom. Nie myślałem o żadnym męczeństwie albo wielkich umartwieniach, ale równie daleki byłem od uznania swojej funkcji kapłana — duszpasterza za intratną, ciepłą posadkę, wolną od ziemskich trosk i zmartwień. Z żalem i smutkiem patrzyłem na większość moich byłych kolegów z seminarium, którzy przenieśli do kapłaństwa podstawową klerycką zasadę — „nie wychylać się”. Może po prostu mam inny charakter. Nie potrafię bezkrytycznie godzić się ze złem i przechodzić do porządku dziennego nad jawną niesprawiedliwością. Wszak to sam Pan Jezus, mój Mistrz i Nauczyciel powiedział, iż lepiej być gorącym lub zimnym — byle nie letnim. Właśnie ta letniość, pogodzenie się z zastaną rzeczywistością — najbardziej mnie raziła u moich pobratymców.

Przerażała mnie perspektywa zostania klechą — dusigroszem, który „odbija” sobie brak żony i dzieci powiększaniem konta w __u. Zgodnie ze starym przysłowiem, że „apetyt rośnie w miarę jedzenia”, wielu księży właśnie dla pieniędzy pogrzebało swoje ideały kapłaństwa, a nawet człowieczeństwa. Wiedziałem np. o powszechnej niemal praktyce skubania na lewo proboszczów przez wikariuszy. Najczęściej miało to miejsce w czasie kolędy, podczas której na boku można było dorobić sobie nawet kilka miesięcznych pensji.

Było to dziecinnie łatwe — wystarczyło nie zapisywać niektórych większych kwot przy ofiarodawcach, a wpisać je dopiero później, np. w następnym domu, odpowiednio pomniejszone. Nieco większe ryzyko niesło ze sobą zaniżanie wpływów w kancelarii. Jeden z moich kolegów opowiadał mi, jak wpadł w ten sposób u swojego szefa. Otóż pewna gorliwa parafianka, po opłaceniu u niego pogrzebu; jeszcze tego samego dnia nie omieszkała zapytać proboszcza — „czy aby tyle wystarczy”?

Proboszczowie doskonale orientowali się w metodach swoich wikariuszy i bronili na różne sposoby. Niektórzy wymagali podpisu ofiarodawcy przy kwocie; inni prosili swoich zaufanych parafian, aby ci dali „na podpuchę” większą ofiarę. Ksiądz prałat Bogacki znalazł jeszcze inne rozwiązanie. Załatwił sobie na czas kolędy sutannowych kleryków z seminarium, którzy w jego mniemaniu byli bardziej uczciwi. Ja tylko jeden raz uległem pokusie w Ruścu, u ks. Jana. W czasie kolędy przywłaszczyłem sobie niewielką kwotę, ale po paru dniach wyrzutów sumienia — wrzuciłem ją do kościelnej skarbonki. Czułem, że po pierwszym razie mogę wyrobić w sobie nawyk „dorabiania”. Taką praktykę można było sobie łatwo wytłumaczyć, bo przecież proboszcz skubał mnie zupełnie jawnie. Wzajemne okradanie się księży w parafiach demoralizuje ich oraz rodzi ciągłe podejrzania i antagonizmy.

Kiedy byłem kapłanem bardzo bolało mnie i gorszyło takie zachowanie wielu moich kolegów. Teraz, z perspektywy czasu, ciężar ich winy przelałbym raczej na wadliwy system. Uważam, iż dla dobra samych księży najwyższy czas, na wzór krajów zachodnich, np. Niemiec — uporządkować wszystkie finanse Kościoła i poddać je pod kontrolę rad parafialnych albo przekazać kontrolę państwu. To samo dotyczy uposażenia księży, które powinno być jawne, jak każde inne. Jest to moim zdaniem jedna z podstawowych dróg do ratowania Kościoła w Polsce.

Powrócę jednak do mojego postanowienia, które podjąłem po rozmowie z prałatem, aby nie opuszczać mojej młodzieży i do drugiej decyzji, która zrodziła się w toku przemyśleń nad pierwszą — nie ugnę się pod naporem złych obyczajów w Kościele.

Postanowiłem również nie drażnić zbytnio prałata i swoje spotkania z podopiecznymi przenieść poza plebanię. Nie chciałem opuszczać Aleksandrowa. Poznałem tu wielu wspaniałych ludzi, a przede wszystkim miałem ludzkiego proboszcza. Chociaż pracy na dwóch parafiach było więcej niż w Ruścu, a zarobki nie najlepsze, gotów byłem zostać tam jak najdłużej.

Samo życie w mieście różniło się bardzo od wiejskiego. Przede wszystkim była tu większa anonimowość, a sąsiedztwo wielkiej Łodzi stwarzało większe możliwości kulturalne i towarzyskie. To sąsiedztwo było mi osobiście bardzo na rękę, ponieważ po przyjeździe do Aleksandrowa rozpocząłem zaoczne studia doktoranckie na Akademii Teologii Katolickiej w Łodzi, na kierunku Katolicka Nauka Społeczna. Również praca duszpasterska w mieście była o tyle łatwiejsza, że wszędzie było blisko — do szkoły, chorego itp. Zupełnie inaczej wyglądała kolęda w blokach. Jak na złość jednak zimą skradziono mi samochód i wszędzie, a przede wszystkim do swojej kaplicy, jeździłem na rowerze.

Nasza świątynia pod czułym okiem proboszcza stawała się niemal z każdym dniem piękniejsza. Bardzo budowało mnie zaangażowanie i entuzjazm dużej grupy parafian, którzy sami, od podstaw tworzyli materialny i duchowy wizerunek nowej wspólnoty. Kilku, niemłodych już mężczyzn — emerytów i rencistów — regularnie, każdego dnia przychodziło nieodpłatnie do pracy przy kaplicy i plebanii. Zawstydzony ich poświęceniem i ofiarnością sam zacząłem pomagać przy cięższych pracach, np. przy zalewaniu stropu na plebanii. Nigdy nie zapomnę wspaniałej atmosfery, jaka towarzyszyła naszym wspólnym spotkaniom i pracom. Oczywiście byli i tacy parafianie — którzy przychodzili do kancelarii albo zakrystii, aby podokuczać księdzu lub skrytykować to i owo. Niektórzy, a tych przybywało, byli nastawieni nieufnie i wrogo. Z roku na rok w czasie kolędy, coraz mniej rodzin przyjmowało księży w swoich domach. Zjawisko to obserwowano we wszystkich parafiach.

Kiedy w Boże Ciało wczesnym rankiem wykańczaliśmy ołtarze przylegające do bloków – w kilku przypadkach spotkaliśmy się z inwektywami i agresywnym zachowaniem tych, którzy chcieli się tego dnia wyspać, a hałas im przeszkadzał. W Uroczystość Wszystkich Świętych – zbierając z rozkazu prałata ofiary na cmentarzu — o mało nie zostałem zlinczowany przez rodzinę stojącą przy grobie, na który nieopatrznie nadepnąłem czubkiem buta. Słyszałem wielokrotnie o protestach ludzi mieszkających w pobliżu świątyń, którym przeszkadzał odgłos kościelnych dzwonów. Znamienne było to, że niemal wszystkie wrogie uczucia względem Kościoła, a w szczególności wobec księży, wyrażali ludzie deklarujący się jako wierzący. Ksiądz prałat jak zwykle i na nich miał wypróbowany sposób.

Wszyscy księża pracujący w Aleksandrowie mieli obowiązek zgłaszania mu podobnych incydentów, a przede wszystkim ich autorów. Informacje były skrzętnie zapisywane w kartotece, a przy najbliższej okazji — skwapliwie wykorzystywane. Prędzej czy później podpadnięta osoba zjawiała się w kancelarii w związku z załatwieniem ślubu, chrztu czy pogrzebu. Najczęściej większa kwota ratowała z opresji i była uznawana jako pewne zadośćuczynienie za popełnione grzechy. Jedno, co trzeba oddać prałatowi, to jego skrupulatność w połączeniu z praktycznym podejściem do życia, w tym także do duszpasterstwa. W jego parafii niemal wszystko było „na kartki” — spowiedź, chrzest, ślub, bierzmowanie, obecność na Mszach Świętych dla dzieci i młodzieży itp. Niemożliwym było uzyskanie pozwolenia na ślub lub chrzest, jeśli brakowało choćby jednego z kilku świstków.

Przed kołędą prałat wysyłał do każdego domu listę materialnych potrzeb i inwestycji, jakie prowadzi parafia. Dołączał do tego kopertę ze swoją pieczęcią. Był to jeszcze jeden sposób na nieuczciwych „kolędowników”.

Podsumowując osobę ks. prałata Hedoniusza Bogackiego, który jawi się w tym rozdziale jako postać kluczowa, trzeba powiedzieć, iż jest on typowym przykładem na to, jak decydującą rolę w życiu i postawie kapłana odgrywa jego osobowość i cechy czysto ludzkie. Uważam, że po to aby być dobrym księdzem, trzeba wpiery być dobrym człowiekiem. Negatywne i pozytywne cechy charakteru kandydata do święceń są bez ograniczeń przenoszone do kapłaństwa; same święcenia (pierwsze czy drugie) nie spełniają funkcji oczyszczalni ścieków. Jeden z moich przełożonych w Seminarium Włocławskim — ks. prefekt K. Konecki powiedział kiedyś w przypływie szczerości, że wielkim sukcesem jest, jeśli ktoś przejdzie przez sześć lat uczelni duchownej i nie zepsuje się, wychodząc gorszym niż przyszedł. Jakież jednak szok czekałby takiego idealistę na pierwszej parafii np. w Ruścu.

Jestem przekonany, że tacy kapłani jak ks. Bogacki, weszli na drogę powołania nie mając go w ogóle lub też wypaczyli je bardzo wcześnie. Na domiar złego wnieśli do kapłaństwa hedonistyczne i materialistyczne patrzyenie na świat. Wielu z nich staje się z czasem autentycznymi ateistami — gorszymi od innych — bo najczęściej nie do odratowania. Prawdopodobnie ks. prałat chciał dobrze; nie posądzam go o zupełny brak dobrych intencji. To właśnie jego i jemu podobnych w pewnym sensie usprawiedliwia, a jednocześnie jest najbardziej tragiczne — że wierzą oni w swój własny „ideal” kapłaństwa.

Większość biskupów i wielu proboszczów wyrosłych na latach osiemdziesiątych — kiedy to Kościół organizował Msze za Ojczyznę, heppeningi, manifestacje wiary i sprzeciwu wobec komunistycznej władzy — chciała dalej kontynuować taki model duszpasterstwa, oparty na pokazówkach, imprezach religijno-polityczno — patriotycznych i cieszyć oczy wielotysięcznymi, wiwatującymi tłumami. Tymczasem w zdrowo myślących środowiskach kościelnych panuje przekonanie, że właśnie lata osiemdziesiąte były dla Kościoła w Polsce latami straconymi, ponieważ w masówkach Kościoła tryumfującego brak było Boga i Ewangelii, a politykujący księża nie myśleli o dawaniu świadectwa wiary. Biskupi oburzają się dzisiaj na Labudę, Bujaka, Frasyniuka i innych, którzy przez lata stanu wojennego korzystali z opieki i pomocy księży, często nawet ukrywając się w zakonach czy na plebaniach. Niestety, ci światli ludzie poznawszy wówczas Kościół „od kuchni” — nie chcą mieć teraz z nim nic wspólnego.

Kiedy po powrocie z urlopu zastałem u proboszcza dekret kierujący mnie na inną parafię, nie zmartwiłem się zbytnio. Aleksandrów, w którym kwitł kapłański biznes – nie był najlepszym miejscem dla takich jak ja.

ROZDZIAŁ VII

Ozorków: trudna decyzja — dlaczego odszedłem?

Zanim rozpocznę swoją kolejną historię na kolejnej parafii, chciałbym przybliżyć nieco stan ducha, w jakim znajdowałem się w tamtym czasie. Miałem już za sobą doświadczenie sześciu lat pobytu w dwóch seminariach duchownych (z roczną przerwą) oraz dwuletni staż pracy na dwóch różnych parafiach.

Znałem od podszewki struktury i metody działania Kościoła w Polsce, a przynajmniej w dwóch diecezjach: łódzkiej i wrocławskiej. Gdzie indziej było oczywiście tak samo albo bardzo podobnie. Przede wszystkim w całym Kościele Rzymsko-Katolickim, kierowanym przez papieża, był ten sam system, te same metody.

Właśnie tym wadliwym systemem, który wypaczał ludzkie charaktery i sumienia, deprawował sługi Kościoła — byłem zrażony. Owoce tego systemu były wstrząsające, jak na Owczarnię Jezusa Chrystusa. Pasterze Jego owiec dopuszczali się nagminnie ciężkich grzechów, nie wyłączając: złodziejstwa, pijaństwa, wzajemnej zawiści, zemsty i dewiacji seksualnych. Z tzw. terenu dobiegały wciąż wstrząsające wieści o bijatykach na plebaniach, molestowaniu dzieci przez księży pedofilów, trójkątach małżeńskich z udziałem duchownych, nakłanianiu „gospodyń” do usuwania nienarodzonych itp.

Powszechne było okradanie przez proboszczów całych parafii, często na wielkie kwoty, poprzez wyprzedawanie dzieł sztuki sakralnej lub składanie obietnic bez pokrycia typu: założę nowy dach na Kościele jak zbierzeć dość pieniędzy. Ludzie przynoszą duże i małe sumy czasem przez kilka lat — bo ciągle brakuje. Kiedy uzbiera się z tego mała fortuna, duszpasterz prosi biskupa o zmianę parafii i ...przekręt jest gotowy. Pieniądze zniknęły, a złodzieja nie ma bo nie ma paragrafu który by go ścigał.

Prawidłowością wśród proboszczów jest to, iż w czasie trwania probostwa (zazwyczaj już pierwszego) budują oni własne, często przepiękne domy — oczywiście na koszt parafian, np. zamiast remontu Kościoła, na który zebrali kasę lub też kosztem wieloletniego opóźnienia prac nad budową świątyni. W tych księzowskich domach najczęściej mieszkają ich utrzymanki i dzieci, które widzą tatusia przy okazji, gdy uda mu się „urwać” z pracy i dojechać często paraset kilometrów do domu. Nieliczni samotni fundują takie domy swoim bliskim — bratu, siostrze lub ich dzieciom — w zamian za opiekę na starsze lata. Starsi księża, przed pójściem na emeryturę, bywają często chorobliwie chytry i zdzierscy, chcąc zapewnić sobie spokojną starość.

Mając to wszystko na uwadze — czy dziwić się ludziom, że krytykują, a czasem nawet ubliżają księżom (najczęściej za ich plecami)?

Z perspektywy tego, co sam widziałem i o czym słyszałem z tzw. pierwszej ręki, najczęściej od naocznych świadków — oświadczam, iż tak jak dawniej (przed wstąpieniem do seminarium) dziwiło mnie i gorszyło, że nie wszyscy ludzie traktują księży z należytyym szacunkiem; tak obecnie dziwi mnie i gorszy całowanie kapłanów po rękach i w ogóle wyróżnianie ich spośród innych osób. Najczęściej wierni są zupełnie nieświadomi tego, co za ich plecami kombinuje duszpasterz. To nie jemu, a właśnie im — zapracowanym, ofiarnym ojcom, matkom, samotnym i opuszczonym — należy się szacunek i uznanie. Oczywiście są także wspaniali, a nawet świątobliwi kapłani, którzy cierpią za swoich współbraci, gdyż na nich samych spada ciężar złej opinii kolegów. To należy wytknąć wielu ludziom, iż zawiedzeni lub zgorszeni jednym księdzem, automatycznie przekreślają wszystkich innych.

Dwa lata kapłaństwa przekonały mnie również o mojej bezsilności wobec wszelkiego zła, które napotykałem na drodze powołania. Byłem i przez długie lata miałem być ciągle na najniższych szczeblach drabiny hierarchicznej Kościoła. Na tym poziomie należało tylko słuchać, wypełniać rozkazy i cieszyć się wygodnym, dostatnim życiem; które zapewnia praca na „niwie Pańskiej”. Prawdopodobieństwo, że zostanę biskupem lub papieżem aby cokolwiek zmienić było niewielkie. Po raz pierwszy pomyślałem o odejściu, ale tylko po to, aby z innej pozycji walczyć o przemianę litery i ducha Kościoła. Głos szeregowego księdza nie jest w ogóle brany pod uwagę. Nie ma po prostu takich potrzeb jak: demokracja, konsultacja, liczenie się z opinią wiernych — o wszystkim bowiem decyduje góra i dogmaty ustalone przez górę.

Wszystko jest dobre, pewne i prawdziwe – bo nad wszystkim czuwa Duch Święty. On właśnie jest gwarancją świętości Kościoła, nieomyłności papieża i prawdziwości głoszonej nauki. Duch Święty, według nauczania Kościoła, przemawia przez każdego przełożonego od proboszcza, aż do papieża.

Pytam się w związku z tym — czy Duch Święty przemawiał także przez księdza Jana Dupczyckiego z Ruśca, kiedy wbrew mojej woli nakłaniał mnie do współzycia? A może to ksiądz prałat Bogacki, dziekan aleksandrowski jest przekątnikiem Trzeciej Osoby Trójcy Świętej — szantażując ludzi, że nie pochowa zwłok jeśli nie dostanie wyznaczonej opłaty (1995r – 5 mln st. zł.).

Nie mam najmniejszych wątpliwości, iż Duch Święty działa w Kościele, ale tylko przez ludzi, którzy się boją Boga, a takich – wg słów Jezusa – więcej jest wśród „cudzołznic i celników” aniżeli w gronie faryzeuszów (ówczesnych kapłanów), których śmiało można przyrównać do dzisiejszych hierarchów Kościoła. To nie Bóg działa przez ludzi popełniających grzechy ciężkie, lecz szatan. To nie Duch Święty kierował poczynaniami świętej inkwizycji — skazującej na tortury i śmierć tysiące niewinnych ludzi — ale szatan zawładnął umysłami i duszami papieży, którzy ją powołali i przewodzili jej sądom.

Po raz pierwszy w życiu byłem w tak wielkiej rozterce. Z jednej strony wiedziałem o tym, że nie wolno mi pogodzić się z wypaczonym, zakłamanym systemem maszyny, której byłem małym trybikiem. Pogodzenie się z zastaną rzeczywistością oznaczało stopniowe równanie w dół. Oczywiście było dla mnie i to, iż aby być znakiem sprzeciwu — musiałem odejść z kapłaństwa. Tylko wtedy mój głos dotarłby do ludzi jako prawdziwe świadectwo człowieka; który mógł zostać, ale odszedł żeby dać świadectwo prawdzie i aby ta prawda dotarła omijając kościelną cenzurę. Wielu było w historii Kościoła reformatorów zatroskanych o jego dobro i autentyczność. Większość z nich zamęczyła inkwizycja, a współczesnych uznaje się za chorych psychicznie, oczernia i wyklucza z Kościoła. Pierwszemu Lutrowi udało się uniknąć śmierci. Jego zamiarem było zreformowanie, już wówczas anachronicznych struktur kościelnych, a gdy to okazało się niemożliwe — założył własny Kościół. Tak więc już historia uczy, że Kościół Rzymsko-Katolicki jest niereformowalny wewnątrz własnej struktury, a naprawić go można tylko poza nim samym.

Takie i inne myśli nurtowały mnie podczas przeprowadzki do Ozorkowa — mojej trzeciej i ostatniej placówki. Byłem wówczas o krok od opuszczenia kapłańskich szeregów. Trzymała mnie tylko nadzieja, która towarzyszy zawsze zmianie środowiska — parafii oraz względy praktyczne, a raczej materialne. Moją życiową pasją były i są podróże, na które w ciągu ostatnich dwóch urlopów wydałem dosłownie wszystkie zarobione pieniądze.

Oprócz paru mebli i starego samochodu, który zmuszony byłem kupić — nie miałem mieszkania ani żadnych środków do życia, nie mówiąc już o funduszach na reformowanie Kościoła. Największą jednak przeszkodą byli moi rodzice. Nie chciałem nawet myśleć o tym, jak wielkim ciosem byłoby dla nich moje odejście. Patrzyli we mnie niczym w święty obraz. Jakże naiwni byli w swoim postrzeganiu Kościoła i księży; nie bardziej zresztą niż większość gorliwych katolików. Postanowiłem stopniowo otwierać im oczy na różne sprawy, ale było to bardzo bolesne i trudne dla nas trojga.

Tymczasem jednak osiadłem w Ozorkowie, jako drugi wikariusz Parafii Matki Boskiej Królowej Polski. Proboszczem był ks. Józef Gryzik — kapłan ok. 50-ty, słusznej postury, z gęstą czupryną szpakowatych włosów. Od samego początku zrobił na mnie miłe wrażenie. Był to typ gawędziarza, przerośniętego chłopaka wychowanego na opowieściach Marka Twaina i książkach Szklarskiego. Największą radością i szczęściem był dla niego kontakt z przyrodą. Mógł być równie dobrze leśniczym czy gajowym, jak księdzem. Potrafił godzinami opowiadać o swoich wyprawach wędkarskich i łowieckich. Był to zresztą główny temat jego ... kazań. Niemal codziennie na parę godzin przepadał gdzieś z wędkami, strzelbą lub koszem na grzyby. Ja, jako okazyjny, ale także wędkarz — od razu przypadłem mu do gustu. Ks. Józef był człowiekiem łagodnego usposobienia, choć przy pierwszym poznaniu mógł sprawiać wrażenie szorstkiego. Podziwiałem jego wielkie zrozumienie dla spraw ludzkich, bytowych.

Potrafił wytłumaczyć swoich parafian dosłownie ze wszystkiego. Był pobłażliwy dla tych, którzy nie chodzą w niedzielę do Kościoła bo, np. mają małe dzieci albo cały tydzień ciężko pracują. Rozumiał małżonków żyjących bez ślubu kościelnego, bo może pochodzili z rodzin ateistycznych itp. Nigdy z jego ust nie słyszałem żadnego przytyku ani wymówki pod adresem ludzi zgromadzonych w świątyni czy też w kancelarii. Nigdy też, co należy bardzo mocno podkreślić, nie dopominał się pieniędzy od parafian. Zachęcał co najwyżej do prac fizycznych przy budowie plebanii i Kościoła. Często i szczerze dziękował za składane ofiary i pomoc. Następną rzeczą wartą podkreślenia jest fakt, iż w parafii księdza Józefa nie było nigdy ustalonych stawek za pogrzeby, śluby, chrzty i Msze. Zdarzało się nierzadko, że odprawialiśmy pogrzeb za 50.00 zł, tj. 1/10 tego, co brał prałat. Bywały również posługi darmowe. Takie podejście proboszcza do parafialnych finansów i księżowskiego uposażenia było ewenementem w skali całej archidiecezji. Parafianie doskonale zdawali sobie z tego sprawę i szanowali za to ks. Józefa i nas — jego dwóch wikariuszy. Mówiąc o „nas” myślę o sobie i ks. Darku Płysie, który w Ozorkowie był już od trzech lat. Ks. Darek był praktycznie proboszczem, a przede wszystkim — głównym duszpasterzem w parafii. Działo się tak, ponieważ ks. Gryzika nie zajmowały zbytnio sprawy związane z pracą duszpasterską — liturgia, kaznodziejstwo, kancelaria itp.

Zdecydowanie wolał pracę (nawet fizyczną) przy budowie domu parafialnego, odrzucanie zimą śniegu wokół kaplicy, a nade wszystko swoje wyprawy w plener. Jedną z niewielu wad ks. proboszcza było właśnie marginalne traktowanie duszpasterstwa. Bił on wszelkie rekordy w szybkości odprawiania Mszy Świętych i w głoszeniu kazań, których tematyka była co najmniej dziwna. Ks. Józef potrafił np. wygłosić homilię będącą streszczeniem artykułu z Wiadomości Wędkarskich, który szczególnie go zaabsorbował. Ks. Płys był bardzo koleżeński i serdeczny. Znałem go jeszcze z czasów seminaryjnych, kiedy razem byliśmy na pielgrzymce w Częstochowie. Obaj księża byli ogólnie lubiani i szanowani.

Ks. Darek jako duszpasterz (m.in. głosił wspaniałe kazania), a proboszcz jako budowniczy. Ja natomiast miałem dołączyć do tej grupy ze specjalizacją katechety. Uczyłem sześć klas ósmych oraz drugie i trzecie klasy liceum ogólnokształcącego. Jak wcześniej wspomniałem, parafia nie posiadała świątyni, która była w fazie projektowania, a jej funkcję sprawowała tymczasowo niewielka kaplica. Przy kaplicy był jeszcze osobny budynek, w którym mieściła się kancelaria i salonik — miejsce odpoczynku i naszych zebrań. Na tyłach terenu przeznaczonego pod Kościół prowadzono budowę ogromnego domu parafialnego i plebanii. Ksiądz proboszcz mieszkał na razie w małym, zaniedbanym domku obok kaplicy.

Mój starszy kolega miał mieszkanie w sąsiedniej parafii, w centrum Ozorkowa, skąd dojeżdżał ok. 2 km. Ja natomiast mieszkałem... w bloku, naprzeciwko kaplicy, w małym dwupokoikowym mieszkanku na czwartym piętrze. Mocnym punktem parafii była silna obsada ministrantów na poziomie szkoły średniej.

Parafia Królowej Polski liczyła ok. 10 000 tyś. mieszkańców i była, jak dotychczas, moją największą. Oprócz niej istniała w Ozorkowie druga, w której rezydował dziekan. W parafii tej prowadzono tzw. duszpasterstwo tradycyjne, oparte na stałym cenniku „usług”, sobie-państwie i teorii wyższości stanu duchownego nad pospólstwem. Na tle wyraźnego zróżnicowania w metodach duszpasterzowania pomiędzy naszymi parafiami dochodziło między nami często do sporów i utarczek słownych, zwłaszcza między dziekanem i moim proboszczem (wicediekanem), a także księdzem Darkiem, który mieszkał na terenie konkurencji. Ks. dziekan zarzucał nam zbytnią pobłażliwość w traktowaniu ludzi, zwłaszcza interesantów w kancelarii. Tak naprawdę chodziło mu o dobrowolne ofiary, z których słynęła nasza parafia.

Nie mógł też przeżyć, że nasza kaplica pękała w szwach, podczas gdy jego Kościół świecił pustkami. Nic dziwnego skoro połowa jego parafian przychodziła do nas.

Praca w parafii nie była zbyt ciężka. Ministrantami opiekował się ks. Darek. Najwięcej wysiłku, żeby nie powiedzieć zdrowia, kosztowała mnie katechizacja w ósmych klasach. Wśród tej dorastającej młodzieży widać było aż nazbyt wyraźnie braki i zaniedbania wychowawcze rodziców, zwłaszcza matek. Jest to powszechne zjawisko w środowisku Łodzi i podłódzkich miast. Łódź słynąca z przemysłu lekkiego, którego siłą napędową były i są kobiety, jest środowiskiem chyba najbardziej zaniedbanym wychowawczo. Kobiety z Łodzi, Pabianic, Zgierza, i Ozorkowa — pracujące przy krosnach i maszynach przedział-nianych — widzą swoje pociechy zazwyczaj późnym wieczorem, gdy wracają z pracy. Odbija się to wydatnie na wychowaniu dzieci i młodzieży. W porównaniu z katorżniczą pracą w podstawówce, katecheza w liceum sprawiała mi prawdziwą satysfakcję. Tutaj czułem się na swoim miejscu i na nowo zacząłem realizować „swój” system wychowawczy, oparty na partnerstwie (sam ciągle czułem się licealistą) i otwartości.

Wydawać by się mogło, że wreszcie znalazłem parafię dla siebie, księży współpracowników niemal bez zarzutu, a w perspektywie roku — przeprowadzkę do apartamentu w nowej plebanii. Bliskość rodzinnego miasta była kolejnym, ważnym atutem. Stosunkowo niewielka odległość od Łodzi pozwalała mi bez przeszkód kontynuować studia doktoranckie na akademii. Samo miasto, pomimo sąsiedztwa wielkiej aglomeracji, było ciche i urokliwe. Ozorków nie był jednak bezludną wyspą. Często odwiedzali mnie koledzy-księża, przywożąc nierzadko zatrważające wieści z terenu. Opowiadali o swoich proboszczach, różnych nadużyciach i świństwach.

Mimo ustabilizowanego życia osobistego i zawodowego, coraz bardziej narastał we mnie sprzeciw wobec zakłamań systemu, którego byłem częścią. Postanowiłem rozmawiać na ten temat z innymi księżmi. Niemal w każdym przypadku spotykałem się z tą samą sentencją — siedź cicho, jak ci dobrze! Swoimi wątpliwościami podzieliłem się z moim byłym spowiednikiem — ojcem duchownym z seminarium. Ojciec wstrząśnięty moimi uwagami zalecił mi ćwiczenia w pokorze i nadał ciężką pokutę. Niestety, wątpliwości ciągle narastały; co więcej – zacząłem mieć pewność, że to jakiś wewnętrzny głos, nadludzka moc popycha mnie do wielkiego dzieła. Dziełem tym miała być przemiana Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Postanowiłem, iż poświęcę swoje życie tej właśnie sprawie. Nie miałem właściwie wyboru — to postanowienie stało się moją obsesją. Wiedziałem i wiem nadal, że zrodziło się to pod natchnieniem samego Boga i z Jego woli. Równocześnie powstała we mnie idea napisania tej właśnie książki.

Po wielu godzinach modlitw, w których prosiłem Boga, abym mógł jak najlepiej rozeznaczyć Jego plany wobec mnie — powziąłem ostateczną decyzję o odejściu z kapłaństwa. W rozmowie z moim proboszczem zwierzyłem się ze wszystkiego, co leżało mi na sercu i powiedziałem o moim postanowieniu. Ksiądz Józef, którego również bolały ciemne strony Kościoła, wyraził swoje zrozumienie dla mojej decyzji, a przede wszystkim podziwiał odwagę i determinację, która mną kierowała.

Osobiście miałem chwile zwątpienia — czy rzeczywiście mogę zmienić coś, co skostniało i utrwaliło się przez setki lat, a w dodatku ma tak moźnych i wpływowych strażników. W tej samej chwili przyszły mi na myśl słowa Jezusa mówiące o tym, iż to co u ludzi jest niemożliwe, jest możliwe u Boga. Jeśli On mi pomoże, to nic nie powstrzyma Jego własnych planów.

Przed ostatecznym opuszczeniem parafii chciałem odbyć jeszcze jedną rozmowę. Pragnąłem otworzyć się przed człowiekiem, któremu

ślubowałem życie w celibacie oraz cześć i posłuszeństwo; który w geście apostołskim włożył ręce na moją głowę, pobłogosławił mnie i obdarzył swoim zaufaniem. Niestety, ksiądz arcybiskup Władysław Ziółek był wtedy gdzieś na drugim końcu świata, a po jego przyjeździe przez ponad miesiąc nie mogłem u niego uzyskać audiencji. Być może tak właśnie miało się stać, żeby mój przełożony dowiedział się o wszystkim z tej książki – jak wszyscy inni. Nie czułem się zobowiązany wobec tego człowieka. W końcu to nie on mnie powołał i uczynił kapłanem, ale sam Jezus Chrystus. Tak naprawdę, to nie jemu ślubowałem w czasie święceń, ale samemu Bogu. Co się zaś tyczy samych ślubów, które uczyniłem – nie było to dla mnie żadną przeszkodą w odejściu od kapłaństwa, bo wiem, że tak naprawdę wcale nie odszedłem. Nigdy nie przestanę być uczniem Chrystusa, który zostawił wszystko i poszedł za Nim, aby głosić Jego naukę. Ciągle żywe jest we mnie powołanie i pragnienie bycia pasterzem w Jego Owczarni. Wierzę głęboko, iż nadejdzie taki dzień i stanę na nowo przy Jego ołtarzu, ale już w nowym, lepszym Kościele, w którym kapłani i wierni będą czcili Boga „w Duchu i prawdzie”.

ROZDZIAŁ VIII

Konieczność zmian w Owczarni Chrystusa

Aby uniknąć niepotrzebnego zamieszania związanego z moim odejściem, przeczekałem okres urlopów. W przeddzień księżowskich przeprowadzek pożegnałem się serdecznie z księdzem proboszczem i księdzem Darkiem. Do dzisiaj łączą mnie z nimi przyjacielskie kontakty. W ciągu jednego dnia znalazłem i wynająłem niewielkie mieszkanie pod Łodzią i tam zamieszkałem. Aby zarobić na utrzymanie założyłem niewielką firmę produkcyjną.

Od samego początku zacząłem jednak pisać tę książkę, bo wiedziałem, że ona musi powstać. Jakaś wewnętrzna Siła kazała mi każdą wolną chwilę poświęcać jej powstaniu. Teraz wydaje mi się to oczywiste — niemożliwa jest naprawa błędów i przemiana na lepsze, bez uprzedniego ukazania tychże błędów oraz ich skutków. Aby pokazać komuś właściwe rozwiązanie, należy wpięrw odwieść go od złych metod i dróg, które obrał.

Moja książka, jest pierwszym i jedynym w swoim rodzaju świadectwem byłego księdza z kraju papieża. Nie piętnuje ona kapłańskich wad i słabości, ale zakłamanie systemu kamuflującego te wady; systemu, który z góry niejako wyklucza istnienie takich wad i słabości u „nadludzi”. Tak naprawdę jednak, są oni na nie podatni jak wszyscy inni, a nawet o wiele bardziej, gdyż ich postawa jest naturalną obroną przed nienormalnym i nieludzkim sposobem życia, do którego są naginani. Niektóre wymogi Kościoła względem księży, takie jak np. celibat i bezwzględne posłuszeństwo w głoszeniu nauk całkowicie niezgodnych z ich wewnętrznym przekonaniem, wypaczają sumienia głosicieli Słowa Bożego i są w konsekwencji powodem ich upadków. Poza tym, najzwyczajniej w świecie, niezdolni są unieść „ciężarów nie do uniesienia”(6). Są bowiem tylko ludźmi — jedni lepszymi, drudzy gorszymi.

(6) Patrz Ew. Mt. 23, 3-5.

Kapłan żyje w ciągłym konflikcie z samym sobą, a także w zakłamaniu — to demoralizuje jego samego, a w konsekwencji także ludzi, którzy słusznie upatrują w nim wzoru do naśladowania. Takie życie pociąga za sobą cały szereg następstw. Wielu księży cechuje: egocentryzm i pycha. Samotność i postawy krytykanckie wobec nich są powodem nieufności względem ludzi świeckich, ucieczki w alkoholizm, a często zupełnej izolacji i wyobcowania ze środowiska. Jakże częstym obrazkiem jest proboszcz albo wikary spieszący pędem na plebanię po skończonym nabożeństwie. W powszechnej praktyce jest np. sztubacki zwyczaj kupowania przez księży nowych samochodów ludzako podobnych do tych, którymi jeździli poprzednio po to, aby „nie spadła ofiarność”.

Przytłoczeni z jednej strony nieograniczoną władzą biskupa, a z drugiej strony zaszczuci przez własnych wiernych — słudzy Kościoła wykształcili w sobie postawę obrony, dystansu wobec otoczenia oraz cynizmu — w czym są prawdziwymi mistrzami. Niestety bywają na tym tle duże przegięcia. Księża, „otrzaskani” ze świętościami, szyczą nawet ze swej sakramentalnej i duszpasterskiej posługi; z ludzi angażujących się do różnych prac przy parafiach, wspierających Kościół ofiarami i modlitwą. Dla przykładu — starsze kobiety najczęściej nawiedzające świątynie i członkinie kółek różańcowych nazywane są przez księży „żabami kropielniczymi”; a starsi mężczyźni — „dziadami kościelnymi” itp.

Wzajemne stosunki między księżmi również pozostawiają wiele do życzenia. Powszechna jest zazdrość o lepszą, bardziej dochodową parafię; donoszenie na kolegów do biskupa itp. Proboszczowie, aby zjednać sobie przychyłność „góry” prześcigają się w dogadzaniu biskupom, ubóstwianiu ich i „rozpuszczaniu” na wszelkie możliwe sposoby. Duża, niekontrolowana władza proboszczów (często starszych i zdziwaczałych) nad wikariuszami, jest powodem wielu konfliktów, które nierzadko przybierają formy drastyczne, a niekiedy wręcz tragiczne.

Osobnym tematem jest panujący wśród kleru kult pieniądza, traktowanego najczęściej jako dobro zastępcze — na zasadzie — nie mogę mieć tego, co mają inni więc będę miał to, czego inni nie mają lub co pragną mieć. Nie będzie wielką przesadą jeśli powiem, iż dzisiejszym Kościołem rządzą pieniądze. Pomiedzy księżmi istnieje ciągła rywalizacja o największe i najbogatsze parafie. Normalnym zjawiskiem jest kupowanie u biskupów godności kościelnych — kanonika i prałata. Właśnie biskupi są prawdziwymi finansowymi krezusami. Mają oni nieograniczony dostęp do ogromnych pieniędzy napływających z diecezji.

Każda parafia jest opodatkowana na rzecz utrzymania kurii, biskupów, licznych przedsięwzięć i fundacji kościelnych, m.in. budowy nowych świątyń, utrzymania seminarium, diecezjalnego caritas, misji w krajach trzeciego świata oraz na potrzeby papieża i funkcjonowanie Państwa Kościelnego — Watykanu. Kardynałowie i biskupi w sposób zupełnie niekontrolowany mogą korzystać i faktycznie korzystają z tej góry pieniędzy.

Księżęta Kościoła, zajęci ciągłą troską o jego rozrost, potęgę i dobro — zagubili gdzieś po drodze wskazania Jezusa o: ubóstwie, skromności, prawdziwej pokorze, trosce o zagubione owce, dzieleniu się wszystkim z potrzebującymi, głoszeniu czystej Ewangelii, nie mieszaniu się do spraw świata (czyt. polityki)(7), byciu „żywym przykładem dla stada”. Wynikiem tego — postawa dzisiejszych następców apostołów stanowi zadziwiającą kwintesencję starotestamentowego faryzeizmu ze współczesnym konsumpcjonizmem oraz pragnieniem władzy i dominacji. Koniecznym zatem krokiem w kierunku uzdrowienia Kościoła, szczególnie w naszym kraju, jest uporządkowanie jego finansów — poddanie ich wnikliwej kontroli.

Na tej samej zasadzie należy poddać kontroli i ujawnić (dziś skrzętnie ukrywane) faktyczne uposażenie księży, a zwłaszcza proboszczów i biskupów, którzy sami regulują sobie własne wynagrodzenia. Najlepszym wyjściem byłoby wypłacanie księżom pensji tak, jak to się dzieje np. w Niemczech lub też ustalenie powszechnie obowiązujących, rozsądnych stawek za posługi duszpasterskie. Instytucja tzw. rad parafialnych, tak powszechna na zachodzie — gdzie kierują one finansami i inwestycjami niemal każdej parafii — w Polsce faktycznie nie istnieje. Trzeba koniecznie dokonać rozróżnienia pomiędzy autonomicznym charakterem Kościoła i jego czcigodnymi tradycjami, a zdroworozsądkowymi metodami funkcjonowania ogromnej instytucji, która wchodzi w XXI wiek i jest kierowana przez ludzi, a nie przez aniołów.

(7) Patrz Ew. Mk. 12, 17.

Nie dziwi mnie postawa większości katolików w naszym kraju, którzy widząc wynaturzenia systemu jaki panuje w Kościele Katolickim — po prostu go nie popierają; poprzez, m.in. nieobecność na Mszach Świątecznych w niedziele i święta.

Nie namawiam tutaj do postaw areligijnych lub, co gorsza, do indyferencji moralnej czy religijnej — wręcz przeciwnie! Oczywiście jest jednak, iż ludzie są dzisiaj bardziej świadomi i mają naturalne prawo wyboru. Naturalnym, zdrowym odruchem człowieka, który widzi zło i fałsz jest unik, nieufność, obrona, a często wrogość.

W ciągu trzech urlopów w kapłaństwie, odwiedziłem kilkanaście krajów Europy Zachodniej i Południowej; Pomocną Afrykę oraz Kanadę. Wszędzie obracałem się w środowisku Kościoła Katolickiego, a także wśród protestantów. Próbowałem poznać dokładnie struktury tamtejszych Kościołów, zaangażowanie wiernych oraz wpływ jaki wywiera na nich głoszona nauka.

Obserwowałem wnikliwie życie kapłanów. Po tych wszystkich doświadczeniach doszedłem do kilku wniosków:

1. System panujący w całym Kościele Katolickim jest wadliwy (celibat księży, brak struktur demokratycznych, błędy w nauce dotyczącej moralności seksualnej — antykoncepcji, rozwodów itp.)
2. Kościół w Polsce jest najpotężniejszy ze wszystkich Kościołów na świecie (największa ilość księży i biskupów, największy majątek, największe wpływy na życie społeczne i polityczne w państwie).

Cały paradoks polega jednak na tym, że oddziaływanie naszych kapłanów na wiernych jest znikome, porównywalne do takich krajów jak Albania czy Obwód Kaliningradzki. Najbardziej na świecie wpływowy Kościół nie ma prawie żadnego wpływu na kształtowanie sumień i morale swoich wiernych. Siła Kościoła i jego pasterzy — miast być oparta na ewangelicznych radach (pokory, ubóstwa, przebaczenia, pracy u podstaw, miłości i opieki nad najbardziej potrzebującymi) — jest sztucznie rozdmuchiwana przez wysokich rangą dostojników i podsycana masówkami, które są coraz mniej masowe. Zadufanie w swoją potęgę, ciągle wiece i świętowania — przy jednoczesnym braku ascezy i autentycznej niezbędnej przemiany — zgubiły już wielkie Cesarstwo Rzymskie. Wszystko wskazuje na to, że zguba czeka też Kościół Rzymski, jeśli się w porę nie opamięta. Odnowa Kościoła musi iść w kierunku zmian systemowych z jednoczesnym podniesieniem wartości świadectwa życia kapłanów i świeckich. Ma to prowadzić do rzeczywistych zmian w świadomości ludzi wierzących.

Zasłyszane w świątyni Słowo Boże, poparte przykładnym życiem kapłana, który je przekazuje — padnie wówczas na podatny grunt ludzkich serc i wyda stokrotne plony w postaci nawróceń i dobrych uczynków. Jezus Chrystus powiedział, że właśnie „po owocach” poznamy Jego prawdziwych uczniów, a sama „wiara bez uczynków — martwą jest”.

Kościół dzisiaj sili się na spektakularne, tanie efekty i działania, które mają roztoczyć wokół niego przyjazną atmosferę i stworzyć wrażenie postępu. Myślę tu na przykład o tzw. chrześcijańskim rocku, tęczęj barwie ornatów na paryskim spotkaniu papieża z młodzieżą, nagłaśnianych akcjach pomocy Caritasu po powodzi, odcięciu się Glempa i Pieronka od wypowiedzi Jankowskiego itp. Tak samo pozorne było odżegnywanie się papieża od antysemityzmu, bo nie poparte autentyczną skruchą wobec autentycznych rozmiarów winy Kościoła.

Obok tych populistycznych zagrywek, można również zaobserwować nieliczne próby naginania starej doktryny (której przecież zmienić nie można) do nowych czasów i ciągle ewoluującej rzeczywistości. Jednym z przykładów może być łaskawe przyzwolenie Kościoła na naturalne metody zapobiegania ciąży, choć jeszcze niedawno wszelka ingerencja myśli ludzkiej w dziedzinę płodności była niedopuszczalna.

Konieczne jest ujawnienie zjawisk, które w przeszłości i obecnie, na szeroką skalę deprawują samych duchownych i gorszą rzesze wierzących. Zjawiska te są tylko następstwami niehumanitarnych i nienormalnych praw, którymi kieruje się Kościół. Łamanie tychże praw, np. celibatu, zakazu stosowania antykoncepcji, rozwodów, zapłodnienia in vitro itp. — na skalę masową — stwarza zamknięty krąg deprawacji sumień i zachowań ludzi, którzy noszą w sobie pragnienie życia zgodnego z wolą Bożą.

Szukają jej w Kościele, ale zamiast woli Bożej i wykładni Bożych przykazań, wtłacza się im tam przepisy prawa ludzkiego pod etykietką „nadprzyrodzone”. W konsekwencji wierni szukający Boga znajdują nakazy hierarchów Kościoła; bardzo trudne do wykonania, a często niewykonalne — gdyż sprzeczne z naturą ludzką (np. celibat). Kościelne nakazy prawne najczęściej nie mają nic wspólnego z prawem Bożym. Są za to obwarowane wieloma sankcjami (np. dla rozwodników) i karami grzechów ciężkich — śmiertelnych.

Spowiadałem osobiście, a także rozmawiałem z wieloma bardzo wartościowymi, wierzącymi ludźmi, o wrażliwych sumieniach. Ci wspaniali katolicy, będąc ciągle w konflikcie z własnym sumieniem, ulegają czemuś co mogę nazwać auto-deprawacją. Chcą oni wierzyć nauce Kościoła i wypełniać ją, ale ponieważ przekracza to ich możliwości — wybierają dwie drogi: albo trwają do końca życia w wyrzutach sumienia popełniając „grzechy kościelne”, albo też wybierają wyjście pod hasłem — skoro i tak nie mogę, to nie będę się wysilał. Niestety, w tym drugim przypadku prawo ludzkie — kościelne eliminuje się na równi z prawem Boskim. Obie te drogi są zabójcze dla jednostek i dla całej społeczności.

Mamy w tym miejscu jedną z prób odpowiedzi na pytanie — dlaczego w krajach katolickich, np. w Polsce ludzie wierzący postępują wbrew zasadom swojej wiary? Pan Jezus, jak zwykle przewidział taki obrót sprawy i przestrzegał sobie współczesnych, a także nas wszystkich słowami: „strzeżcie się kwasu faryzeuszów i saduceuszów”(8) i w innym miejscu — „czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą (przyp. — o ile przekazują naukę otrzymaną od Boga), lecz uczynków ich nie naśladowajcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać...”(9).

(8) Patrz Ew. Mt. 16, 11.

(9) Patrz Ew. Mt 23, 3-5 oraz 23, 13-36.

Te i inne słowa Jezusa odnoszące się do kapłanów i uczonych w piśmie — śmiało odnieść możemy dzisiaj do papieża, biskupów i wszystkich hierarchów Kościoła Rzymsko-Katolickiego, strzegących depozytu własnych nakazów i zakazów, a przede wszystkim własnych interesów. Książęta Kościoła — jak sami siebie nazywają — sądzą, że utrzymywanie człowieka w ciągłym konflikcie z własnym sumieniem ma go związać z Kościołem i uczynić z niego pokorną owieczkę.

Takie właśnie owieczki najłatwiej jest omamić, uzależnić i wykorzystać finansowo. Nie należy bynajmniej winą za taki stan rzeczy obarczać szeregowych kapłanów, którzy sami są w pewnym sensie ofiarami, będąc bezwolnymi narzędziami w rękach swoich, wyższych rangą przełożonych.

Ogromne szkody Chrystusowej Owczarni przysparza dziś zamknięty krąg wzajemnych powiązań — nie do rozwiązania na obecnym etapie, bez gruntownych zmian.

Pierwszym ogniwem są sami księża, których sumienia i charaktery wypaczane są przez błędy systemu, jaki ich kształtuje. Mając na ogół świadomość głoszenia fałszu i obłudy, trudno jest im zaangażować się w to, co robią. Nie są oni w związku z tym autorytetami dla ludzi wierzących, a zwłaszcza dla młodzieży. Zamiast świadczyć swoim życiem o Bogu kombinują, jak bezkarnie łamać śluby złożone w czasie święceń — organizując sobie na boku drugie życie. Angażują się w politykę i wyciskają z ludzi, ile się da.

Tymczasem ludzie naprawdę potrzebują autorytetu i przykładu ze strony kapłana. Jednak to, co głoszą księża, przechodzi nad głowami wierzących w Kościołach — gdyż księża nie żyją tak, jak mówią. Zakłęty, szatański krąg się zamyka, a jego rezultatem jest brak pozytywnego oddziaływania Kościoła Katolickiego na społeczeństwo.

Mówienie o przytłaczającej większości ludzi wierzących w Polsce jest nonsensem, ponieważ w naszym kraju wytworzył się już zwyczaj, tradycja — uczestnictwa w niedzielnej i świątecznej Mszy Świętej, Chrzcie, I-szej Komunii, Bierzmowania czy też ślubu kościelnego — która ma niewiele wspólnego z prawdziwym przeżywaniem tych Sakramentów i samej wiary. Zwyczajowy Chrzest dziecka — wiąże je statystycznie z Kościołem, aż do pogrzebu. Tymczasem ludzie w trakcie swego życia często tracą wiarę albo nigdy do niej nie dochodzą i to głównie z winy Kościoła, który szczyci się milionami „katolików z metryki”.

Widocznymi skutkami oddziaływania Kościoła na polski naród są: szerzący się coraz bardziej indyferentyzm religijny, ateizm, postawy wrogie Religii Katolickiej, gwałtowny spadek powołań w seminariach duchownych (notowany ostatnio na całym świecie), ciągły spadek uczestnictwa wiernych w nabożeństwach; wzrost przestępczości pod każdą postacią itp. Najbardziej katolicki kraj na świecie, jakim jest Polska, ma jedną z najgorszych opinii. Polscy katolicy rozwodzą się i zdradzają na potęgę, piją ponad miarę, okradają sklepy na zachodzie; przemycają narkotyki, kradzione samochody i cokolwiek się da.

Wierni z kraju papieża, przyjeżdżający na pielgrzymki do Watykanu — ogołocili największy tamtejszy sklep kradnąc: krzyżyki, medali-ki, święte obrazki i inne dewocjalia! Pielgrzymi z Polski, po niedzielnej audiencji u papieża, zapełniają największe rzymskie targowiska handlując przeważnie wódką i papierosami. Znany jest fakt emigracji setek, rdzennie polskich, katolickich rodzin i osób prywatnych do Izraela; gdzie po przyznaniu się do Judaizmu — otrzymywały one mieszkania i dobrze płatną pracę. Jeśliby zrobić sondaż w polskich więzieniach, okazałoby się, iż ogromna większość skazanych morderców, złodziei, aferzystów — to wierzący, a nawet praktykujący katolicy.

Niedawno opinię publiczną Pabianic poruszyło okrutne morderstwo popełnione na starszym mężczyźnie. Zbrodniarzami okazali się dwaj nieletni chłopcy — gorliwi ministranci jednej z miejscowych parafii.

Takie i podobne przykłady można by mnożyć w nieskończoność. To nie są ani wyjątki potwierdzające regułę, ani też sporadyczne wybryki, ale wyraźny objaw ciężkiej choroby „katolickiego społeczeństwa”. Chory jest cały organizm Kościoła, a więc także my — jego członki. Autokratywne rządy Kościoła Katolickiego zbierają wielkie żniwo w postaci wypaczonych, zdeprawowanych sumień pokoleń Polaków, którzy „dzięki” nauce swoich pasterzy wykształcili w sobie mentalność i postawy religijne, mające jednak niewiele wspólnego z mentalnością i postawami ludzi prawdziwie wierzących.

Doszło do tego, że nieznanomość elementarnych prawd wiary i podstawowych chrześcijańskich modlitw stała się niemal domeną Katolicyzmu. Młodzi ludzie, przystępujący do Bierzmowania czy też zawierający związki małżeńskie, nie znają często Modlitwy Pańskiej i nigdy w swoim życiu nie mieli w rękach Pisma Świętego! Nic dziwnego skoro większość księży, stosując się do przepisów prawa kanonicznego, skłonna jest bardziej wymagać od nich niezbędnych dokumentów i stosownej wpłaty, aniżeli wiedzy o Bogu i dowodów na autentyczne przeżywanie własnej wiary. Czy dziwić nas mają postawy objętości, negacji, a nawet wrogości wobec Kościoła?!

Trudno nie obarczać winą za taki, a nie inny stan rzeczy, samej głowy tego ogromnego organizmu. To papież pociąga za wszystkie sznurki i on jest najwyższym prawodawcą w Owczarni Jezusa. Myślę tu o każdym kolejnym następcy Św. Piotra. Nasz wielki rodak, piastujący obecnie tę godność — obdarzany słusznie szacunkiem i uznaniem całego świata za swoje nieocenione i liczne zasługi — sam przytłoczony jest skostniałą, narosłą przez wieki tradycją. Przy najlepszej woli i ogromie dzierzonej władzy, trudno jest mu zapewne wznieść się ponad struktury w których sam wyrósł. Samo skupienie tak ogromnej władzy w ręku jednego, słabego człowieka, jest już poważnym błędem i anachronizmem.

Władca na ziemi posiada oficjalnie ukonstytuowaną, z mandatem nieomyślności, władzę Boga na Niebie. Już karty Pisma Świętego, nie mówiąc o historii Kościoła, dowodzą, że nawet „pierwszy uczeń” — którego Jezus nazwał „opoką”, ale też... „szatanem” może zaprzeć się swego nauczyciela i mylić się — tak przed, jak i po ukrzyżowaniu.

Współcześni uczeni w Piśmie opierając się na sławnym dialogu Jezusa z Piotrem(10), uważają każdego następcę Piotra za nieomyślnego geniusza, w którym bez przerwy przebywa Duch Boży, będący Źródłem nadprzyrodzonego oświecenia. Tymczasem prawda jest taka, iż nigdy w historii Kościoła — aż do 1870 r. kiedy to Pius IX ogłosił dogmat o papieskiej nieomyślności — nie było w ogóle takiego przeświadczenia. Co więcej, biskupi Rzymu — papieże we wczesnych wiekach nie byli uważani za następców Świętego Piotra i sami siebie za takich nie uważali. Sam Piotr traktowany był co najwyżej jako „pierwszy spośród równych”, bez jakichkolwiek praw panowania nad pozostałymi. Nie miał też żadnego następcy — jak zgodnie twierdzą Ojcowie Kościoła. Za sukcesorów wszystkich apostołów uważano powszechnie wszystkich biskupów. Cała władza ustawodawcza Chrystusowej Owczarni, aż do czasów współczesnych, spoczywała w rękach Soborów i była oparta na świadomości i wierze wszystkich chrześcijan.

Tymczasem przez całe stulecia biskupi Rzymu byli często powodem zgorzienia dla całego Chrześcijaństwa — głosili herezje, mordowali, kradli, pławili się w nieczystości utrzymując prostytutki i całe haremy. Z racji swego urzędu kierowali Państwem Kościelnym, nie wyróżniając się niczym od innych ówczesnych władców. Swoją uprzywilejowaną pozycję w biskupim gremium zawdzięczali jedynie dwóm historycznym faktom: Rzym przejął rangę stolicy świata po upadłym Cesarstwie; apostołowie Piotr i Paweł zginęli i zostali w nim pochowani.

Papieże błędzili i mylili się zbyt często, aby komukolwiek przyszło do głowy doszukiwać się u nich jakichkolwiek szczególnych przymiotów, a tym bardziej Światła Ducha Świętego, które oświecało dawniej apostołów — po ich śmierci zaś wszystkich biskupów, jako pasterzy całej Owczarni Jezusa.

(10) Patrz Ew. J. 21, 15-19.

Dopiero kilku ostatnich papieży wykorzystało wzrost potęgi Kościoła, a tym samym swojego urzędu — stosując czystki oraz metodę kija i marchewki — dokonało odwrotu od uświęconych tradycji. Skupili oni w swych rękach pełnię władzy i nadali jej prymat nieomyślności. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Papieże zaczęli sobie rościć prawo do ustalania wszelkich norm i reguł dotyczących życia całego Kościoła, wszystkich wiernych i każdego ochrzczonego z osobna.

Dwa ostatnie stulecia są również naznaczone ciągłą papieską ingerencją w wewnętrzne sprawy państw i narodów. Sam Watykan oraz biskupi na czele z prymasami, wykonując dyrektywy Watykanu, przez cały XIX wiek wywierali presję na parlamenty i rządy, aby te ograniczyły wolności obywatelskie w swoich krajach. Atakowano konstytucje, które nie zabezpieczały należycie interesów Kościoła, dawały ludziom prawo wyboru religii i wyznania, gwarantowały wolność sumienia, przyznawały równe prawa Żydom itp.

Jeśli chodzi o tych ostatnich to mało kto wie, iż dopiero nasz papież położył kres prześladowaniom, pogardzie i filozofii odwetu, która od niemal dwóch tysięcy lat kierowała poczynaniami hierarchów katolickich w odniesieniu do tych, którzy byli „winni śmierci Chrystusa”. W naszym Kraju nadal wielu księży, wyrosłych na tej filozofii, hołduje ideologiom skrajnie nacjonalistycznym i faszystowskim – w myśl zasady: Polak – katolik, Żyd – morderca. Takie i podobne reakcyjne myśli zaszczepia się ludziom (w sposób jawny bądź zakamuflowany) w kazaniach, homiliach oraz dzieciom na katechezie. Jeden z proboszczów wykrzykiwał kiedyś na obiedzie odpustowym, w którym brałem udział – „Żydostwo się panoszy! Potrzeba nam drugiego Hitlera!!!” Nie bez powodu pomiędzy Państwem Kościelnym a III Rzeszą nigdy nie było rozdźwięku, istniał ścisły związek ideowy i ... wspólnota interesów.

Papieże tytułujący się „Panami Świata” nieustannie próbują naginać ten świat do swoich „nieomyślnych” wyroków. Jak to wygląda u nas – nie muszę chyba opisywać. Wspomnę tylko, że mój kolega-ksiądz pracujący w Niemczech, wielokrotnie w rozmowach ze mną, określał Polskę mianem „drugiego Iranu” – mając na względzie fanatyzm religijny hierarchów kościelnych i bezkrytyczną postawę dużej części społeczeństwa. Świątłych katolików denerwuje zwłaszcza (i słusznie) wtrącanie się Kościoła w politykę oraz obsesyjna wręcz „dbałość” i kontrola najbardziej intymnych sfer życia ludzkiego. Biskupi i księża, pod naciskiem doktryny Watykanu, skłonni są niemal wchodzić ludziom pod pierzyny, a samym kobietom – wprost do

pochwy. Zawsze bardzo irytowało mnie kiedy słyszałem o kapłanach, którzy z lubością prowokowali podczas spowiedzi swoich penitentów do wyjawiania najdrobniejszych szczegółów z ich życia seksualnego, małżeńskiego czy rodzinnego; stawiając przy tym jednoznaczne diagnozy i wymagania. Uważam, iż takie niesmaczne zachowania są pogwałceniem podstawowego prawa prywatności i wolności jednostki. Dostojnicy Kościoła oraz szeregowi księżcy nie powinni zajmować się czymś, na czym się nie znają i pozostawić ludziom możliwość wyboru w takich kwestiach jak: ilość dzieci, antykoncepcja, sposób zaspokajania popędu, masturbacja itp. Tymczasem postanowienia i regulacje dotyczące życia świeckich nie są nawet z nimi konsultowane. Śmiem twierdzić, iż nawet papieże nie mogą „zawiazywać i rozwiązywać” wszystkiego. Ponad ich ustawami istnieje bowiem prawo naturalne, nienaruszalne — dane przez Boga i zapisane w sercu każdego człowieka.

Jak papież, uważający się za stróża tegoż prawa, może go jednocześnie odmawiać księżom, zakonnikom i siostram zakonnym — nakazując im życie w celibacie i czystości, wbrew Boskiemu przykazaniu: „bądźcie płodni i rozmnażajcie się”?(11) Jak Piotrowie naszych czasów mogli usankcjonować życie w samotności i bezżenności (Św. Piotr miał żonę i teściową)¹², skoro sam Bóg powiedział, że — „nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam” i... stworzył dla niego niewiastę?

(11) Patrz Rodz. 1, 28. ¹²Patrz Ew. Mt. 8, 14-15

Celibat jest nie tylko pogwałceniem naturalnego prawa każdego człowieka do małżeństwa, ale również w sposób znaczący uchybia godności związku mężczyzny i kobiety, gdyż Kościół stawia bezżenność (jako doskonalszy stan życia) ponad tym związkiem. Stanowi to naruszenie jednego z głównych przesłań Pisma Świętego, które mówi o świętości i najwyższej randze małżeństwa. Powodem dla którego wprowadzono celibat nie jest czystość, ponieważ nigdy nie potępiano księży za konkubinat. Chodzi tu raczej o kontrolę nad nimi i ich pełną dyspozycyjność, a jednym ze źródeł jest odwieczne deprecjonowanie kobiet przez Kościół.

Nie bierze się przy tym pod uwagę uczuć i pragnień księży, a tym bardziej tego co czują ich konkubiny — nieszczęśne, poniżane; zmuszane często całymi latami do ukrywania swojej miłości i swoich ukochanych. Kto jednak przejmuje się ich losem, skoro każda kobieta, która odbiega od wzoru Matki Najświętszej dostaje do wzoru Ewy — pierwszej grzesznicy i kusicielki. Według nauki Kościoła każde zbliżenie kobiety i mężczyzny, jak również każde poczęcie dziecka (także w małżeństwie) jest grzeszne. Wolne od winy jest jedynie „Dziewicze Poczęcie”, ale to – z przyczyn zrozumiałych — jest już trudne do naśladowania. Przy takim podejściu naturalne jest poniżanie kobiet i ciągłe obstawanie Kościoła przy celibacie.

Czy takie stawianie sprawy przez papieża nie jest stawianiem się człowieka, zwierzchnika instytucji, ponad Bogiem — Najwyższym Prawodawcą? Moje doświadczenia dowodzą, iż życie w celibacie już w seminarium duchownym jest przyczyną wielu frustracji i dewiacji seksualnych.

Dlaczego papieże potępiając antykoncepcję, nawet w najbardziej łagodnej formie (pigułki, prezerwatywy), nie widzą tragedii dziewcząt i kobiet, które po prostu „wpadły” i wybierają pomiędzy aborcją a niechcianym potomstwem? Czyżby nie słyszeli też o milionach dzieci w krajach Trzeciego Świata, które rodzą się tylko po to, aby umrzeć z głodu?

Kiedy cały świat ucieszył się z pierwszej pigułki i innych metod antykoncepcji — Kościół potępił je i uznał za grzech śmiertelny chyba tylko z przekory i w poczuciu nieomyślnej buty, gdyż takie stanowisko nie ma żadnego uzasadnienia w Biblii. Zgodnie ze wszystkimi prognozami, większa część ludzkości przestałaby istnieć z powodu ogromnego przeludnienia i głodu, gdyby nie „śmiertelne grzechy” zapobiegania ciąży i stosunku przerywanego popełniane nagminnie na całym świecie. Niekwestionowane dobrodziejstwo — antykoncepcja — została określona w doktrynie Kościoła jako „permanentne zło, zawsze i w każdej sytuacji”. Papieżowi bynajmniej nie przeszkadza fakt, iż potępiając antykoncepcję w naturalny sposób sprzyja aborcji tak, jak sankcjonując celibat faktycznie popycha duchownych do konkubinatu.

Dlaczego potępiane są kobiety, które w akcie rozpaczony usuwają ciążę będącą np. następstwem gwałtu albo mając pewność, że dziecko urodzi się kaleką?!

Dlaczego rozwodnikom odmawia się prawa przystępowania do Sakramentów? Praktyka pokazuje, iż brak tego dostępu jest często przyczyną ich prawdziwych rozterek moralnych i upadków. Ludzie żyjący ze sobą bez ślubu kościelnego i rozwodnicy traktowani są przez Kościół jak wyrzutki. Ale czyż Chrystus nie przyszedł przede wszystkim do odrzuconych i grzeszników?!

Takie pytania można mnożyć?! Księża sami nie zgadzają się z wieloma naukami które głoszą. Znam misjonarza, który z pobudek humanitarnych, po kryjomu rozdawał środki antykoncepcyjne swoim parafianom w Środkowej Afryce. Niestety, w Kościele nie ma miejsca dla demokracji i wymiany poglądów tak, jak to bywało za czasów pierwszych chrześcijan. Ksiądz niesubordynowany, nieprawomyślny — nie może być księdzem.

Wydaje się, iż powodu takiego stanu rzeczy należy doszukiwać się przede wszystkim w autokratywnych rządach papieży. Namiestnicy Chrystusa powinni — obok rządzenia i reprezentowania Kościoła — wsłuchiwać się w głos Ludu Bożego, przyglądać znakom czasu i zmieniającej się ciągle rzeczywistości. Kto sam nie słucha, nigdy nie będzie słuchany! Papieże i biskupi muszą się zastanawiać — jak Kościół, którym kierują, może lepiej pomagać w realizacji Bożych planów; jak je najlepiej rozeznaczyć, zrozumieć i wprowadzić w życie. Bez wątplenia trudno to czynić, gdy można wszystko rozstrzygnąć jedną bullą czy encykliką. Takie autokratywne rządy mszczą się jednak w końcu na tych, którzy je sprawują. Przez swoją nieomylną butę papieże sami popadają w pułapki — muszą potwierdzać nedorzeczne wyroki swoich poprzedników.

Papieży należy również obarczyć winą za to, iż na obecnym etapie niemożliwe jest zjednoczenie Kościołów Chrześcijańskich. Na drodze do tego zjednoczenia zawsze będzie stał prymat ojca świętego, Boga — człowieka.

Jednym z podstawowych błędów, zadufanych w swoją potęgę kościelnych ustawodawców, jest nakładanie kar, potępień i sankcji grzechów śmiertelnych na wszystkich, którzy zgrzeszyli z mocy prawa. Potępia się ludzi bez uwzględnienia ich indywidualnych sytuacji i uwarunkowań konkretnych przypadków.

Co powiedziałby Jezus, gdyby dziś przyszedł na ziemię i zobaczył swoją Owczarnię? Ten, który był zawsze najbliżej ludzi niechcianych, ochraniał biednych i potrzebujących przebaczenia? Dlaczego nie czynią tego Jego namiestnicy?

Kościół współczesny na obecnym etapie zdolny jest tylko do masówek, przesłań, apelów i akcji — takich jak np. Akcja Katolicka. Ale Zbawiciel mówi do inicjatorów tych pustych, bezdusznych imprez — „lud ten czci mnie tylko wargami, ale sercem swym daleko jest ode mnie”. Przekazywanie wiary w sposób powierzchowny i benefisowy — doprowadziło do tego, że Kościół jest obecny w telewizji i radiu; ma swoje czasopisma, wpływ na ustawy parlamentarne i politykę, ale równocześnie Boga nie ma w ludzkich sercach. Liczy się jeszcze jeden wydany tygodnik katolicki, jeszcze jedna stacja radiowa, kolejna wybudowana świątynia, liczba zgromadzonych na spotkaniu z papieżem.

Najważniejsze są wpływy, splendor, finanse, statystyki — tym dzisiaj żyje Kościół i do tego dąży. Stało się to, przed czym tak bardzo przestrzegał Chrystus — Kościół upodobił się do świata. Papieże, kardynałowie, biskupi, prałaci i inni dostojnicy kościelni hołubieni i rozpieszczani przez szeregowych kapłanów i ludzi świeckich — zbudowali potężną instytucję materialną, zamiast duchownego Królestwa Bożego w sercach wiernych.

Ta instytucja oparta na ogromnych finansach i bezwzględnym posłuszeństwie księży, otoczona zewnętrzną szatą świętości i nieomyłności — skazana jest na rychły upadek! Człowiek współczesny, zagubiony jak nigdy dotychczas w bezwzględnym, brutalnym świecie, w którym rządzi ten kto ma wpływy, splendor, finanse i korzystne statystyki — człowiek XXI wieku szuka Boga żywego! Pragnie potwierdzenia sensu swojego życia — swoich starań, wysiłków, pracy nad sobą i codziennego zmagania ze złem. Zahukane, samotne dzieci Boże pragną prawdy, sprawiedliwości i miłości, a nie pustosłowa i obłudy!

Na szczęście oprócz władzy hierarchów Kościoła istnieje również władza Ludu Bożego, stworzonego przez Boga i odkupionego Krwią Chrystusa. Ludu Bożego, wśród którego przebywa Duch Święty. Ten Lud Boży może powiedzieć NIE!!!

Głos ludzi wierzących, zatroskanych o swój własny Kościół, z trudem przebija się przez mury pałaców biskupich, kardynalskich i papieskich rezydencji. Nie pragnę, aby te mury runęły, ale by ich lokatorzy wyszli wreszcie do swoich owiec i przygarnęli je tak, jak je przygarniał Jezus Najlepszy Pasterz. Wierzę głęboko, że nadejdzie dzień w którym wyznawcy Chrystusa połączą się w jedno Ciało Kościoła Świętego i będą czcili Jednego Boga w Duchu i Prawdzie, a prowadzeni przez swoich gorliwych pasterzy – wprowadzą swój Kościół w Nowe Tysiąclecie Chrześcijaństwa.

Najbardziej wstrząsającą, bardzo pouczającą i rozbijającą mity książka, w której były ksiądz — Roman Jonasz, na kanwie własnych przeżyć, opisuje prozę kapłańskiego życia — pełnego intryg, skandali, ludzkich słabości i upadków. Nie księża są tu jednak piętnowani, ale błędny system który ich deprawuje.

„...Watahy kleryckie wychodziły na ulice Włocławka. Dziewczęta rozbierano wzrokiem, gwałcono i zniewalano myślami.”

„Ksiądz Mariusz brocząc obficie krwią przeczołgał się z sypialni do kuchni. Wziął większy nóż i tym razem skutecznie przebił sobie serce.”

„Tamtejszy proboszcz — Ryszard Falski napastował seksualnie młodego ministranta. Stary świntuch dość poważnie nadwyrężył odbytnicę chłopca. Dotarła do nas również wieść o powieszeniu się zakonnicy... Według późniejszych relacji jej spowiednika — siostra miała duży temperament seksualny, z którym nie mogła sobie poradzić. Ciągłe pokusy i grzeszne myśli zamieniały jej życie w koszmar, pomieszały zmysły i pchnęły do samobójczej śmierci.”

„Proboszcz dotknął mnie swoim biodrem, zadrzał na całym ciele i chwycił moją rękę. Wiedziałem o co mu chodzi... Przecież musi to ksiądz jakoś robić; po co samemu. Nie pozwolę na żadne kurwy w mojej parafii!!!”

„Ksiądz prałat nie poprzestawał na wykpiwaniu Urzędu Celnego i fiskusa. Parę lat wcześniej sprowadził podobno luksusowe BMW, ubezpieczył na ogromną sumę i podstawił do zabrania braciom ze Wschodu...”

ISBN 83-909042-0-9 Cena zł. 14,50

„BYŁEM KSIĘDZEM”

„PRAWDZIWE OBLICZE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W POLSCE”

Roman Jonasz

ISBN 83-909042-0-9

Wydawnictwo Glass-Plast

Andrespol

Wydanie III

Łódź 1998